

**NARODOWY BANK
PARODII**

**SPRZĄTAMY
PO CZARNKU**

**TEOLOGIA
TO NAUKA**

**LECH JANERKA:
NIE PORA SPAĆ**

Kraków 15 listopada 2023 nr 47 (3880)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Chorzy na diabła

**EGZORCYŚCI WRACAJĄ:
NOWY KOŚCIELNY PODRĘCZNIK
I FILMOWY HIT**

STRONY SPECJALNE
KRAKÓW – NOWA HUTA
CENTRUM NAUKI KOPERNIK
FUNDACJA NA RZECZ
NAUKI POLSKIEJ



Wykup prenumeratę i czytaj najlepszą literaturę w niskich cenach!

Czytasz książki i uważasz, że najlepiej mieć własny egzemplarz na półce? Zgadzasz się, że 40% rabatu* u najlepszych wydawców to dobra oferta?

Kupując prenumeratę papierową „Tygodnika”, co miesiąc otrzymasz nowe kody rabatowe. Przez cały listopad wszystkie dostępne tytuły **Doroty Masłowskiej** i **Hanny Krall**, które ukazały się nakładem **Wydawnictwa Literackiego**, kupisz **40% taniej***.

Co zyskujesz?

- Co miesiąc inne tytuły i nowi wydawcy
- Zawsze duże zniżki
- Tylko najlepsze książki
- Oferta dla nowych i obecnych prenumeratorów

Zamów prenumeratę, podaj przy zamówieniu swój adres mailowy, a my co miesiąc wyślemy Ci unikalne kody promocyjne do wykorzystania przy zakupach w księgarni wydawcy.

Jesteś prenumeratorem?

Napisz na prenumerata@TygodnikPowszechny.pl, aby otrzymać rabat.

Oferta ważna dla każdego rodzaju prenumeraty papierowej, dostępna także w ofercie łącznej dla „Tygodnika” papierowego i cyfrowego.

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: **Tygodnik Powszechny**
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela **Agnieszka Dyrz** w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty cyfrowej pomocy udziela **Mateusz Chmielowski** w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

PARTNER MARKETINGOWY

SALES | **manago**
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty na powszech.net/regulamin

* rabat udzielany jest od ceny okładkowej



WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
12 wydań	3 miesiące	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	rok	100 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

POKOLENIA* – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej,
na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNEREM PRENUMERATY JEST
WYDAWNICTWO LITERACKIE

30 Jubileusz
Wydawnictwa
Literackiego

KS. ADAM

Boniecki: *O diable nie nagle*

ARTYKUŁ MACIEJA MÜLLERA „MILCZ I ODEJDŹ Stąd” może się wydać tekstem o sprawach egzotycznych i dziwnych. Ale mówi o zjawiskach dziś nie tylko znanych, ale często, częściej niż byśmy się spodziewali, obecnych. Mowa jest w nim o wydanej z aprobatą Stolicy Apostolskiej i ze wstępem kardynała Angela De Donatis, wikariusza generalnego Jego Świątobliwości dla diecezji rzymskiej, książce „Egzorcyzmy i inne modlitwy błagalne”. Książka zawiera modlitwy przeznaczone do odmawiania nad osobą opętaną przez uprawnionych przez biskupa kapłanów. Nie jest to rzecz obowiązująca, bo każda konferencja episkopatu, a także każdy biskup lokalny, mogą wydać własne instrukcje szczegółowe. Konferencja Episkopatu Polski wydała takowe w 2015 r. Porozmawiajmy zatem o diable, bo o niego tu chodzi.

Szczególnie ważne w artykule są uwagi ks. Andrzeja Kobylińskiego. Uważa on, że „zła osobowego [diabelskiego] należy szukać pomiędzy dyktatorami wzniciającymi okrutne wojny, wśród twórców łagrow i obozów zagłady, pośród ludzi odpowiedzialnych za wytwarzanie i dystrybucję pornografii dziecięcej”... na przykład. Myślę, że jest to jedno z kluczowych zdań artykułu. Sam artykuł, którego autor rozprawia się z opasłą książką, mówi o wielu sprawach. Zauważmy jednak, że ani autor, ani autorytety, po które sięga, nie zaprzeczają istnieniu pokus diabelskich. Wskazuje na poszukiwanie diabelskich niebezpieczeństw nie tam, gdzie ich nie ma, ale na obszarach rzeczywiście ich obecności.

Sądzę – jeśli wolno tak napisać – że pojęcie grzechu i moralnego zła niepostrzeżenie przesunęło się w sferę albo wychodzącą poza granice wolności człowieka, albo w sferę



działań nieuniknionych, zaś oceny moralnej pozbawiliśmy sprawy doskonale mieszczące się w sferze ludzkiej woli, dotyczące choćby miłości bliźniego, wiary i poskramiania egoizmu. Pozbawiliśmy sensu oderwane od życia, bardziej lub mniej sporadyczne praktyki religijne, zgubiliśmy pojęcie miłości, być może często mieszając je z pojęciem przyjaźni. Na poły magiczne praktyki egzorcyzmów miały nam zastąpić wiarę w Boga, jakby istniał wymóg jakiejś nieziemskiej bezgrzeszności przywracanej przez różnego rodzaju rytuały, jakby miały one nam (i naszym bliskim, np. dzieciom) na zasadzie magicznej przywracać stan pierwotnej niewinności.

Chrześcijaństwo ostrzega przed obłudą, zewnętrzną poprawnością, pozornym komfortem, jaki daje budowanie siebie na podstawie opinii innych ludzi o nas. Sądy wypowiedziane przez znajomych, może czasem słuszne, nigdy nie mogą być dla nas miarą tego, kim jesteśmy. To, kim naprawdę jesteśmy, wiemy tylko my sami. Wiemy bardziej lub mniej, albo wiedzieć nie chcemy i żyjemy tak, jakbyśmy nie wiedzieli. Chrześcijanie, ze swoją często szczątkową ewangeliczną wiedzą, bywają straszni. Bywa też, że ludzie bez wiary mają więcej miłosiernej miłości niż my, chrześcijanie. Jeśli jest jakiś sąd, to zobaczymy, gdzie kto trafi i, być może, niebotycznie się zdziwimy.

Postęp nauki pozwala nam lepiej poznać, czy w ogóle poznać, mechanizmy naszego świata. Kiedyś na przykład wierzono, że to aniołowie poruszają planety. Doskonale pokazuje to ewolucję myślenia, także religijnego. Poruszanie z anielską pomocą znikło, choć aniołowie zostali. Z diabłem też tak będzie.

© P

wspieraj Tygodnik na
powszech.net/patronite



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

t/ Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

 PATRONITE

Zostań stałym patronem i odbieraj nagrody:
zamknięte newslettery autorów Tygodnika,
udział w webinarach Tygodnika i zaproszenia
na wydarzenia, festiwale, spotkania.

20 Elegia dla baterejki

MAREK RABIJ:

Do 2060 roku Polska ubędzie 6,8 mln mieszkańców. Tyłu, ilu mieszka dziś łącznie w województwach mazowieckim i świętokrzyskim. W czterech podlaskich gminach ta przyszłość już jest teraźniejszością.



32 Profesor Bóg

ARTUR SPORNIAK:

Politolog z Uniwersytetu Śląskiego chce wyrzucić teologię z wyższych uczelni, gdyż jego zdaniem nie jest ona nauką. Tymczasem teologia jest nauką, więcej – nauka jest teologią.



50 W Singapurze musisz się wyróżnić

MARTA ZDZIEBORSKA Z SINGAPURU:

Mieszkańcy tego azjatyckiego państwa-miasta wywalczyli sobie miejsce w klubie najbogatszych krajów świata. Przy okazji stworzyli społeczeństwo pracoholików. Niektórzy mają tego dość.



60 Uczcie się strzelać

ALEKSANDER R. MICHALAK:

Włodzimierz Ze'ew Żabotyński był autorem dwóch przepowiedni dotyczących Palestyny i państwa żydowskiego. Jedna się sprawdziła, w drugiej bardzo się pomylił. Sprawa, której dotyczyły, jest aktualna do dziś.



72 Struny pierwotne

ROZMOWA Z JUSTYNĄ BARGIELSKĄ, POETKĄ:

Gdybym miała dziś narysować siebie, byłaby to ośmiolatka z kolanami w strupkach. Na obrazku byłby jeszcze ptaszek, aniołek, słoneczko, chmurka i deszczyk. A w trawie wijący się wąż.



86 Niezniszczalna zielen

BEATA CHOMĄTOWSKA:

Zniszczone wojną miasta porównuje się często do bezludnych pustyń, gruzowych Gór Martwych. A przecież wszystkie mają żywych lokatorów – rośliny.



OBRAZ TYGODNIA

6 Figura polityczna
MAREK RABIJ

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA
KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ,
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Elegia dla baterajki
MAREK RABIJ

24 Jak odzyskać państwo
STEFAN SĘKOWSKI:
Spółki, agencje, fundusze oraz instytucje kontrolne wymagają depisyzacji

27 Egzamin poprawkowy
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Czy nowa władza ma na polską szkołę pomysł?

WIARA

32 Profesor Bóg
ARTUR SPORNIAK

36 Archeolog wśród religii
ROZMOWA Z PROF. ARTUREM
OBŁUSKIM o badaniach
w Sudanie

ŚWIAT

50 W Singapurze musisz się wyróżnić
MARTA ZDZIEBORSKA
Z SINGAPURU

54 Z Gazy do Dundee
PATRYCJA BUKALSKA
Z WIELKIEJ BRYTANII:
Wobec dramatycznych wydarzeń na Bliskim Wschodzie Brytyjczycy są podzieleni

JOSE MANUEL RIBEIRO / REUTERS / FORUM

TEMAT TYGODNIKA

12 Milcz i odejź stąd
MACIEJ MÜLLER

Fala szaleństwa wokół egzorcyzmów dawno się już przetoczyła nad polskim Kościołem. Przebój HBO Max z Russellem Crowe'em i wydany właśnie podręcznik dla egzorcystów próbują wskrzesić tamto podejście do szatana i opętą.

14 Szkiełko i oko
MACIEJ MÜLLER

STRONY SPECJALNE

41 KRAKÓW – NOWA HUTA

**64 FUNDACJA NA RZECZ
NAUKI POLSKIEJ**

70 CENTRUM NAUKI KOPERNIK

FELIETONY

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI
39 WOJCIECH BONOWICZ **63** JACEK PODSIADŁO
84 OLGA DRENDŁA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: RUSSELL CROWE
w filmie „Egzorcysta papieża”/FOT. EAST NEWS

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

56 Wątpiący jak Czech
MARTYNA WASIUTA:
Jak premier Petr Fiala próbuje zmienić eurosceptyczny kraj

HISTORIA

60 Uczcie się strzelać
ALEKSANDER R. MICHALAK

NAUKA

66 Kości, grzybki i uran
MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI:
„Nie ma powrotu do jaskiń, jest nas za dużo” – napisał 66 lat temu Stanisław Jerzy Lec. Paleontolodzy mają na ten temat inne zdanie

KULTURA

72 Struny pierwotne
ROZMOWA
Z JUSTYNĄ BARGIELSKĄ

76 Odpoczynek jako opór
MONIKA OCHEŃDOWSKA
o najnowszych popularnych opowieściach z Japonii

79 Aniołek odleciał, Janerka przyleciała
FILIP ŁOBODZIŃSKI:
Osiemnaście lat czekaliśmy na kolejną płytę Rolling Stonesów. Ale nawet ta osiemnastka nie dłużyła się tak, jak wypatrywanie nowej płyty Lecha Janerki

82 Krzyż kontra mezuz
ANITA PIOTROWSKA
o filmie Marce Bellocchia „Porwany”

83 Historia pewnej przyjaźni
LEKTOR o książce Wisławy Szymborskiej „Krynicy, to przecież dla Was!”

ZMYSŁY

86 Niezniszczalna zielen
BEATA CHOMĄTOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Kampania w polskim internecie jest szarą strefą

AGATA KAŻMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Jak rząd Węgier kierował do Polaków antyimigranckie reklamy podczas kampanii wyborczej. Czytaj na powszech.net/sledstwo

Seriale, które warto obejrzeć

ANITA PIOTROWSKA: Oto rozwibrowana sensualnie i nasyciona kinofilskimi aluzjami opowieść. Nie tylko dla młodych dorosłych. Sprawdź na powszech.net/debiutanci

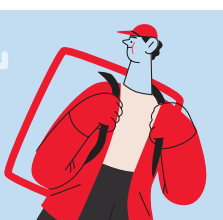


Serwisy specjalne: patrz szerzej

POLSKA SZKOŁA

Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOŁA



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

FIGURA POLITYCZNA

Adam Glapiński zbiera, co zasiał. Prezes, który wpełchnął Narodowy Bank Polski do bieżącej polityki, sam stał się obiektem jej rozgrywek.

MAREK RABIJ

KRYZYS TRWA, CHOĆ MOŻE SIĘ WY-
dawać zażegnany. Paweł Mucha,
członek zarządu NBP, który w ubie-
głym tygodniu publicznie zarzucił
Glapińskiemu „niewykonywanie
obowiązków” prezesa NBP, w week-
end opublikował oświadczenie,
w którym zapewnia, że i jemu, i sze-
fowi leży na sercu jedynie dobro pol-
skiego banku centralnego.

Wcześniej, w piątek, głos w spra-
wie zabrał sam Glapiński. Na kon-
ferencji, zwołanej zaledwie dwa dni
po poprzedniej, prezes oświadczył,
że zarzuty Muchy to „didaskalia”, bo
członkowi zarządu chodzi po pro-
stu o podwyżkę. Mamy zatem do
czynienia z kuriozalną sytuacją: bli-
ski współpracownik człowieka od-
powiadającego przed konstytucją

za wartość polskiej waluty oskarża
go o sprzeniewierzenie się tej misji,
a kilkadziesiąt godzin później do-
chodzi do wniosku, że to drobiazg.
Oskarżany prezes przy tej okazji po-
ucza zaś opinię publiczną, że kto ata-
kuje NBP, ten atakuje Polskę, ale nie
widzi powodów, żeby odnieść się me-
rytorycznie do zarzutów. Nic się nie
stało, proszę się rozjechać.

Przeciwnie. Jesteśmy bowiem
świadkami pogłębiającego się upo-
litycznienia NBP. Pod rządami Ada-
ma Glapińskiego bank centralny
najpierw niebezpiecznie upodobił
się do departamentu ministerstwa
finansów, które ma dbać tylko o to,
żeby rządowi starczyło na wydatki.
Teraz polityka wjeżdża do banku
centralnego w jeszcze inny sposób.

POWYŻEJ:

Prezes NBP Adam Glapiński po konferencji prasowej.
Warszawa, 10 listopada 2022 r.

W osobliwym trójkącie, jaki tworzy prezydent Andrzej Duda, odchodzący od władzy PiS i szukająca się do jej przejęcia opozycja, nie ma dziś nikogo, kto obawiałby się złamania tabu, jakim było do niedawna wykorzystanie figury prezesa banku centralnego w doraźnej politycznej rozgrywce.

Opozycja chętnie postawiłaby Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. To rozwiązanie idealne, bo zaspokoi potrzebę rozliczeń poprzedników, jaką wyraża część jej wyborców, a jednocześnie nie stworzy niebezpiecznego precedensu, jakim byłby Trybunał dla kogoś z pierwszego politycznego rzędu. W te nastroje nieoczekiwanie wpisuje się prezydent – Paweł Mucha to jego bliski współpracownik. Zarzuty, jakie stawia Glapińskiemu, mogą być podstawą do postawienia go przed Trybunałem. Już samo podjęcie takiej decyzji przez Zgromadzenie Narodowe (wystarczy do tego bezwzględna większość w Sejmie) sprawiłoby, że zgodnie z artykułem 111. Ustawy o Trybunale Stanu szef NBP zostałby automatycznie zawieszony w czynnościach.

Glapiński to człowiek Jarosława Kaczyńskiego, kojarzony z tzw. zakonem PC, czyli twardym jądrem PiS. W ubiegłym roku rozpoczął kolejną kadencję w NBP. Odwołać go można jedynie z trzech powodów wymienionych w ustawie o NBP: kiedy nie wykonuje swoich obowiązków z powodu choroby, gdy zostanie prawomocnie skazany za przestępstwo lub gdy złoży niezgodne z prawem oświadczenie lustracyjne. Szef NBP może jednak w każdej chwili samodzielnie złożyć dymisję i być może właśnie taki efekt mają przynieść pohukiwania opozycji i ludzi prezydenta. Na Nowogrodzką ma trafić sygnał, że rełuta, jaką PiS ma w centrali NBP, wcale nie jest pewna.

Czytając listę zarzutów Muchy nie sposób nie odnieść wrażenia, że moment, w którym je postawiono, był nieprzypadkowy. Trudno bowiem nazwać je sensacyjnymi. Niedopuszczanie do dokumentów i analiz osób z innych ciał statutowych NBP – kilka miesięcy temu dokładnie o to samo oskarżali Gla-

pińskiego skonfliktowani z nim członkowie Rady Polityki Pieniężnej. Ale wtedy, na przednówku kampanii wyborczej, Andrzej Duda nie rozgrywał jeszcze z Jarosławem Kaczyńskim politycznej partii swojego życia.

Nie znaczy to oczywiście, że Adam Glapiński nie zasłużył na Trybunał Stanu. Prezes może do woli karcić stronnice media czy złośliwą opozycję. Nie zmieni jednak faktu, że przejdzie do historii jako prezes banku centralnego, któremu inflacja wykpiiała z garnka polityki monetarnej, bo wcześniej doprowadził do bezprecedensowego upolitycznienia kierowanej przez siebie instytucji.

Zaden bank centralny, włącznie z NBP, nie jest wolny od politycznych rozgrywek. Dopóki jednak odbywają się one niejako równolegle z realizacją statutowych celów, nie ma powodów do alarmu. Owszem, są banki centralne, które, jak w Japonii, powołano do stymulowania gospodarki czy do walki z bezrobociem – jak w przypadku amerykańskiej Rezerwy Federalnej. Jednak konstytucja zobowiązuje NBP wyłącznie do pilnowania wartości złotego, nie ma zatem mowy o celach innych niż utrzymanie inflacji w ryzach celu wyznaczonego w 2003 r. na poziomie 2,5 proc. rocznie, z odchyleniem na poziomie jednego punktu procentowego.

Pod kierownictwem Glapińskiego NBP zajmował się tymczasem prawie wszystkim – poza inflacją. Dbał o potrzeby pożyczkowe państwa i wpływy z VAT, utrzymując zbyt długo niskie stopy procentowe i pozwalając się rozpędzić inflacji. Nie protestował przeciwko ręcznemu sterowaniu cenami przez rząd, który w ten sposób zaniżał wskaźniki inflacji. Nie widział nic niestosownego w odwiedzaniu polityków obozu rządzącego w siedzibie partii, a nie w budynkach rządowych. Zdarzało mu się nawet publicznie twierdzić, zapewne w polemicznym ferworze, że celem NBP jest wspieranie polskiej gospodarki. Bilans jego rządów w banku centralnym – bez względu na to, czy potrwa do końca kadencji – jest po prostu negatywny. ©P



Koniec Polski?

MAREK KĘSKRAWIEC

OCHODZĄCEMU OBOZOWI WŁADZY ŚWIĘTO Niepodległości upłynęło w takiej atmosferze, jakby chodziło o jej utratę, a nie odzyskanie. Lider PiS nakreślił czarną wizję, w której Polska „ma być raz jeszcze historycznym incydentem”, gdyż Unia i Niemcy przygotowują plan doprowadzenia do anihilacji naszego państwa – będziemy półkolonią. Dlatego Jarosław Kaczyński apeluje: „nie możemy być pokoleniem, które skapitułuje” i „powtórzyć tej hańby sprzed ponad 200 lat”.

Prezes nie zachowuje się jak lider partii, która tworzy właśnie rząd. Raczej jak ktoś, do kogo zaczęło docierać, że będzie musiał oddać władzę.

Wśród liderów głównych frakcji w PiS nikt nie ośmiela się kwestionować odrealnionej narracji Kaczyńskiego, który zachowuje się tak, jakby nie zrozumiał przyczyn swojej „zwycięskiej klęski”. Agresywny przekaz, który się nie sprawdził, ma być kontynuowany, tyle że z pedałem gazu dociśniętym do podłogi.

Nie podoba się to niektórym politykom średniego szczebla, którzy zaczynają zerkać w stronę Andrzeja Dudy.

Jan Krzysztof Ardanowski wprost stwierdził, że to prezydent mógłby przejąć dowodzenie w PiS. Jego znaczenie mocno wzrosło, gdy Pałac stanie się głównym bastionem oporu wobec nowego rządu. Ponadto Duda wie, że na karierę międzynarodową nie ma szans, więc musi zadbać o swe miejsce w polityce, jeśli nie chce zostać 53-letnim emerytem.

Prezydent i jego otoczenie uważają, że strategia Kaczyńskiego, czyli walka z całym światem, to błąd, który ogranicza szanse na zepsucie atmosfery w koalicji KO-Trzecia Droga-Lewica. A przecież już teraz są tam pęknięcia, skoro partia Razem zdecydowała się pozostać na uboczu sojuszu. Duda sądzi, że w dłuższej perspektywie jest szansa, by PiS porozumiał się z Konfederacją i PSL.

Scenariusz zbliżenia z ludowcami jest mało prawdopodobny z uwagi na głęboką niechęć z ich strony, ale będzie zupełnie niemożliwy przy kontynuowaniu polityki Kaczyńskiego. Inna sprawa, że wciąż nie ma pewności, czy prezydent Duda ma ochotę i zdolności, by poradzić sobie z taką misją. Dotychczas nie zdradzał talentów wybitnego gracza, jeśli jednak zdecyduje się rzucić rękawicę Kaczyńskiemu, może się okazać, że prezes nie jest już tak silny, jak myśli. ©P



Oko za oko

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

NIE WIDĄĆ KOŃCA KRWAWEJ wojny między Izraelem a Hamasem, zapoczątkowanej 7 października przez brutalny atak palestyńskich terrorystów na południowy Izrael, w wyniku którego, jak ostatecznie ustalono, zginęło ok. 1200 Izraelczyków, a ok. 240 uprowadzono do Gazy. W samej Gazie wojna, która wkroczyła właśnie w szósty tydzień, pochłonięła życia ponad 11 tys. Palestyńczyków (tak podaje kontrolowane przez Hamas gazańskie Ministerstwo Zdrowia).

W miniony weekend najcięższe walki toczyły się w mieście Gaza. Koncentrowały się wokół obozu dla uchodźców Al-Shati i tamtejszych szpitali, w tym najważniejszego Al-Shifa, pod którym, zdaniem Izraela, biegną tunele kryjące centrum dowództwa Hamasu. Personel szpitala i organizacje humanitarne apelują o natychmiastowe przerwanie ognia. Informują, że szpital nie jest już w stanie pomagać rannym i chorym, i że jest gotów do natychmiastowej ewakuacji pacjentów, jeśli Izrael zgodzi się przerwać ostrzał. Sprawa Al-Shify budzi emocje na świecie: stał się symbolem cierpienia cywilów, bezwzględności wojska izraelskiego i bestialstwa Hamasu, wykorzystującego Gazańczyków jako żywe tarcze. Z danych ONZ wynika, że w ostatnich dniach dwunastu pacjentów, w tym dwoje wcześniaków, zmarło w Al-Shifa z braku dostępu do leków i sprzętu.

W wyniku ostrzału w pobliżu szpitala śmierć poniosły trzy pielęgniarki.

Wojna wygnała z domów w Gazie 1,7 mln Palestyńczyków, którzy szukają schronienia w przepełnionych ośrodkach pomocowych na południu Strefy. Krytyka tragicznych skutków działań Izraela nie ustaje również w krajach Zachodu, mobilizując do krytycznych napomnień pod adresem izraelskiego rządu nawet Stany Zjednoczone (inna sprawa, że podczas propalestyńskich manifestacji często ma miejsce pomieszanie porządków – kto jest w tej wojnie sprawcą, kto ją zaczął).

Z kolei Izrael codziennie mierzy się z ostrzałem rakietowym celów cywilnych; Hamas kontynuuje go z Gazy. Groźnie jest na granicy z Libanem, skąd Hezbollah ostrzeliwuje miejscowości po stronie izraelskiej; są obawy przed eskalacją na większą skalę. Do starć dochodzi na Zachodnim Brzegu, gdzie według palestyńskich źródeł od 7 października zginęło już ponad 180 Palestyńczyków; sytuacja tam wciąż się zaostrza. Równocześnie trwają zakulisowe negocjacje w sprawie uwolnienia izraelskich zakładników.

Dla Izraela, którego celem od początku wojny jest odbicie zakładników i zniszczenie potencjału Hamasu, atak na szpital Al-Shifa będzie pyrrusowym zwycięstwem, bo kosztem kolejnych cywilów, którzy nie są niczemu winni. ©TP

W szpitalu Al-Shifa. Gaza, 10 listopada 2023 r.



Wehikuł czasu

PIOTR ŚMIŁOWICZ

DONALD TUSK TWIERDZI, ŻE HASŁEM JEGO NOWEGO rządu będzie „powrót do przyszłości”. W filmie, do którego tytułu nawiązał, główny bohater cofa się w czasie, dokonuje pewnych zmian w rzeczywistości, a następnie wraca do swojej ery, gdzie okazuje się, że ingerencja w czas była owocna.

Premierem nowego rządu będzie Tusk, pierwszym wicepremierem Władysław Kosiniak-Kamysz (ma pokierować też MON), kolejnym – Krzysztof Gawłowski z Lewicy (zarazem minister cyfryzacji). Marszałkiem Senatu zostanie Małgorzata Kidawa-Błońska, a Sejmu – Szymon Hołownia, co jest pierwszym wnioskiem Tuska z przeszłości. Na początku wojny polsko-polskiej, w 2005 r., tworząca się koalicja PO-PiS rozpadła się, gdy Kaczyński nie chciał dać fotela marszałka Sejmu Bronisławowi Komorowskiemu, wybierając Marka Jurka. Tusk nie powtórzył tego błędu.

Zgrzytem jest oczywiście fakt, że z koalicji KO-Trzecia Droga-Lewica ubędzie siedmioro posłów partii Razem, którzy co prawda poprą powstanie rządu Tuska, ale do niego nie wejdą, gdyż w umowie koalicyjnej zabrakło ważnych dla Razem zapisów: depenalizacji aborcji, gwarancji 1 proc. PKB na budownictwo mieszkaniowe i 8 proc. na ochronę zdrowia. Nieoficjalnie mówi się, że powodem jest też brak zgody Tuska na Marcelinę Zawiszę jako minister zdrowia.

Bardziej niepokojące są zapowiedzi personalne dotyczące składu rządu. Lider PO chce wciągnąć do niego swoich najbardziej zaufanych ludzi.

To osoby z doświadczeniem w boju, jak Radosław Sikorski (MSZ), Bartłomiej Sienkiewicz (resort kultury), Borys Budka (aktywa państwowe) czy Marcin Kierwiński (MSWiA). Mają oni pełnić funkcje „zderzaków”, wziąć na siebie brudną robotę posprzątania po PiS, w domyśle – nie zawsze czystymi metodami. Potem ma nastąpić pełne „odpolitycznienie” takich kluczowych sfer, jak wymiar sprawiedliwości, spółki Skarbu Państwa czy media publiczne.

Tyle że do chodzenia na skróty łatwo się przyzwyczaić. Zaufani „swoi” łatwo oswajają się zarówno ze stanowiskami, jak i z metodami, a prowizorki czasem są najbardziej trwałe. Można mieć jedynie nadzieję, że Tusk jest na tyle doświadczonego politykiem, że ma tego wszystkiego świadomość. I, niczym bohater wspomnianego filmu, posiada sprawny wehikuł, którym nie tylko wyruszy do przeszłości, ale i z niej powróci. ©

NA PUNKTY



Strzępka, inne rozdzanie

DARIUSZ KOSIŃSKI

LAWINY

Spadł śnieg, TOPR wydało komunikat lawinowy, trener piłkarskiej reprezentacji Polski do lat 17 wyrzucił ze zgrupowania przed mundialem czwórkę pijanych zawodników, a na tzw. Marszu Niepodległości policja zatrzymała 50 osób i zabezpieczyła ok. 1000 środków pirotechnicznych.

WYBUCHY

Środków pirotechnicznych nie potrzebuje Adam Glapiński. „Narodowy Bank Polski to nie jest jakiś stragan z cebulą na bazarze” – powiedział na konferencji prasowej przypominając, że „każdy, kto bezpodstawnie atakuje NBP, godzi w prestiż i dobro Polski”. Konferencję zwołano w związku z zarzutami, które prezesowi postawił inny z grona członków zarządu banku, Paweł Mucha.

KONTROLE

Zanim sprawdzi, co dzieje się w NBP, Najwyższa Izba Kontroli stwierdziła liczne nieprawidłowości w związku z przekopem Mierzei Wiślanej. Wzrost kosztów budowy, o którym w resorcie infrastruktury wiedzano już na etapie planowania, sprawił, że inwestycja nie miała sensu gospodarczego, o zapewnieniu bezpieczeństwa nie wspominając. ©©

TEATR PONOWNIE OKAZUJE SIĘ zwiastunem zmian zachodzących w społeczeństwie. Monika Strzępka, której niedawny wybór na stanowisko dyrektorki Teatru Dramatycznego w Warszawie, a następnie zawieszenie przez pisowskiego wojewodę wpisywały się w oczywisty podział na polską konserwę i postępowców, właśnie doprowadziła do zmiany tych linii frontu. Jej wypowiedzi w wywiadzie przeprowadzonym przez Magdalенę Rigmonti dla Onetu oburzyły środowiska dotąd Strzępcę przychylnie.

Dyrektorka flagowej instytucji feministycznej, deklarująca wcześniej troskę o podmiotowość współpracowników, zapowiedziała zwolnienie niemal połowy zespołu, dodając do tego tezę, że praca z osobami o odmiennym „systemie wartości” jest według niej „w zasadzie niemożliwa”. Natychmiast wywołało to oskarżenia o ideologiczną dyskryminację, które w kolejnych dniach wzmoc-

niły świadectwa osób przez nią zwalnianych. A że Strzępka dołożyła jeszcze atak na kształcenie aktorów w Akademii Teatralnej, która jej zdaniem nie przygotowuje do twórczej pracy wymagającej „jakości performerskich” i „postawy krytycznej”, oraz oskarżyła poprzednika i władzę Warszawy o ukrycie przed nią prawdy o sytuacji Dramatycznego, to wywołała prawdziwą burzę, która już powoduje zmiany sojuszy i to nie tylko w środowisku. Być może zapowiada wręcz podobne zmiany w życiu społecznym. Niezależnie od fortuny tej akcji dla samej



sprawcy i prowadzonego przez nią Teatru to fakt, że wreszcie zaczynamy dyskusje nieblokowane przez przynależność do „naszych” i „onych”, wydaje mi się ożywczy. Bo poza kwestią stylu budowania relacji ze współpracownikami i kierowania teatrem przez Strzępkę, z całej tej burzy wylania się podstawowe pytanie: czy radykalna zmiana ma realne szanse zaistnieć gdzie indziej niż na marginesie? ©

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER



Który człowiek gorszy

EDWARD AUGUSTYN

OSOBY NIEHETERONORMatywne mogą otrzymać chrzest, być świadkami sakramentu małżeństwa, a także, jeśli spełniają warunki określone przez prawo, zostać rodzicem chrześnym – mówi opublikowany w ubiegłym tygodniu komunikat Dykasterii Nauki Wiary, zatwierdzony przez papieża. „Nikommu nie można zabraniać dostępu do łaski Bożej” – tłumaczy Watykan. Chrzest otwiera drogę do kolejnych sakramentów, w do-

datku osobom dorosłym zwykle udziela się go wraz z bierzmowaniem i eucharystią („pierwszą komunią”).

Dla osób LGBT to być może gest mało istotny (tych, którzy chcą się ochrzcić albo zostać rodzicami chrześnymi, jest pewnie niewielu), ale dla Kościoła krok przełomowy, pokazujący, że nie trzeba zmieniać doktryny (czego wiele osób najbardziej się boi) ani nawet prawa, by dostosować się do nowej sytuacji – wystarczy interpreto-

wać je na korzyść człowieka, z uwzględnieniem i zrozumieniem jego problemów i potrzeb.

Brak wiedzy oraz kontaktu z osobami nieheteronormatywnymi to główne powody transfobii i homofobii. Wielu duszpasterzy buduje sobie ich obraz w oparciu o relacje z parą równości, a nie spotkanie i rozmowę. Wielu nigdy nie słyszało o dysforii płciowej i nie wie, że tożsamość płciowa to nie kwestia jednego chromosomu

i cech fizycznych, ani mody czy deklaracji. I że nie podlega ocenie moralnej, podobnie jak orientacja seksualna.

Ślad takiego myślenia widać, niestety, także w nowym dokumencie – dykasteria zastrzeża, że zgoda na chrzest osoby transseksualnej lub powierzenie jej funkcji rodzica chrześnego nie może spowodować „zgorzenia publicznego”. Dwukrotne przywołanie tego warunku, stosowanego w Kościele wobec „publicznych grzeszników”, pokazuje, w jaki sposób myśli się o osobach transseksualnych. Watykan miał okazję, by to zmienić. Skorzystał z niej tylko częściowo. ©©



**KRZYSZTOF KUROWSKI,
POLSKIE FORUM OSÓB
Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI:**

*Czy istnieją lepsi i gorsi
obywatele?
Dla posłów i senatorów
najwyraźniej tak*

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Stowarzyszenie Instytut Niezależnego Życia zainicjowało apel do władz o wpisanie biur poselskich oraz senatorskich w poczet instytucji, które muszą spełniać kryteria dostępności dla osób z niepełnościami.

KRZYSZTOF KUROWSKI: To rzeczywiście dziwne, że parlamentarzyści uchwalali przez ponad trzydzieści lat szereg przepisów, także tych dotyczących dostępności, a nie zechcieli wprowadzić wymogów dostępności wobec samych siebie. To bardzo niekonsekwentne, ale też nieedukacyjne wobec innych podmiotów zobowiązanych do spełniania podobnych wymogów na podstawie bardzo różnych przepisów.

Chcemy, by ta sytuacja się jak najszybciej zmieniła. Stąd apel, pod którym w bardzo krótkim czasie podpisało się 110 organizacji pozarządowych, ruchów społecznych, przedstawicieli świata nauki i samorządowców. To pokazuje, jak silne jest poparcie, aby wreszcie biura poselskie i senatorskie zaczęły podlegać takim samym przepisom jak inne podmioty publiczne.

O jakie rodzaje dostępności chodzi?

Architektoniczne, informacyjno-komunikacyjne i cyfrowe. A więc takie, do których zobowiązują od 2019 r. przepisy dotyczące ponad 80 tysięcy podmiotów publicznych. A nawet tysiące organizacji pozarządowych, zgodnie z Ustawą o zapewnieniu dostępności osobom ze szczególnymi potrzebami i Ustawą o dostępności cyfrowej. By do tych tysięcy organizacji zaliczały się również wspomniane biura poselskie i senatorskie, po-

trzebne jest najpierw wprowadzenie takiego obowiązku w specjalnym zarządzeniu marszałka Sejmu i marszałka Senatu. A w następnym kroku wprowadzenie takiego wymogu na poziomie ustawowym.

„Żaden poseł i żaden senator nie powie, że osoby z niepełnosprawnością są gorszymi obywatelami. Słowa a czyny to jednak dwie różne sprawy. Czy (...) nie są jednak właśnie gorszymi obywatelami, skoro nie mogą spotkać się ze swoim posłem lub senatorem w jego siedzibie?” – pytała retorycznie cztery lata temu na portalu Niepełnosprawni.pl jego redaktorka naczelna i prezeska Integracji Ewa Pawłowska, prezentując dość ponure wyniki ankiet na temat dostępności biur.

Ankiety przeprowadzili eksperci ośrodka badawczego Integracja LAB oraz wspomniany portal. Wyszło z nich, że tylko 21 proc. biur poselskich i senatorskich jest dostępnych architektonicznie i posiada równocześnie toalety dla osób z niepełnosprawnością, jedynie 2 proc. umożliwia odwiedzającemu rozmowę z wykorzystaniem języka migowego, a żadne z ankietowanych biur nie jest wyposażone w pętlę indukcyjną ułatwiającą kontakt z osobą słabosłyszącą. Po czterech latach od tego badania wyniki pozostają niestety z grubsza aktualne. Nowy parlament musi to jak najszybciej naprawić. © TP

DR KRZYSZTOF KUROWSKI – prawnik, specjalista w zakresie przestrzegania praw osób z niepełnosprawnościami, wieloletni współpracownik Biura Rzecznika Praw Obywatelskich. Przewodniczący Polskiego Forum Osób z Niepełnosprawnościami.

Trwa wielka fala covidowa, a Polska się rozbroiła

COVID-19 ■ 50, 80, a może 100 tysięcy przypadków dziennie – taka może być obecnie skala zakażeń koronawirusem. Jesteśmy, jak podkreślają eksperci od końca sierpnia, w trakcie fali covidowej, która przetacza się przez kraj bez żadnej kontroli: bez środków ochrony indywidualnej, leków i szczepień przypominających.

Falę widać w gabinetach lekarzy POZ i w aptekach, szturmowanych przez pacjentów kupujących testy, środki przeciwgorączkowe i przeciwbólowe. Oraz w absencjach w szkołach i miejscach pracy. Nie widać jej w danych resortu zdrowia, choć – jak mówi dr Paweł Grzesiowski, ekspert samorządu lekarskiego ds. COVID-19 – trendy można wyczytać nawet z tych szacunkowych danych (dziennie wykonujemy ok. 2,5-3 tys. testów, więc trudno mówić o reprezentatywności). Jednak wskaźnik R (reprodukcji wirusa) na poziomie 1,6-1,7 pokazuje, że fala się rozwija, a 40-45-proc. odsetek testów pozytywnych, że skala niedoszacowania zakażeń jest ogromna.



Ściana pamięci ofiar COVID-19.
Londyn, 4 listopada 2023 r.

Podobnie sprawy mają się w Europie i na świecie. Tylko że inne kraje nie są tak bezbronne. W UE od września trwają szczepienia preparatem firmy Pfizer dostosowanym do nowych wariantów wirusa. My na szczepienia poczekamy jeszcze przynajmniej trzy tygodnie. Powód? Były minister zdrowia Adam Niedzielski zdecydował o wejściu w spór sądowy z Pfizerem. Zerwanie kontraktu zablokowałoby dostawy. Musimy czekać na dopuszczone pod koniec października preparat firmy Novavax, bo trzeci producent, Moderna, nowych szczepionek na razie do Europy nie dostarcza.

Co gorsza, polscy pacjenci nie mają też dostępu do skutecznego leku przeciw COVID-19, który powinien być podawany osobom narażonym na ciężki przebieg. Lek teoretycznie jest, ale cena – 6 tys. zł – jest zaporowa (w Niemczech kosztuje 60 euro). Za machanie szabelką przez (byłego) ministra walczącego o pozycję polityczną Polacy płacą teraz zdrowiem. © MAŁGORZATA SOLECKA

Trump: tyrody w sądzie, prowadzenie w sondażach

USA ■ Na rok przed wyborami prezydenckimi Donald Trump prowadzi w większości kluczowych stanów. I to pomimo poważnych problemów prawnych.

„Proszę kontrolować swojego klienta!” – wypalił sędzia stanu Nowy Jork do adwokata Trumpa. Zeznając w procesie cywilnym dotyczącym oszustw finansowych jego firmy Trump Organization, były prezydent urządził w sądzie wiec polityczny. Unikał odpowiedzi, prawil tyrody i obrażał sędziego oraz prokuratora generalną, którą nazwał „politycznym sługusem”. Sąd już we wrześniu uznał, iż firma Trumpa zawyżała wycenę swych nieruchomości, by otrzymywać korzystne pożyczki. Politykowi oraz jego synom Ericowi i Donaldowi Jr. grozi kara w wysokości nawet 250 mln dolarów, zakaz działalności biznesowej w stanie Nowy Jork i rozwiązanie ich deweloperskiego imperium.



ALEX KENT / AFP / EAST NEWS

Sądowa szarża Trumpa jest próbą tego, co czeka Stany, gdy ruszą jego cztery procesy karne. Jego prawnicy wnioskowali, by zaczynający się w marcu 2024 r. proces w sprawie próby odwrócenia wyniku wyborów prezydenckich był transmitowany. Argumentowali, że należy mu się proces przed kamerą, bo jest ofiarą prześladowania politycznego ze strony prezydenta Bidena.

Mimo prawnych problemów Trump pnie się w sondażach. Według nowego sondażu „New York Times”/Siena College ma średnio 4 proc. przewagi nad Bidenem w pięciu z sześciu stanów, które są kluczowe dla wyniku wyborów prezyden-

DONALD TRUMP
przybywa do Sądu
Najwyższego
stanu Nowy Jork,
24 października
2023 r.

kich. Mowa o Georgii, Nevadzie, Arizonie, Pensylwanii i Michigan, gdzie Biden wygrał w 2020 r. Aż 59 proc. respondentów z tych stanów źle ocenia rząd Bidena (Trumpowi ufają bardziej w kwestiach gospodarczych), a 71 proc. uważa, że 80-letni Biden jest zbyt sędziwy na walkę o reelekcję. Eksperci uważają, że przy takich nastrojach może być trudno uczynić z wyborów w 2024 r. referendum nad Trumpem (gdy taka strategia Partii Demokratycznej zadziałała podczas wyborów do Kongresu w 2022 r., tzw. *midterms*).

Z drugiej strony, partia Bidena odniosła właśnie sukcesy w wyborach w kilku stanach, gdzie obsadzano stanowiska gubernatorów, lokalnych legislatur i urzędów. Pokazały one dużą mobilizację elektoratu, w tym mieszkankę przedmieść, które odwróciły się od polityków republikańskich pragnących zaostrzyć dostęp do aborcji. „Te kobiety wolą chronić swoje ciała, niż walczyć z podwyższaniem podatków” – ocenia Mary Anna Mancuso, republikańska strateg polityczna. Na razie za wcześnie, by ocenić, jaka kalkulacja zwycięży przy urnach jesienią 2024 r. © MARTA DZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

Uzależnienie – za mocne słowo

INTERNET I ZDROWIE ■ Większość dorosłych Polaków korzysta z mediów społecznościowych (MS); trzy najczęściej używane przez nas platformy to Facebook, Instagram i WhatsApp. Od lat panuje opinia, że przesada w korzystaniu z nich szkodzi, a niektórzy psycholodzy mówią wręcz o „uzależnieniu”. Ich zdaniem niektóre cechy szczególnie intensywnego korzystania z MS pokrywają się z klasycznymi objawami uzależnienia od substancji: wzrost tolerancji (potrzeba spędzania coraz więcej czasu na MS), utrata kontroli (nieudane próby rezygnacji), utrata innych zainteresowań albo częste myślenie o korzystaniu z MS lub planowanie kolejnej sesji. Wymieniany też bywa „zespół odstawienno / abstynencyjny”: szczególnie trudny okres tuż pod odstawieniem MS.

W tym tygodniu ukazały się wyniki badania (M. Wadsley i in.) właśnie nad kontrolowanym „odstawieniem” mediów spo-

łecznościowych. Grupę ochotników w wieku 18-25 lat, którzy zwykle spędzali przy MS średnio 3,5 godziny dziennie, poproszono o całkowitą abstynencję na okres tygodnia. Z baterii wykonanych testów nie wyłania się, jak twierdzą autorzy, obraz klinicznego „odstawienia”. Zaobserwowano co prawda szereg niepokojących objawów. Przede wszystkim, tylko ok. 1 osoba na 7 całkowicie wytrzymała w abstynencji. Poziom kontroli był jednak, jak na osoby rzekomo „uzależnione”, podobno niezły: średni czas korzystania z MS przez tydzień badania wynosił ok. 30 minut dziennie. Autorzy twierdzą, że prawdopodobnie czas ten został w dużym stopniu poświęcony na elementarną komunikację. Co najistotniejsze, nie wystąpiło łaknienie – przemożna chęć powrotu do MS. Rzecz jasna, nie zaobserwowano też typowo fizjologicznych objawów towarzyszących np. odstawieniu al-

koholu lub opioidów, jak drżenie mięśni, potliwość, mdłości czy uderzenia gorąca.

Autorzy nawołują do ostrożności w stosowaniu pojęć medycznych. Jasne, media społecznościowe to dziś potężna, wręcz integralna część życia dla wielu z nas. Z drugiej strony, przypominają badacze, to samo w sobie nie musi być patologiczne. W 2021 r. psycholog Liam Satchell zastosował standardowe narzędzia do diagnozy „uzależnienia od MS” do opisu zwykłych relacji międzyludzkich. Okazało się, że 69 proc. ludzi jest „uzależnionych” od swoich przyjaciół. © ŁUKASZ ŁAMŻA



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY „TP”**
co tydzień goszczą
w programie

„Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz
w Radiu Tok FM. Stuchaj od wtorku do piątku
o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia |
95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

MILCZ I ODEJDŹ STĄD

Fala szaleństwa wokół egzorcyzmowania dawno się już przetoczyła nad polskim Kościołem. Przebój HBO Max z Russellem Crowe'em i wydane właśnie tłumaczenie podręcznika dla egzorcyistów próbują wskrzesić tamto podejście do szatana i opętą.

MACIEJ MÜLLER

DZIESIĘCIOLETNI HENRY DOSTAJE drgawek. „Mamusiu” – mówi. Po chwili dodaje: „Wszyscy umrzą”. I tnie sobie policzki paznokciami. Przerazona matka odwozi chłopca do szpitala: wszystkie wskaźniki w normie, lekarze przepisują środki na uspokojenie.

Wieczorem w domu wysiada prąd. Do odpoczywającego w łóżku Henry'ego podchodzi matka i mocno go przytula. Wtem chłopiec łapie ją za piersi i mówi: „Dziecko jest głodne, tłusta krowo”. Po czym dodaje basowym głosem: „Dajcie mi księdza”. Rodzina wzywa lokalnego wikarego. Ten po sekundzie wylatuje przez drzwi, wyrzuty nadludzką siłą. „Nie ten pieprzony ksiądz!” – krzyczy demon.

Zły duch czasów AI

To scena z filmu HBO Max „Egzorcysta papieża”, od kilku tygodni okupującego szczyty rankingów najchętniej oglądanych w Polsce filmów w streamingu. Są lata 80. XX wieku. Do położonego na odludziu hiszpańskiego dworu sprowadza się amerykańska rodzina, która chce go wyremontować i sprzedać z zyskiem. Ale posiadłość jest nawiedzona. Obecny w niej diabeł opętuje chłopca, po czym żąda spo-

tkania z egzorcyistą. Ale nie byle jakim, tylko egzorcyistą diecezji rzymskiej ks. Gabriele'em Amorthem. Który akurat ma kłopoty z watykańską komisją kierowaną przez racjonalnie nastawionego kardynała, wątpiącego w realność opętania... Słowne i fizyczne starcia między egzorcyistą a szatanem wypełniają resztę filmu Juliusa Avery'ego.

Obraz wyprodukowało małe studio Loyola Productions, któremu zakon paulistów – należał do niego ks. Amorth – przekazał prawa do opowiedzenia jego historii. Jezuita o. Edward J. Siebert, szef firmy i producent wykonawczy filmu, tłumaczył, że chciał opowiedzieć o „pokusie zła i mocy dobra”. Jeszcze przed premierą zaprotestowało Międzynarodowe Stowarzyszenie Egzorcyistów, którego założycielem był Amorth. Oświadczyło, że film jest niewiarygodny, a w przedstawianiu egzorcyzmów „epatuje sensacyjnością”.

– To kolejny horror sataniczny z mocno zużytym rekwizytorium i repertuarem chwytów – ocenia Anita Piotrowska, recenzentka filmowa „Tygodnika”. – Chwilami miałam wrażenie, że nakręciła go sztuczna inteligencja, przepuściwszy wcześniej biografię ks. Amortha przez gatunkowe algorytmy. Tytułowa postać, grana przez



JOSÉ MANUEL RIBEIRO / REUTERS / FORUM



Russella Crowe'a, zdaje się coś zapowiadać: jest witalna, dynamiczna, ma swoje demony. Lecz o żadne poważne demony tutaj nie chodzi, a już na pewno nie o demony samego Kościoła. Bo te wszystkie lochy Watykanu i zasuszone szkielety to są jednak „opowieści z krypty” wobec prawdziwych grzechów, które próbuje się tu załatwić zarzewiałym demonologicznym kluczem. Dlatego również dwuznaczny nieco tytuł, „Egzorcysta papieża”, nie spełnia obietnicy.

Krytyczka zastanawia się: – Czy duchownym nie przysługuje pośmiertnie prawo do wizerunku? Bo choć ks. Gabriele jest tu z pewnością postacią pozytywną, wręcz nadludzką, wyposażoną w supermoce, to jednak film tego człowieka jakoś ośmiesza, wpisując go w wymyśloną ku krwawej rozrywce i jakże stereotypową historię.

Imperium kontratakuje

Rzecz w tym, że zmarły w 2016 r. ks. Gabriele Amorth, autor popularnych „Wyznań egzorcysty”, przez całe życie dbał o to, by jego osobą otaczały niestworzone historie i być może byłby z tego filmu całkiem zadowolony.

– W Polsce Amorth jest przyjmowany na kolanach, można powiedzieć: „*Amorth dixit, ergo verum est*”, „Amorth powiedział, zatem taka jest prawda” – mówi „Tygodnikowi” ks. prof. Andrzej Kobyliński, filozof i kierownik Katedry Etyki w Instytucie Filozofii UKSW w Warszawie.

Problemu upatruje przede wszystkim w pandemonicznej wizji świata: – Amorth widział diabła wszędzie – mówi ks. Kobyliński. – Twierdził, że przez 25 lat dokonał 70 tysięcy egzorcyzmów. To by dawało prawie 8 rytuałów dziennie. Opowiadał, że każdego dnia rozmawiał z diabłem po łacinie. Kardynałów kurii rzymskiej oskarżał, że są opętani. Twierdził, że za zabójstwem w Watykanie w roku 1998 płk. Aloisa Estermanna, dowódcy Gwardii Szwajcarskiej, stał szatan. Uważał, że osoby homoseksualne są dziećmi diabła. Można przywołać wiele innych tego typu wypowiedzi, aż po upatrywanie zagrożenia duchowego w książkach o Harrym Potterze.

*Egzorcyzmy,
Portugalia, grudzień 2008 r.*

Badacz z UKSW zauważa, że moda na egzorcystyczną duchowość skupioną na szatanie i zagrożeniach duchowych dziś powoli wygasa, czego wskaźnikiem jest malejąca liczba grup charyzmatycznych. Ponadto przestał się ukazywać miesięcznik „Egzorcysta”, a internetowi poszukiwacze rekolencji wolą słuchać pozytywnego kaznodziejstwa Adama Szustaka niż straszenia Piotra Glasa czy Dominika Chmielewskiego.

Najwyraźniej jednak imperium kontratakuje. Wyprodukowany przez jezuitów film z Crowe'em próbuje nie dać zagasnąć legendzie Amortha i będzie wpływał na zbiorową wyobraźnię. Równocześnie do środowiska duchownych trafia właśnie polskie tłumaczenie „Wskazań dla posługi egzorcyzmu w świetle aktualnego Rytuału”. To vademecum przygotowane przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Egzorcystów (MSE), kultywujące pamięć i nauki Amortha. Choć to może dziwne w kontekście wypowiedzi MSE na temat filmu HBO Max, oba dzieła prezentują zbieżną narrację o diable i złu.

Repertuar diabła

Zasadniczą instrukcją dla egzorcysty jest wspomniany „Rytuał”, czy raczej „Egzorcyzmy i inne modlitwy błagalne”. To zatwierdzona w 1998 r. przez watykańską Kongregację ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów książka zawierająca modlitwy przeznaczone do odprowadzania nad opętaną osobą przez kapłanów mających do tego uprawnienia od biskupa. Każda konferencja episkopatu – a także biskup lokalny – może wydać własne instrukcje szczegółowe. KEP zatwierdził taki dokument w 2015 r.

„Wskazania” pierwotnie przeznaczone były jedynie do użytku wewnętrznego Stowarzyszenia, jednak ostatecznie postanowiono je upublicznić. Jak czytamy we wstępie, „nie są tekstem autorytatywnego Magisterium Kościoła ani nie mają mocy przepisu dyscyplinarnego wydanego przez władzę kościelną”, „ustępują wobec wszelkich przepisów” wydanych przez biskupów. Tyle że autorem tego wstępu jest kardynał Angelo De Donatis, wikariusz generalny Jego Świątobliwości dla diecezji rzymskiej. →

→ Co temu nieformalnemu tekstowi nadaje wysoki autorytet.

W środku czytamy najpierw o egzorcyzmach sprawowanych przez Chrystusa. Jak się tu podkreśla, ich opisy mają się w istotnych szczegółach różnić od uzdrowień. „Różnicę tę określić można jako zastąpienie jej obcą inteligencją i wolą, która przejmując kontrolę i kierownictwo nad ciałem” – twierdzą autorzy. Czytelnik ma z tego wynieść przekonanie, że nie chodziło o choroby psychiczne.

Według „Wskazań” diabeł działa na dwa sposoby: zwyczajny i nadzwyczajny. Ten pierwszy to po prostu pokusy, poza

tym diabeł „zatrzuwa nas nienawiścią, smutkiem, zazdrością, wadami”. Egzorcysta zajmuje się działaniami nadzwyczajnymi w postaci „opętania, obsesji i dręczenia” w przypadku człowieka i „nawiedzenia” w przypadku miejsca (przy czym, zaznacza podręcznik, są to wszystko przypadki rzadkie).

Najłagodniejszym działaniem nadzwyczajnym diabła jest obsesja diabelska, dotykająca np. „wyobraźni, zdolności oceny i pamięci”. Osobę taką mogą prześladować natrętne myśli, głos w głowie uniemożliwiający podjęcie modlitwy, może też ona odczuwać „pragnienie zabicia bez żadnego powodu osób przez siebie

kochanych”. Albo miewać wizje „przerażających postaci, które niekiedy naśladują samego Jezusa Chrystusa, Matkę Bożą, aniołów i świętych”.

Stopień wyżej to diabelskie dręczenie, gdy demon atakuje fizycznie. „Wskazania” są tu precyzyjne: chodzi o „zadawanie ran ciętych lub oparzeniowych, zadrapań, użądleń, ugryzień, ciosów, które pozostawiają siniaki; może chodzić także o obrzęki i krwawe wrzody, łamanie kości, wycinanie w skórze liter, słów lub znaków”, a także „odczuwanie mdłych zapachów, [bycie obrzuconym] kamieniami lub fekaliami niewiadomego pochodzenia (...), nagłe lewitowanie”. Prześladowani bywają „zrzucający z łóżka lub ze schodów, wyrzucani w powietrze lub przytrzaśnięci do podłogi lub ściany, ciągnięci przez niewidzialną rękę za włosy, (...) przeniesieni na dużą odległość od miejsca, w którym się znajdowali”.

Najwyżej w hierarchii stoi opętanie, „czyli wprowadzenie w ciało ofiary obecności demonicznej”.

Piekielne gwoździe

– Marek miał stany lękowe, ale się tego wstydił i długo się męczył, zanim nam o tym opowiedział – relacjonuje mi ojciec licealisty. – Rok temu dołączył do duszpasterstwa młodzieżowego przy parafii. Okazało się, że uczestnicy wymieniali się tam książkami Amortha. W dodatku zaproszono tam jakiegoś księdza profesora, specjalistę od zagrożeń duchowych. I on opowiedział młodzieży, że tak jak godzina 15 jest poświęcona Matce Bożej, tak trzecia w nocy, symetrycznie, należy do szatana. Marek przyznał, że codziennie budził się punkt trzecia spocony ze strachu.

– Stany lękowe zdarzają się nie tylko u czytelników Amortha – podkreśla ks. Andrzej Kobyliński – ale też np. u uczestników spotkań z ks. Johnem Bashoborą na Stadionie Narodowym. Niektóre osoby po powrocie do domu bały się spać przy zgaszonym świetle.

Jeśli powyższe cytaty ze „Wskazań” brzmią jak wyjęte ze scenariusza horroru, to Amorth wspina się jeszcze wyżej. Jego książki próbują udawać popularyzację teologii, ale w rzeczywistości narracja stanowi jedynie pretekst do mnożenia kolejnych mrozących krew w żyłach przykładów działania diabła.

W „Wyznaniach egzorcysty”, wydanych w 1990 r. i nieraz cytowanych we



ADOBE STOCK

wczesnego dzieciństwa”. Pacjentka „była przekonana o tym, że jest opętana, i w ciągu kilku lat była kilkakrotnie poddawana egzorcyzmom”. U takich osób zastosowanie siły podczas rytuału może przywołać urazowe wspomnienia.

Szkiełko i oko

PSYCHOLOG Z UNIwersYTETU SWPS dr hab.

Igor Pietkiewicz w latach 2016-22 prowadził unikalne w skali światowej badania nad osobami zgłaszającymi się do egzorcystów. W jego perspektywie „egzorcyzmy to przyjęty kulturowo, alternatywny sposób radzenia sobie z trudnościami”. Czasem – tłumaczył w rozmowie z PAP – „łatwiej zrzucić problem na złe duchy, niż przyznać, że się ma jakiś psychologiczny problem lub coś trudnego dzieje się w rodzinie”. W wywiadzie dla „Dużego Formatu” dodał: „Widzę to wszystko jako formę eks-

presji różnych impulsów, wewnętrznych konfliktów (...), które polegają też na tym, że pacjenci nie akceptują swoich zachowań”.

WEDŁUG PIETKIEWICZA

nagłe zmiany zachowania i tożsamości mogą się wiązać z jednostkami klinicznymi w Polsce słabo rozpoznawanymi: chodzi np. o zaburzenia dysocjacyjne (związane z traumą) lub zaburzenia osobowości. W „DF” opowiadał o kobiecie profanującej obiekty sakralne: jej zachowanie „było wyrazem ogromnej wrogości do mężczyzn i do osób reprezentujących autorytet, i wiązało się z poważnymi urazami psychicznymi. Ucieczki z domu, narkotyki, pobicia i gwałty były obecne w jej życiu od

CHOCIAŻ WATYKAN zaleca konsultacje kliniczne, nie wszyscy egzorcysty się temu podporządkowują – wskazuje Pietkiewicz. W wywiadzie z „DF” zauważył, że „w leczeniu osób, o których w rozumieniu kulturowym powiedzielibyśmy, że są opętane, Kościół katolicki odgrywa dużą rolę. Tyle tylko, że powinna ona sprowadzać się (...) przede wszystkim do udzielania wsparcia emocjonalnego i zachęcania chorego do konsultacji klinicznej”. Sęk w tym, że wśród egzorcystów (w Polsce wyznaczono ich obecnie – według list podawanych na stronach kurii biskupich – stu kilkunastu) tylko niektórzy mają przygotowanie psychologiczne.

©© MACIEJ MÜLLER

„Wskazaniach”, Amorth przekonuje, że ofiarą diabła można stać się „w sposób zawiniony lub niezawiniony”. W ten pierwszy – np. uczestnicząc w seansach spirytystycznych, uprawiając jogę czy słuchając muzyki satanistycznej, w drugi – będąc ofiarą uroku bądź przekleństwa. „Nie wiem, jak mogą się usprawiedliwiać te osoby duchowne, które mówią, że nie wierzą w czary” – ubolewał. To podejście powielają „Wskazania”: obszerny rozdział poświęcony *maleficium*, czyli sztuce czynienia zła z pomocą złego ducha, traktuje zupełnie na serio o czarownikach i wiedźmach, o skuteczności uroków bądź czarów rzucanych za pomocą przeklętych przedmiotów (prawdziwy okultysta potrafi zaczarować nawet krucyfiks bądź obraz Matki Bożej) albo... nakłuwanej szpilami lalki lub zakopanego w ziemi zgnitego mięsa.

Amorth sypie opowieściami: „o wątlej i na pozór słabej dziewczynie, którą w czasie dokonywania egzorcyzmów musiało trzymać czterech mężczyzn”; o człowieku, na którego „rzucano śmiertelny urok”, podając mu „zaczarowany owoc”; o groźbach, którymi diabeł próbował przestraszyć autora („Pożrę ci serce”, „Wśliznę się do twego łóżka jak wąż”); albo o tym, co z siebie wydała opętany człowiek („gwoździe, kawałki szkła, małe drewniane laleczki, splecione kawałki sznurka, zwinięte kawałki drutu żelaznego, różnego koloru nici bawełniane lub skrzepy krwi”).

„Gwoździe »made in hell« powinny się jakoś różnić od tych wyprodukowanych ludzkimi dłońmi w jakimś całkiem ludzkim przedsiębiorstwie” – pisał w 2013 r. Tomasz Stawiszyński, postulując wykonywanie badań laboratoryjnych przedmiotów materializowanych rzekomo przez diabła. Postulat niestety do dziś nie wcielono w życie.

Żarty żartami, jednak dla młodych wrażliwych osób zetknięcie się z takimi treściami, wspartymi autorytetem „watykańskiego egzorcyisty”, mogło prowadzić do traumy.

Żadnych rozmów z demonem

– Nie spotkałem się z takimi zjawiskami jak wymiotowanie gwoździami. Za-uważmy, że na ogół tego typu opowieści przytaczane są z drugiej, trzeciej ręki. Nie wiem, czy pan znajdzie w Polsce egzorcyistę, który by posiadał taki gwoździe – mówi mi ks. Sławomir Sosnowski, były egzorcy-

Obszerny rozdział „Wskazań dla posługi egzorcyizmu” traktuje zupełnie na serio o czarownikach i wiedźmach, o skuteczności uroków bądź czarów.

sta diecezji łódzkiej (funkcję pełnił w latach 2008-17).

Opowiada, że kiedy zgłaszała się doń osoba twierdząca, że mógł ją opętać diabeł, najpierw rozmawiał. – Pytałem, dlaczego uważa, że jest dręczona. Czasem odsyłałem do psychiatry, z którym współpracowałem. Nawet jeśli podejrzewałem problemy wyłącznie psychologiczne, nikomu nie odmawiałem modlitwy, choć nie był to wtedy egzorcyzm. Kiedyś, gdy spotkanie zamierzałem ograniczyć tylko do rozmowy, usłyszałem: nie po to tu przyjeżdżałem.

– Jedyne, co miałem mu do powiedzenia, to słowa Chrystusa: „Milcz i wyjdź z niego!” – odpowiada ks. Sosnowski pytany, czy rzeczywiście egzorcyzm polega na słownych potyczkach z demonem i czy zadaniem egzorcyisty jest zmuszenie go do zdradzenia swojego imienia, tak jak to pokazuje film HBO Max oraz o czym wspominają (choć jako o warunku niekoniecznym) „Wskazania”. – Poza tym imiona złych duchów to kwestia umowna; one pochodzą np. od starożytnych bóstw. Moim zdaniem trzeba uważać, żeby nie mitologizować świata duchowego.

A czy diabeł może – jak ten filmowy – głośno wypominać grzechy księdza czy innych obecnych? – Kiedyś usłyszałem: „Mógłbym w trzy minuty powiedzieć wszystkie twoje grzechy” – wspomina ks. Sosnowski. – Miałem ochotę odpowiedzieć, że w trzy minuty to niewykonalne. Ale jak już mówiłem, nigdy nie wchodziłem w dialogi z demonem.

Nietrudno jednak znaleźć w internecie nagrania, w których egzorcyści opowiadają, czego się dowiedzieli od diabła w czasie egzorcyzmów. „Gdybyście padli przed Nim [Bogiem] na kolana i wielbili go, tak jak to czynią aniołowie, nie mielibyśmy nad wami takiej władzy”, „Moja pycha jest moją mocą i moim prze-

kleństwem” – takie m.in. cytaty z szatana przytacza w swoich dostępnych na YouTube konferencjach ks. Piotr Glas. Ks. Amorth, jak pisze, kiedyś pytał demona, „czy współpracował przy tworzeniu piekła”, i usłyszał: „Wszyscy [tzn. każdy z upadłych aniołów] wnieśli swój wkład”.

– Swoją wiarę mamy budować na Objawieniu Bożym. Czy na pewno jest wolą Bożą dodawanie czegoś do niego przy pomocy złego ducha, którego Pismo nazywa ojcem kłamstwa? – pyta były egzorcyista. – Zakładając, że to przemawia rzeczywiście zły duch, a nie ludzka wyobraźnia. Dalej, skąd mamy pewność, że posiadamy władzę, by ojca kłamstwa zmusić do mówienia prawdy? Egzorcyista ma wygonić diabła, a nie go przepytować.

Pytany, czy można realnie rzucić na kogoś klątwę, ks. Sosnowski opowiada o osobie, którą przyjmował po tym, jak odmówiła znalezionej w internecie formułę nad nie lubianą nauczycielką, a ta jeszcze tego samego dnia złamała nogę. – Ten ktoś bardzo się przestraszył, że stał się narzędziem złego ducha. Możemy powiedzieć, że to przypadek, albo też przyjąć, że zły duch mógłby skorzystać z tego typu „zaproszenia”. Ale jestem daleki od budzenia paniki, bo przecież ostatecznie Pan Bóg jest ponad tym wszystkim – mówi. – Trzeba unikać myślenia, że wystarczy odmówić jakąś formułę, by coś się automatycznie stało. To zabobon.

Świat w szponach złego

– Egzorcyzmy są stare jak świat. Różne formy uwalniania ludzi od zła osobowego są znane we wszystkich religiach i kulturach – mówi ks. Andrzej Kobyliński. – Katolickie rozumienie tych kwestii jest określone precyzyjnie w Magisterium i stanowi część oficjalnego nauczania. Ale w Polsce to się wymknęło spod kontroli. Nadużycia są konsekwencją zalania Polski religijnością synkretyczną, neopentekostalną tzw. trzeciej fali. Nie chodzi o Kościół Zielonoświątkowy w RP ani inne tradycyjne Kościoły tego nurtu, ale o wspólnoty neopentekostalne, mnożące się od dwudziestu z górą lat szczególnie w Afryce, Azji i Ameryce Południowej. Dzisiaj mają one setki milionów członków. To reformacja zielonoświątkowa, największa rewolucja w dziejach chrześcijaństwa.



VANDEVILLE ERIC / ABAKA PRESS / FORUM

O. Gabriele Amorth, Rzym, luty 2012 r.

→ „Wskazania”, jak podkreśla etyk z UKSW, powstały we Włoszech w środowisku księży związanych z religijnością charyzmatyczną. – Także w Polsce zagadnienia dotyczące egzorcyzmów i w ogóle szatana są zdominowane przez środowiska charyzmatyczne. Niestety, na tego rodzaju tematy prawie w ogóle nie wypowiada się teologia akademicka. W efekcie polska recepcja tej problematyki jest bardzo jednostronna, ograniczona.

Ks. Sławomir Sosnowski wiąże dominującą narrację na temat diabła i opętań z popularnością katolickiej Odnowy w Duchu Świętym. – Początkowo koncentrowała się na działaniu Ducha Świętego, na tym, że każdy człowiek ma bezpośrednią relację z Panem Bogiem – mówi. – Każdy jest charyzmatykiem w sensie, że jest obdarzony jakimś darem, z którym ma pójść do innych. Z biegiem czasu narastał jednak przekaz negatywny, podkreślający działania złego ducha, pojawiło się myślenie o jego wszechobecności, skupianie się na zagrożeniach duchowych. To myślenie na granicy manicheizmu, bo przyjmuje, że świat jest w szponach złego i że dysponuje on jakąś autonomią wobec Boga. Tymczasem Bóg dopuszcza działanie zła, ale ma nad nim całkowitą władzę.

Ks. Kobyliński uważa, że od prawie 20 lat polski katolicyzm chłonie zielonoświątkowe rozumienie szatana, złych duchów i uwalniania ludzi od ich wpływu. – U nas w ostatnich latach egzorcyzmy odprawiano na każdym kroku – mówi. – W 2016 r. mieliśmy nawet „egzorcyzm nad Polską”, w którym wzięło udział 100 tysięcy ludzi, a to już kuriozum do kwadratu. Było to typowe nabożeństwo

zielonoświątkowe, celebrowane przez katolików na Jasnej Górze. Media katolickie się tym zachwycali. Byłem wówczas zdumiony i przerażony.

Okres „szaleństwa egzorcyzmowania” miał miejsce w Polsce, zdaniem księdza profesora, głównie w latach 2007-15. – Zaniedbywano diagnozy psychiatryczne zgłaszających się osób, młodym, także nieletnim, wmawiano bezpodstawnie, że działa w nich zły duch – wylicza. – A przecież takie traumatyczne przeżycie może trwale uszkodzić psychikę, wprowadzić w stany lękowe i depresję. Diabłem straszono w kazaniach. Dzieciom przed pierwszą komunią pokazywano filmy o szatanie. Szerzyło się szaleństwo tzw. furtek złego ducha, czyli wyszukiwania w życiu swoim oraz swojej rodziny grzechów i przedmiotów, które mogły otworzyć drogę diabłu. Rozpowszechniano rachunki sumienia, według których wystarczy komuś powiedzieć „idź do diabła”, przywieźć z Egiptu gipsowego słonika albo nosić ubranie uszyte w Indiach, żeby zainteresował się nami zły duch. Wszelka racjonalna krytyka tego podejścia spotykała się z ostrym i bezpardonowym atakiem. Sam jestem jego ofiarą.

Jego zdaniem doprowadziło to do ośmieszenia religii i przyspieszenia sekularyzacji. – Teraz przyjdzie się zmierzyć z konsekwencjami dokonywanego latami spustoszenia duchowego. Przede wszystkim trzeba pomóc ofiarom i wskazać winnych – uważa etyk. – W Polsce są tysiące ludzi skrzywdzonych przez niektóre dziwne praktyki charyzmatyczne, także przez niektórych egzorcystów.

Ujawnienie skali tych krzywd jest dopiero przed nami.

Nadal co pewien czas głośno jest o przypadkach takich, jak z reportażu Marcina Wójcika w „Dużym Formacie” z 2018 r.: ludzi, których egzorcysty dosłownie torturowali w wielomiesięcznych „rytuałach”. We Francji od roku 2015 funkcjonuje w Kościele katolickim komisja narodowa zajmująca się nadużyciami duchowymi – niezależnie od tej zajmującej się przestępstwami seksualnymi. Bada ona nadużycia religijne i przemoc duchową głównie we wspólnotach charyzmatycznych. – Jednym z częściej występujących nadużyć jest wmawianie opętania, straszenie diabłem i bezpodstawne dokonywanie egzorcyzmów lub modlitw uwolnienia – wylicza ks. Kobyliński.

W Niemczech, po zgonie w 1976 r. egzorcyzmowanej przez 10 miesięcy Anneliese Michel i po skazującym wyroku dla oskarżonych o nieumyślne spowodowanie śmierci 24-latk, dokonujących rytuału dwóch księży – episkopat wydał nieformalny, obowiązujący do dziś zakaz sprawowania egzorcyzmów.

Gdzie szukać zła

Ks. Amorth w swoich tekstach regularnie powtarzał, że marzeniem szatana jest to, by ludzie przestali o nim myśleć. Innymi słowy: jeśli nie zgadzasz się z podejściem Amortha, jesteś pożytecznym idiotą szatana.

– W swoim długim już życiu nigdy nie spotkałem osoby opętanej, ale przyjmuję, że to może się zdarzyć – przyznaje ks. Kobyliński. – Natomiast uważam, że zła osobowego trzeba szukać gdzie indziej, np. między dyktatorami wzniciącymi okrutne wojny, wśród twórców łagrów i obozów zagłady, pośród ludzi odpowiedzialnych za wytwarzanie i dystrybucję pornografii dziecięcej. W Polsce szukamy diabła nie tam, gdzie on rzeczywiście działa. Ostatnio w kręgach charyzmatycznych najczęściej wskazywano jego obecność u dorastających dziewczynek. Powiem prowokacyjnie, że ja bym się na miejscu szatana z tego cieszył. Bo to kompletnie odwraca uwagę od rzeczywistych przejawów jego działania w świecie.

Rozsądna debata kościelna o diable i egzorcyzmach wciąż przed nami. Jak powinno wyglądać zdrowe katolickie podejście do kwestii działania zła? Według ks. Kobylińskiego musi uwzględnić hi-

storyczny rozwój wiedzy naukowej na temat świata i człowieka, który nastąpił przez dwa tysiące lat chrześcijaństwa. Przede wszystkim, w XXI wieku o cudach, uzdrowieniach czy opętaniach opisanych w Ewangeliach i Dziejach Apostolskich nie można myśleć jak przed dwoma tysiącami lat. – Jesteśmy zobowiązani do szukania ukrytego sensu tych wydarzeń – mówi etyk. – Po drugie, o ile katolickie Magisterium przyjmuje istnienie zła osobowego, to nie pozwala na jego banalne ujęcie. Mówimy o niewidzialnej i niezwykle inteligentnej potęgze, a nie o komicznej postaci z rogami, która wrzuca grzesznika do kadzi z gorącą smołą.

Jest też problem natury duszpasterkiej, na który zwraca uwagę ks. Sławomir Sosnowski, wskazując na wprowadzenie do zatwierdzonego przez Stolicę Apostolską „Rytułu”. – Czytamy tam, że tajemnica miłosierdzia Bożego staje się trudniejsza do zrozumienia, gdy stajemy wobec nadzwyczajnych działań złego w drugim człowieku. Bo dlaczego Pan Bóg do czegoś takiego dopuszcza? We „Wskazaniach” to zdanie jest trzykrotnie przywoływane. Więc jeżeli ktoś skupia się w kaznodziejstwie na egzorcyzmach, to utrudnia przeżywanie wiary mniej przygotowanym ludziom – stwierdza.

Powrót zabobonu

4 listopada, kościół Matki Bożej Pocieszenia w Krakowie: trwa msza z modlitwą o uzdrowienie wewnętrzne odpra-

KS. PROF. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI:

W Polsce są tysiące ludzi skrzywdzonych przez dziwne praktyki charyzmatyczne, także przez niektórych egzorcystów. Ujawnienie skali tych krzywd jest dopiero przed nami.

wiana przez ks. Jana Reczka. Trudno powiedzieć, by świątynia pękała w szwach, choć zajęte są wszystkie miejsca w ławkach. „Jeśli ktoś walczy z grzechem, jak może, a ciągle się potyka, to znaczy, że jest jakiś inny defekt poza jego wolą, który domaga się albo łaski uzdrowienia, albo nawet uwolnienia” – mówi w kazaniu ks. Reczek. Podkreśla wagę najmniejszych szczegółów. Opowiada o spotkaniu z małżeństwem, które nie mogło mieć dziecka. „I przyszło takie poznanie w czasie modlitwy: kiedy miałaś 15 lat, powiedziałeś w rozmowie z koleżankami, że nigdy nie będziesz chciała mieć dzieci” – opowiada.

Raptem przekonuje, że niektórzy „niosą w sobie jakąś słabość przez dzielectwo”. „Jeśli moi przodkowie uczynili coś, co obciążało ich serca, wprowa-

dziło złego ducha do życia rodziny, i nie zostało wynagrodzone, (...) to my potrafimy to odbierać w kolejnych pokoleniach przez doświadczenie mocy złego ducha” – mówi.

Kaznodzieja jest ostrożny i nie używa określenia „grzech międzypokoleniowy” – ale jego rozumowanie do tej hipotezy teologicznej zdaje się sprowadzać. W październiku 2015 r. wypowiedziała się na jej temat Komisja Nauki Wiary Konferencji Episkopatu Polski. W opinii teologicznej napisała, że „praktyka ta jest skutkiem synkretyzmu religijnego, który wykształcił nowe zjawisko nazwane »reinkarnacją grzechu«”. Tymczasem przechodzenie grzechu na kolejne pokolenia „nie ma uzasadnienia ani w Piśmie św., ani w Tradycji i nauczaniu Kościoła. Tego typu bezpodstawne idee są bardzo niebezpieczne dla życia duchowego wiernych i samej doktryny Kościoła”.

– Przekonanie, że złe moce mogą przechodzić przez słowa, przedmioty czy gesty, poza naszą świadomością, jest z gruntu niekatolickie – podkreśla ks. prof. Kobylński, dodając, że czuje się bezradny, bo stara się to głosić od kilkunastu lat. – Tysiąc lat temu ewangelizacja w Polsce polegała na oczyszczaniu religijności z tego, co zabobonne i magiczne, zastępowaniu pogańskiego rozumienia zła podejściem biblijnym. Teraz właściwie trzeba zacząć wykonywać podobną pracę. Historia zatoczyła koło.

© © MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Radek Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabbij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (kierowniczka),
Michał Kuźmiński, Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardys,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kačka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Kosiński, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adert,
Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Sumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Życzenia dla Rebeki



LABANOWE OSZUSTWO – PODSUNIĘCIE JAKUBOWI na „noc poślubną”, miast Racheli, jej starszej siostry Lei – odcisnęło swoje piętno na żydowskich zwyczajach weselnych. Przed udaniem się pod ślubny baldachim ma miejsce mini-ceremonia zwana w jidysz *kale badekn* (dosł. zakrycie panny młodej). Narzeczoną w asyście gości podchodzi do siedzącej z twarzą zakrytą welonem narzeczonej. Podnosi zasłonę, by symbolicznie przekonać się, że to na pewno jego wybranka. Kiedy na powrót zakrywa kobiecie twarz, towarzyszący mu zwyczajowo wygłaszają błogosławieństwo: „Siostró nasza! od ciebie niech powstaną tysiące myriadów, a niech zdobędzie ród twój bramę wrogów swoich!” (Rdz 24, 60; Cyllkow).

Błogosławieństwo to jako pierwszy wygłosił nie kto inny, lecz sam Laban. Złożył takie życzenia siostrze wraz z matką, gdy żegnali Rebeke, udającą się do swego przyszłego męża Izaaka. Przypomnijmy: po śmierci Sary Abraham postanowił ożenić swego syna, wysłał więc zaufanego sługę w rejon zamieszkały przez swoich krewnych, by ten sprowadził stamtąd godną wybrankę. Sługa poprosił Najwyższego o wskazanie właściwej dziewczyny – znakiem rozpoznawczym było napojenie u źródła owego sługi oraz jego wielbłądów. Test śpiewającą zdała Rebeka, córka Betuela, Abrahamowego bratanka, a zarazem siostra Labana, który w przyszłości przysporzy nie mało zgrzyot młodszyemu synowi swojej siostry, Jakubowi.

Znając przyszłe interakcje Labana z Jakubem, XIX-wieczny rabin Gostynia i Witkova nie wierzy w jego dobre intencje przy błogosławieniu wychodzącej z domu na zawsze siostry. Rabin interpretuje jego słowa w następujący sposób: jeśli zostaniesz matką tysięcy dziesiątek tysięcy (miriada – 10 tysięcy – to po hebrajsku też jedno słowo: *rewawa*), czyli żoną milionera, nie zapominaj o swoich krewnych. Zawsze pamiętaj, że jesteś córką Aramejczyka Betuela – po hebrajsku Riwka bat Betuel haArami, co daje akronim *ReWaWA* (jedna litera hebrajska reprezentuje fonemy „b” i „w”).

Życzenia dla Rebeki przywodzą na myśl błogosławieństwo, które wcześniej otrzymał Abraham po nieomal ofiarowaniu Izaaka: „pobłogosławię cię, i rozmnożę potomstwo twoje, jako gwiazdy nieba, i jako piasek, co na brzegu morza; a zdobędzie ród twój bramy wrogów swoich” (Rdz 22, 17). Rebeka przypomina pierwszego Patriarchę: okazuje charakterystyczną dla Abrahama dobroć i gościnność w stosunku do sługi przyszłego teścia, nie waha się też wyruszyć, podobnie jak on, w podróż z jej perspektywy w nieznane. Zdecydowanie to nie traumatyzowany Izaak, lecz jego żona kontynuuje dzieło Abrahama i trzyma w rękach stery rodziny. Ale w patriarchacie nie wolno wszak głośno powiedzieć, że praojcami byli Abraham, Rebeka i Jakub... ©

O. WACŁAW

Oszajca: Chociażbyś mnie zabił



W KSIĘDZE PRZYSŁÓW CZYAMY: „KTO ZNAJDZIE dzielną kobietę? Jej wartość przewyższa perły. (...) Wysławiajcie ją za owoce jej rąk, niech jej dzieła sławią ją w miejskiej bramie!”. Znamy taką kobietę, jest nią niejaka Helena Kowalska,

którą za jej dzieło pt. „Dzienniczek” sławią w ponad trzydziestu językach ludzie w całym świecie. Niech nas tylko nie zmylą święte obrazki. Wymuskana Święta Faustynka ma się nijak do tej żywej, która miała odwagę powiedzieć Jezusowi prosto w oczy: „Jezu, ja się Ciebie boję, czy Ty nie jesteś jakim widmem. Jezus mnie zawsze uspokajał, ale ja zawsze nie dowierzałam. Dziwna rzecz, im ja więcej nie dowierzałam, to Jezus więcej dawał dowodów, iż On jest sprawcą tych rzeczy”. Nie tylko z Jezusem Faustyna miała kłopot, ale z przełożonymi i siostrami również: „Widzę teraz, że jestem jak złodziej strzeżona wszędzie: w kaplicy, przy obowiązkach, w celi. Już teraz wiem, że oprócz obecności Bożej mam zawsze obecność ludzką; naprawdę, nieraz bardzo ta obecność ludzka mnie męczyła. Były chwile, że się zastanawiałam, czy się rozebrać do mycia, czy nie. Naprawdę, biedne moje łóżko, ono także było wiele razy kontrolowane. Śmiech mnie nieraz ogarnął, jak się dowiedziałam, że nawet łóżko nie zostawia w spokoju. Sama mi jedna z siostr powiedziała, że co dzień wieczorem patrzyła się do mnie do celi, jak się w niej zachowuję”.

Powiedzieć, że siostra Faustyna nie znajdowała zrozumienia wśród najbliższych, jak również u kleru, to nic nie powiedzieć. Ale parafrazując porzekadło: bogatemu nawet diabeł dzieci kołysze, na świętemu nawet diabeł sprzyja, nie zapominając oczywiście o „szczęśliwej winie”, właśnie te przeciwności pomogły jej „wybić się na niepodległość” – wolność sumienia.

„Kiedy poznałam, że nic nie otrzymuję uspokojenia od Przełożonych, postanowiłam nic nie mówić o tych rzeczach czysto wewnętrznych. Na zewnątrz starałam się, tak jako dobra zakonnica, o wszystkim mówić z przełożonymi, ale o potrzebie duszy już będę tylko mówić w konfesjonale”, choć i tam nie zawsze znajdowała zrozumienie. Ale czy można by Faustynie zarzucić hipokryzję? Zapewne nie słyszała ona o dwudziestu rodzajach sumienia, ale znała Chrystusa. To wystarczyło, żeby wiedzieć, iż: „Wszystko, co nie pochodzi z przekonania wiary, jest grzechem”. Dlatego Faustyna miała odwagę porzucić pobożność rozpiętą między winą, karą i przebaczeniem na rzecz pobożności wywiezionej z miłości: „Chociażbyś mnie zabił, ja Ci ufać będę. (...) Czyń ze mną, o Jezu, co Ci się podoba. (...) I niech się stanie wszystka wola Twoja we mnie. (...) Przez ten akt poddania ustąpiły te straszne udręki”. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Pytanie ekonoma

Chcesz poznać Boga?
Najpierw poznaj
samego siebie.

EWAGRIUSZ Z PONTU



Wysilając się lub nie
– głupiec nie zazna
spokoju.

Mędrzec spokój osiąga
przez samo rozpoznanie
prawdy.

ASZTAWAKRAGITA



JEDNO Z TRAFNIEJSZYCH pytań zrelacjonowanych przez Ewangelię: „Co ja pocznę, skoro mój pan odbiera mi zarządzanie?” (Łk 16, 3). Kim będę, kiedy przestanę być zarządcą?

To ważne pytanie, bo to ważna funkcja – greckie: *oikonomos* – np. ekonom diecezji; główny ekonom w danej firmie; minister finansów itp... Co jednak, kiedy ją stracisz? Kim będziesz?

Zarządca z Jezusowej przypowieści odkrywa z przerażeniem: „Będę bezdomny!”; „na ten moment nie ma nikogo, kto by mnie chciał przyjąć do swojego domu!”. „Nie ma nikogo, dla kogo byłbym ważny, skoro tylko stracę swój urząd...” (zob. Łk 16, 4).

Musi natychmiast zmienić swoje działanie; musi zrewidować swoje reguły – rządzące nim zasady: potrzebuje odkryć, że również (może nawet: przede wszystkim) w „ekonomii” / w zarządzie „niegodziwą mamona” ostatecznie idzie o dobro ludzi, a nie o stan „kasy”.

Musi natychmiast zmienić swoje działanie; musi zrewidować swoje reguły – rządzące nim zasady: potrzebuje odkryć, że również (może nawet: przede wszystkim) w „ekonomii” / w zarządzie „niegodziwą mamona” ostatecznie idzie o dobro ludzi, a nie o stan „kasy”.

Przypomina się list Brata Alberta do jednego ze współbraci, któremu święty zlecił prowadzenie jednego ze schronisk: „Piszę trochę może zgadu-

jąc i na niepewne, bo się boję, że Brat się stara więcej o porządek w domu i w kasie, jak o miłosierdzie, a jeżeli się mylę – to dzięki Bogu”.

Kiedy w moim życiu kończy się jakaś funkcja (wcześniej czy później każda się kończy), liczy się już tylko pytanie o to, jakie ważne i trwałe relacje ludzkie (niekoniecznie zawodowe) zbudowałem w tym czasie, gdy ją sprawowałem.

Takich relacji nie tworzy się z urzędem. Takie relacje tworzy się z osobą.

Kim jestem, kiedy po dniu pracy zdejmuję wreszcie z siebie oznaki swojej funkcji czy urzędu (także swój krzyż biskupi)? Kim się staję następnego dnia rano, kiedy znów je na siebie wkładam?

No i to kluczowe pytanie: o co chodzi w moim „zarządzaniu”? Czy przekłada się ono na dobro konkretnych ludzi? Czy raczej zostają oni wyparci z mojego pola widzenia i zastąpieni jakąś abstrakcyjną rzeczywistością: bilansem, projektem, ideą, programem, planem?

Niby wszystko się zgadza: jest porządek „w domu i w kasie”, a oto nadszedł bezdomność...

Kto wie, może już nawet teraz jestem bezdomny – trudno przecież urząd nazwać domem. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (19 – 26 XI)

33. niedziela zwykła: Prz 31, 10-13. 19-20. 30-31;
Ps 128; 1 Tes 5, 1-6; Mt 25, 14-30;
Poniedziałek: 1 Mch 1, 10-15. 41-43. 54-57. 62-64;
Ps 119; Łk 18, 35-43;
Wtorek: 2 Mch 6, 18-31; Ps 3; Łk 19, 1-10;
Środa: 2 Mch 7, 1. 20-31; Ps 17; Łk 19, 11-28;

Czwartek: 1 Mch 2, 15-29; Ps 50; Łk 19, 241-44;
Piątek: 1 Mch 4, 36-37. 52-59;
Ps: 1 Krn 29, 10b-12; Łk 19, 45-48;
Sobota: 1 Mch 6, 1-13; Ps 9; Łk 20, 27-40;
34. niedziela zwykła: Ez 34, 11-12. 15-17;
Ps 23; 1 Kor 15, 20-26. 28; Mt 25, 31-46.

Wybrał PIOTR SIKORA

ELEGIA DLA BATEREJKI

Do 2060 roku Polsce ubędzie 6,8 mln mieszkańców.
Tylu, ilu mieszka dziś łącznie w województwach mazowieckim i świętokrzyskim.
W czterech podlaskich gminach ta przyszłość już jest teraźniejszością.

MAREK RABIJ



WSEZONIE CZĘSTO STAJĄ TU SAMOCHODY na obcych rejestracjach. Rozbawieni turyści wyskakują z aut i pośpiesznie, jakby w obawie przed reakcją miejscowych, fotografują się na tle czerwonych tabliczek z białym numerem 66. Oznaczona nim droga krajowa nie zdobyła wprawdzie renomy porównywalnej ze słynną Route 66, łączącą Chicago z kalifornijskim Santa Monica, ale jako jej młodsza i „krótsza” siostra dobrze wypada na zdjęciach w mediach społecznościowych.

W wietrzne listopadowe popołudnie w pobliżu ronda w podlaskich Kleszczelach nie widać jednak żywego ducha. Ani od strony nieczynnego dziś przejścia w Połowcach, ani drogą od Hajnówki, ani nawet w stronę Bielska Podlaskiego nie zmierza choćby jedno auto. Tylko deszcz bębni w niedawno ułożony asfalt.

Gdyby ruszyć stąd na północny wschód, w kierunku Hajnówki, po 12 kilometrach dotrze się do miejscowości Dubicze Cerkiewne. Jadąc na północ drogą krajową 66 i potem kawałek wąskimi drożkami lokalnymi, po 18 kilometrach ujrzy się z kolei tablice z nazwą wsi Orla zapisane po polsku i rosyjskimi bukwami. Droga wojewódzka 693, biegnąca od ronda w Kleszczelach w kierunku południowo-zachodnim, po 15 kilometrach przecina natomiast Milejczyce, a po sześciu kolejnych mijają Nurzec-Stację.

Wszystkie wymienione miejscowości łączy jedno. Ich nazwy figurują w opublikowanym przez Główny Urząd Statystyczny spisie polskich gmin, którym do 2030 roku ubędzie najwięcej mieszkańców. Populacja Dubicz Cerkiewnych zmniejszy się o 25,1 proc.; Milejczyce – o 24,3 proc. W Orli ubędzie 22,8 proc. mieszkańców, a Nurcu-Stacji 19,1 proc. W pewnym sensie jest to zatem również laboratorium przyszłości Polski. Kraju, któremu do 2060 roku – jak wynika z jednej z prognoz GUS – ubędzie aż 6,8 mln mieszkańców. Niemal 20 proc. obecnej populacji.

Puste gniazdo

Ulica Główna w Dubiczach Cerkiewnych, przy której mieści się urząd gminy, odbija w prawo od drogi krajowej 685 z Hajnówki. Na słupie przy samym skrzy-

żowaniu bociany uwiły wielkie gniazdo, które wygląda jednak na opuszczone. Wyrósł w nim chwasty zdążyły osiągnąć rozmiary okazałego krzaka.

Wójt gminy Leon Małaszewski uśmiecha się nieśmiało, kiedy wspominam o tej przypadkowej symbolice. – Niestety. GUS się nie myli w tych prognozach. Gmina od lat się wyludnia. Czterdzieści lat temu – ciągnie – mieszkało tutaj 3,7 tysiąca ludzi. Pamiętam dokładnie, bo wtedy zaczynałem pracę w urzędzie. Dzisiaj mamy nieco ponad 1400 mieszkańców, i to coraz starszych. Jako wójt, a jestem nim trzynasty rok, już czterem osobom składałem życzenia z okazji setnych urodzin.

Z ostatniego biuletynu statystycznego GUS wynika, że spośród 751 kobiet mieszkających na terenie gminy Dubicze Cerkiewne aż 285 ma co najmniej 70 lat. Niemal co dziesiąta skończyła już 85. Dziewcząt i kobiet w wieku poniżej 20 lat w całej gminie nie ubiera się natomiast nawet setka. Liczba urodzonych dzieci w roku – 9. Zgonów – 43. Tutejsi samorządowcy ćwiczą więc już dziś scenariusz, z którym za kilkanaście lat, na znacznie większą skalę, zmierzą się także rządzący naszym krajem. Jak zapewnić płynność funkcjonowania państwa i jego infrastruktury przy drastycznym spadku liczby łazących na to podatników? Na czym oszczędzić, a gdzie dołożyć pieniędzy? Czy instytucje publiczne, projektowane w czasach, gdy dodatni przyrost naturalny wydawał się *nomen omen*, naturalny, mogą funkcjonować na dotychczasowych zasadach, uwzględniających konstytucyjne prawa obywatela do bezpłatnej edukacji, opieki zdrowotnej i bezpieczeństwa?

W polskiej demografii lepiej już było. Ujemny przyrost naturalny utrzymuje się od 2013 roku, a prognozy nie wskazują, aby trend mógł się w przewidywalnej przyszłości odwrócić. W ubiegłym – rekordowym pod tym względem – roku ubyło aż 141 tys. mieszkańców, nie tylko z uwagi na liczbę zgonów, ale także na spadek liczby urodzeń, która w zeszłym roku wyniosła zaledwie 305,1 tys. Tak mało dzieci nie przyszło w Polsce na świat od zakończenia II wojny światowej. Na mapie polskich trendów demograficznych nie widać w dodatku większego zróżnicowania terytorialnego. Jedynie w sześciu z szesnastu województw współczynnik dzietności przewyższa wartość ogólnopolską. Najwyższe wskaźniki od-

notowano w województwach wielkopolskim, mazowieckim, pomorskim, małopolskim, łódzkim i podlaskim. Najmniej dzieci rodzi się z kolei w zachodniopomorskim i świętokrzyskim.

Gminna szkoła podstawowa w Dubiczach Cerkiewnych od 1998 roku mieści się w nowym budynku, wzniesionym w miejscu starego drewnianego, który cudem przetrwał dwie wojny światowe, ale w końcu przestał nadawać się już do użytku. W 2000 r. gmina z pompą świętowała oddanie tam do użytku nowoczesnej sali gimnastycznej. Dziś w szkole pracuje 23 nauczycieli, w tym dwóch katechetów prawosławnych i jeden rzymskokatolicki. Grono pedagogiczne w takim składzie opiekuje się 38 uczniami i uczennicami.

– Mamy ich po troje-pięcioro w jednej klasie – dodaje wójt Małaszewski. – W zasadzie powinniśmy je łączyć, ale przepisy na to nie pozwalają, bodajże z wyjątkiem wuefu i zajęć z muzyki. Temu, kto je napisał, ewidentnie nie przyszło do głowy, że w szkole nauczycieli może być więcej niż uczniów, a właśnie w tym kierunku zmierzamy w naszej gminie. Czytałem zresztą ostatnio, że w innej miejscowości na Podlasiu działa szkoła bez uczniów. Starsze roczniki wyszły, nowe nie przyszły, zostali tylko nauczyciele na etatach, ale placówki zlikwidować nie można, bo gmina przecież musi realizować obowiązek szkolny.

Mróz się najlepiej pożyczka

Kiedyś po zmroku chodziło się tu z latarką. Żeby nie skreślić nogi na jakiejś nierówności albo nie dać się przejechać zamyślonemu kierowcy. Latarka była zazwyczaj płaska. Dawała mdłe, żółtawe światło, za słabe, żeby rozbić mrok podlaskiej nocy, ale na szczęście widoczne z dużej odległości. Miejscowi mówili na nią baterejka. Jej tańczące w rytm kroków światło na poboczu drogi było znakiem obecności ludzi.

Dziś po zmroku światła baterek nie widać. We wsiach zastąpiło je oświetlenie uliczne. Tam, gdzie jeszcze go brak, wieczorami większość mieszkańców porusza się samochodami. – Innego wyjścia nie ma – kwituje pani Bożena. – Nasza miejscowość w nazwie ma stację, ale łatwiej stąd dojechać teraz do Warszawy niż do Białegostoku czy Hajnówki. Zabytkowy budynek dworcowy mamy pięknie odremontowany. Nawet pociąg klasy intercity się tutaj ostatnio zatrzymuje. ➔

→ Za to autobusy w stronę Białegostoku polikwidowali. Jeden przed dziewiątą, potem jeszcze jeden po jedenastej. A następny dopiero pod wieczór, więc bez samochodu człowiek jest właściwie uziemiony.

Pani Marzena pracuje w gminnej bibliotece w Nurcu-Stacji. Nie przedstawi się, bo do oficjalnych wypowiedzi dla mediów musiałaby, jak mówi, uzyskać upoważnienie od przełożonych, na co w tym momencie nie ma szans. Z dumą dobrego gospodarza prezentuje za to niedawno oddaną do użytku bibliotekę gminną i jej księgozbiory, wzbogacone właśnie o nowe tytuły dzięki dotacji z Ministerstwa Kultury.

– Co ludzie u nas czytają? – powtarza pytanie. – Tu chyba pana nie zaskoczę. Remigiusz Mróz się najlepiej pożyczka. Dużą popularnością cieszą się też poradniki kulinarne, ale takie z ambicjami. Nie gołe przepisy, tylko książki, które świat pokazują przez kuchnię. Generalnie nie jest źle z czytelnictwem w naszej gminie, bo z 3,7 tysięcy mieszkańców kartę biblioteczną ma ponad 400 osób. To tak, jakby w Warszawie do miejskich bibliotek zapisało się ze dwieście tysięcy ludzi.

Inna sprawa, dodaje pani Marzena, że w Nurcu-Stacji niewiele więcej da się teraz zrobić. Tak samo jak 30 czy 40 lat temu; miejscowość jakby utknęła w trybach historii. Za komuny było zatrudnienie na kolei i w leśnictwie. Część mieszkańców pracowała też, jak mawiano: „na jednostce”, czyli w administracji tutejszej bazy wojskowej położonej za torami, przy cmentarzu. W soboty przyjeżdżało wojskowe kino. Dzieciaki z osiedla przy jednostce każdego ranka zwoził do tutejszej szkoły specjalny autobus. Przyjeżdżały też z sąsiednich miejscowości.

Teraz szkoła w Nurcu świeci pustkami. Miejsce restauracji, w której urządzano imprezy okolicznościowe, zajął sklep spożywczy. To akurat dobra zmiana, uważa pani Marzena, bo z wielu sąsiednich miejscowości spożywcza zanikała. Jednak ludzie mieszkający dziś „na jednostce”, czyli w odremontowanych i docieplonych blokach pozostawionych przez armię, do sklepu w centrum Nurca dziecka po chleb czy masło nie wysła, bo to kawał drogi, a w dodatku trzeba przejść wiaduktem nad torami kolejowymi. „Na jednostce” był kiedyś sklep spożywczy, który zajął miejsce słynnego tutaj sklepu wojskowego, w którym za PRL-u zakupy



MAREK RABIJ

WÓJT GMINY DUBICZE CERKIEWNE:

Czterdzieści lat temu
mieszkało tutaj 3,7 tysiąca
ludzi. Pamiętam, bo wtedy
zaczynałem pracę w urzędzie.
Dzisiaj mamy nieco ponad
1400 mieszkańców.

robić mogły tylko rodziny mundurowych. Pozostały po nim tylko napisy na szybach. W drzwiach zresztą ktoś szybko zbił. Zbankrutował nawet sąsiadujący z nim sklep z artykułami dla myśliwych. Puszczą wprawdzie zaczyna się jakieś siedemset metrów dalej, ale – zauważa pani Marzena – jak ludzie nie mają pracy, to nie mają też pieniędzy na hobby.

– Patrę na ten nasz odremontowany dworzec i czasem za gardło aż mnie ścisną – mówi. – Wreszcie mamy tutaj porządek, chodniki równe, trawę przyszyroną, wiadukt odmalowany. Odrestaurowano nawet zabytkową wieżę ciśnień. Myślałem, że będzie atrakcją, że może jakaś kawiarnia się obok niej otworzy, ale gdzie tam. Nikt jej nie zwiedza. Dlatego coraz częściej myślę, że to bardzo smutne. Paradoks taki. Bo zaraz po upadku komuny był tutaj wszędzie bałagan i ruina, ale ludzi nie brakowało. Teraz jest porządek, tylko nie wiadomo, dla kogo go zrobiono.

Jeszcze w 2016 r., podaje GUS, w 1185 gminach w Polsce było więcej osób poniżej 18. roku życia niż w wieku poprodukcyjnym (mężczyźni w wieku 65 i więcej lat, kobiety w wieku 60 i więcej). Według prognozy urzędu do 2030 r. liczba takich gmin zmniejszy się do zaledwie 160. Głównie w województwach pomorskim oraz małopolskim.

Godzinka

Gdyby nie losie, które o świecie czasem wiażą na drogę, Łukasz całą trasę do

roboty mógłby – jak żartuje – przejechać z zamkniętymi oczami. Droga jest świetna, równa, dobrze oznakowana i zna ją na pamięć. Poza kawałkiem na wysokości Bielska Podlaskiego rankiem w zasadzie nie ma ruchu.

– Od nas to jakaś godzinka do Brańska, gdzie pracuję. Komuś się może wydawać, że to daleko, ale mnie się droga nigdy nie dłuży. Miło się wręcz jedzie, można zebrać myśli, posłuchać muzyki albo podcastu. Ale na losie naprawdę trzeba uważać – powtarza z naciskiem Łukasz. – Stają jak baryła na drodze. Przywalisz z dużą prędkością, to po zwierzęciu i po aucie. Można nawet zginać.

Łukasz urodził się i wychował tutaj, na Podlasiu. Podobnie jak jego żona Ola. Przez kilka lat mieszkali i pracowali w Białymstoku, aż wspólnie doszli do wniosku, że lepiej wrócić do jego rodzinnej wsi Dydule w gminie Orla. Dziadkowie będą na miejscu, więc pomogą przy dzieciach. Zresztą ta pomoc często polega jedynie na wyprowadzeniu dzieci rano przed dom. Gmina oferuje bezpłatny transport do szkoły i ze szkoły.

Autobus staje pod samą bramą. Koło czwartej po południu jest z powrotem, dzieci wysiadają i są w domu.

– Czy źle nam się mieszkało w Białymstoku? Nie, choć nie powiem, że jestem miłośnikiem wielkich miast – przyznaje Łukasz. – Stwierdził się jednak, że na przeprowadzce sporo zaoszczędzimy, niewiele przy tym tracąc, bo samochodem do Białegostoku mamy z domu jakąś godzinę. Tutaj mamy ciszę, czyste powietrze, warzywa z własnego ogródka i codziennie rano świeże jajka od kur mojej mamy. Mobilny internet działa nie gorzej niż w Białymstoku. Jedyny problem to praca. Myślałem o własnym warsztacie samochodowym, ale dałem sobie spokój, bo tu poza rolnictwem nic się nie udaje, większość ludzi to emeryci. My z żoną dojeżdżamy do Brańska.

Z danych GUS widać wyraźnie, że wektor polskich migracji wewnętrznych skierowany jest niezmiennie w stronę największych aglomeracji i omija mniejsze ośrodki miejskie. Tylko w pięciu województwach napływ ludności w 2022 r. był większy od jej odpływu: mowa o mazowieckim, pomorskim, małopolskim, dolnośląskim i wielkopolskim. A raczej o Warszawie, Trójmieście, Krakowie, Wrocławiu i Poznaniu, bo to te metro-

GMINY Z PONAD 20% MIESZKAŃCÓW W WIEKU 65+

■ w 2016 r.
■ w 2030 r.



PROGNOZOWANY UBYTEK LUDNOŚCI W GMINACH OD 2017 r. DO 2030 r.

■ pow. 10%
■ pow. 5%

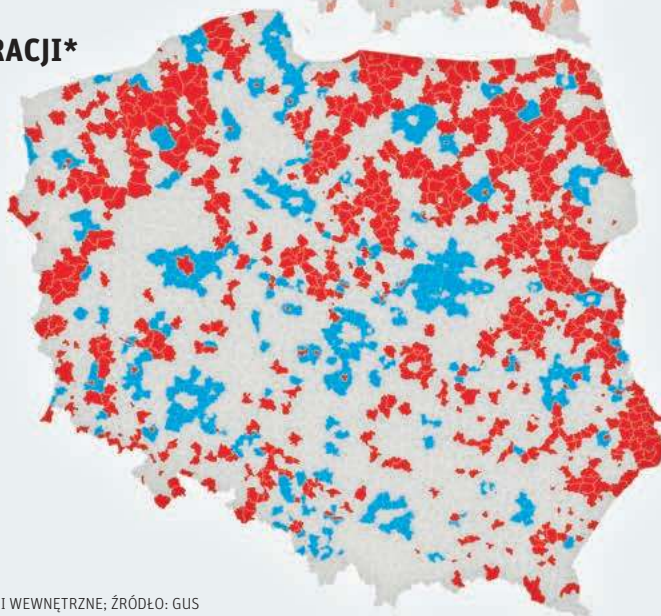
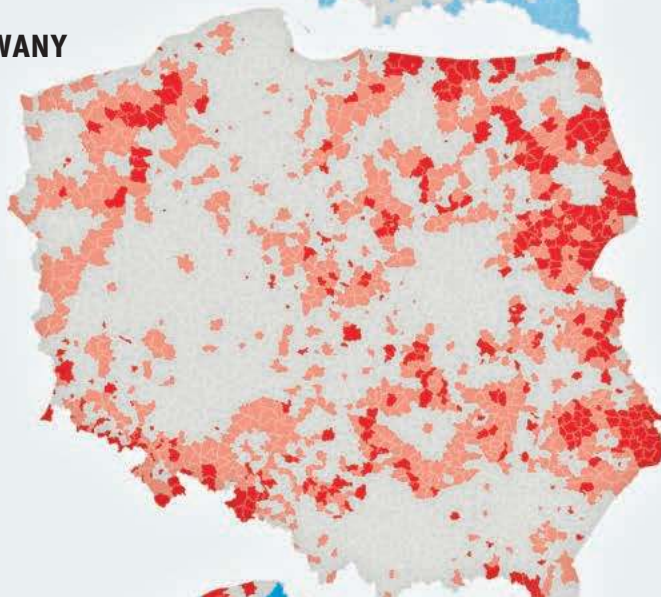
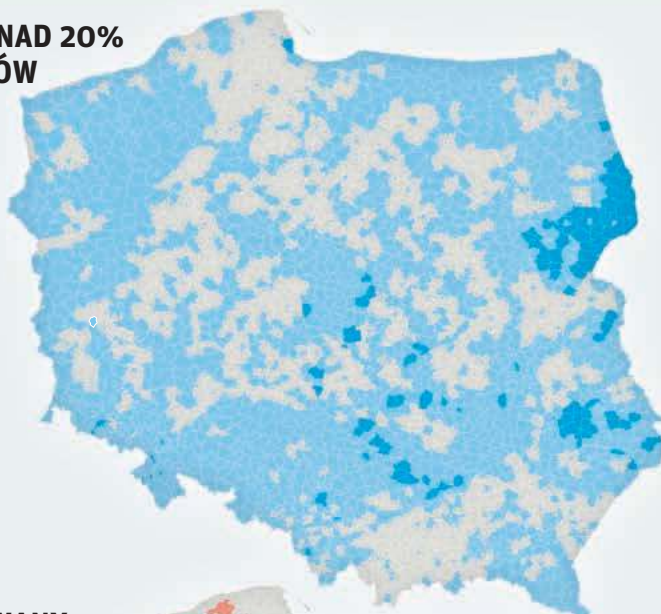


SALDO MIGRACJI* W GMINACH W 2030 r.

■ pow. 3%
■ -3% – 3%
■ pon. -3%



*MIGRACJE ZEWNĘTRZNE I WEWNĘTRZNE; ŹRÓDŁO: GUS



polie wraz z miejscowościami satelitami najsilniej przyciągają dziś mieszkańców z innych terenów Polski.

Badacze GUS podkreślają, że migracje między województwami stanowią dziś zaledwie 22,7 proc. ruchu ludności, który o wiele częściej odbywa się pomiędzy sąsiadującymi ze sobą gminami. I o ile w przypadku przenosin z województwa do województwa decydującym czynnikiem są najczęściej kwestie ekonomiczne i zawodowe, o tyle w przypadku migracji na poziomie gmin mamy do czynienia zwykle z poszukiwaniem dogodniejszego miejsca zamieszkania, czyli atrakcyjniejszych nieruchomości, lepszej infrastruktury albo po prostu chęci wyprowadzki z miasta do pobliskich wsi, stanowiących dziś właściwie przedmieścia.

W 2022 r. liczba mieszkańców Polski, którzy przenieśli się z miasta na tak szeroko rozumianą „wieś”, była o 53,3 tys. wyższa od liczby tych, którzy zdecydowali się na przeprowadzkę w przeciwnym kierunku. Oznacza to jedno. Największe polskie miasta będą rozrastać się coraz szybciej, zmagając się z konsekwencjami tak dynamicznego rozwoju: rozlewaniem się na peryferia, coraz wyższymi kosztami funkcjonowania komunikacji miejskiej, rosnącym zanieczyszczeniem czy koniecznymi inwestycjami w infrastrukturę komunalną.

Rzadziej zaludnione obszary kraju będą natomiast pustoszeć jeszcze bardziej. Wójt Dubicz Cerkiewnych nie chce wybiegać myślami w tak smutną przyszłość. Wciąż liczy na to, że jego gminę czeka lepszy los. W Krajowym Planie Odbudowy są pieniądze, z których miano sfinansować remont wszystkich dróg na terenie gminy. Być może po zmianie rządu uda się z nich wreszcie skorzystać i to zwiększy zainteresowanie okolicą. – Do niedawna – zaznacza Leon Małaszewski – demografię lekko w górę ciągnęły nam migracje, ale to już przeszłość. Prawie połowa obszaru gminy Dubicze Cerkiewne leży na terenie Puszczy Białowieskiej. Mieliliśmy, to znaczy, nadal mamy grunty przeznaczone pod działki wypoczynkowe, ale odkąd na granicy trwa kryzys, zainteresowanie spadło właściwie do zera.

Wójt widzi w tym smutny paradoks. Po jednej stronie granicy tkwią ludzie, których się nie wpuszcza. Po drugiej brakuje takich, którzy by chcieli się do niej zbliżyć.

© MAREK RABIJ



Piknik Rodzinny #DobryCzasPL z udziałem premiera Mateusza Morawieckiego. Stężyca, 28 lipca 2019 r.

Jak odzyskać państwo

STEFAN SĘKOWSKI

Spółki, agencje, fundusze oraz instytucje kontrolne wymagają depisyzacji. Nie po to, by jednych partyjniaków zastąpili drudzy, ale żeby służyły społeczeństwu. Nie zawsze będzie to proste.

RZĄDZĄCE SIŁY POLITYCZNE WŁAŚCIWIE zawsze mają skłonność do podporządkowywania sobie formalnie neutralnych czy też niezależnych instytucji oraz podmiotów państwowych. Tak jest nie tylko w Polsce. Jednak w ostatnich ośmiu latach proces ten – określany w literaturze jako „zawłaszczanie państwa” – przybrał u nas rozmiary nadzwyczajne. Rozmach przedsięwzięcia oraz zastosowanie metod niespotykanych po 1989 r. doprowadziły do uczynienia z wielu tego typu instytucji, a także fi-

nansów państwa czy przedsiębiorstw będących pod jego kontrolą, narzędzi do realizowania partyjnych interesów PiS. Zjawisko to stało się wręcz elementem definiującym porządek polityczny Polski po 2015 r.

Stwierdzenie, że państwo zostało zawłaszczone, nie jest oznaką nadmiernego patosu. Dowodem są spółki Skarbu Państwa zatrudniające krewnych i znajomych na istotnych stanowiskach, którzy potem odwdzięczają się wysokimi wpłatami na fundusz wy-

borczy rządzących; zaniżanie cen paliwa przed wyborami, które prowadzi do epidemii „awarii dystrybutorów”; Fundusz Sprawiedliwości, który zamiast pomagać ofiarom przestępstw funduje kołom gospodyń wiejskich garnki i lodówki, akurat w tych okręgach wyborczych, w których startują politycy Suwerennej Polski; instytuty mające promować społeczeństwo obywatelskie, a w rzeczywistości rozdające po uważaniu pieniądze stowarzyszeniom powiązanym z politykami PiS. Można by tę wyliczankę ciągnąć długo.

Wystarczy zmienić ministra?

W dyskursie politycznym pojawiło się pojęcie depisyzacji, które nie odnosi się do prostej wymiany kadrowej, ale do zmiany systemowej: odpolitycznienia i uniezależnienia instytucji. Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Lewica w kampanii wyborczej zapowiadały nie tylko wymianę osób na stanowiskach, ale też powrót do merytorycznego zarządzania instytucjami i likwidację części

z tych powołanych w ostatnich ośmiu latach. Padają już konkretne propozycje: w wywiadzie dla Oko.press poseł KO Michał Szczerba mówił, że chce likwidacji 17 „pisowskich” instytucji, w tym m.in. Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego, Instytutu De Republica czy Narodowego Instytutu Wolności.

Najłatwiej będzie z funduszami celowymi, służącymi rządowi do wypychania wydatków z budżetu i arbitralnego rozdawania środków. W większości podlegają one poszczególnym ministerstwom (np. Fundusz Sprawiedliwości) lub rządowi (Fundusz Przeciwdziałania COVID-19, Rządowy Fundusz Inwestycji Lokalnych). Tu wystarczy wymienić kierowników resortów, by środki z danego funduszu przekierować w inną stronę, lub wręcz go zlikwidować. Podobnie ma się sprawa z Instytutem Dziedzictwa Myśli Narodowej, dysponującym Funduszem Patriotycznym, z którego płynęły miliony złotych niemal wyłącznie do organizacji prawicowych i katolickich, czyli ideowej bazy partii władzy, którą podatnicy wspierali niezależnie od wyznawanych poglądów.

Obecnie instytutem kieruje były senator PiS, prof. Jan Żaryn – i wystarczy jedna decyzja nowego ministra kultury, by go odwołać. Także w przypadku Instytutu De Republica wystarczy decyzja premiera, by za popularyzowanie „rodzimej myśli badawczej” nie odpowiadał już Andrzej Przyłębski, prywatnie mąż prezeski Trybunału Konstytucyjnego. Wówczas pieniądze mogą popłynąć w bardziej zróżnicowanych kierunkach.

Instytuty można także zlikwidować. Ugrupowania tworzące nową koalicję, zwłaszcza KO i Lewica, podczas kampanii zapowiadały porządki w finansach publicznych właśnie poprzez likwidację niepotrzebnych funduszy i wcielenie ich do budżetu. Jednak spora część z nich po zostanie zapewne aktywna choćby dlatego, że niektóre (w tym niesławny Fundusz Sprawiedliwości) powstały, jeszcze zanim PiS doszedł do władzy.

Najtrudniej będzie zlikwidować instytucje powstałe na mocy ustaw. Na przykład Narodowy Instytut Wolności, który formalnie powinien wspierać społeczeństwo obywatelskie. W praktyce oprócz realizowania tego celu roz-

daje grube miliony organizacjom powiązanym z władzą (np. 68 mln zł trafiło do stowarzyszenia założonego przez posła PiS Marka Kuchcińskiego). Gdyby nowa większość sejmowa chciała go zamknąć – a to obiecywała np. KO w swoich „100 konkretach na pierwsze 100 dni rządów” – musiałaby zmienić prawo, co bez podpisu prezydenta pod ustawą jest niemożliwe. Łatwiej zmienić jego dyrektora; powołuje go przewodniczący Komitetu ds. Pożytku Publicznego, którym jest jeden z ministrów (aktualnie minister kultury) na pięcioletnią kadencję, która w przypadku obecnego szefa NIW Wojciecha Kaczmarczyka skończyła się w ubiegłym roku. Nawet jeśli Piotr Gliński powoła go na to stanowisko ponownie, nowy przewodniczący może nie przyjąć jego sprawozdania, co będzie podstawą do odwołania.

Zmiany w spółkach potrwają

Także spółki Skarbu Państwa (SSP) były i wciąż są szeroko wykorzystywane przez polityków PiS do swoich celów. Jedną z form jest nepotyzm i kolesiostwo w radach nadzorczych i zarządach, za co klienci polityków (obejmujący świetnie płatne posady) rewanżowali się sutymi wpłatami na fundusz wyborczy PiS lub przekazując darowizny na samą partię. Spółki dotowały też milionami – w formie reklam – media chwalcące władzę, finansowały również Polską Fundację Narodową, która wsławiła się organizacją kampanii wspierającej pisowskie „reformy” sądownictwa. Szczególnie zasłużył się tu Orlen, który kupił nawet wydawnictwo Polska Press, by na łamach należących do niego 20 dzienników regionalnych oraz setek portali mogła sięczyć się prorządowa propaganda.

Pierwszym krokiem, by skończyć z procederem zawłaszczania państwa, powinna być wymiana kierownictw spółek, nad którymi państwo sprawuje kontrolę. W większości przypadków nie powinno być z tym większych problemów; obojętnie, czy Skarb Państwa ma w tych spółkach udziały stuprocentowe, większościowe czy też mniejszościowe, można to robić za pomocą przepisów statutowych czy wspierając się innymi akcjonariuszami. Gdy kierownictwo w ministerstwie odpowiedzialnym za daną spółkę przejmie nowy szef resortu, Skarb Państwa będzie mógł doprowadzić

do zwołania walnego zgromadzenia akcjonariuszy. Ono wybierze nowy skład rad nadzorczych, które z kolei wyłonią nowe zarządy. Operacja powinna potrwać kilka miesięcy – oczywiście w tej chwili nie ma żadnej gwarancji, że nowe władze będą lepsze.

Pewne trudności mogą wystąpić w przypadku powołania nowych prezesów i członków zarządów banków oraz ubezpieczycieli zależnych od państwa. Zgodę na ich powołanie musi wydać Komisja Nadzoru Finansowego. Obecnie szefuje jej Jacek Jastrzębski, były wiceprezes PKO BP, który swoją funkcję pełni apolitycznie. Problem w tym, że jego kadencja kończy się 23 listopada. Powołanie go na kolejną kadencję lub kogoś na jego miejsce może być jedną z ostatnich decyzji Mateusza Morawieckiego jako premiera. Gdyby zdecydował się wybrać kogoś bardziej sterowalnego, zwłaszcza w typie pisowskiego „jastrzębia”, ten mógłby rzucać nowemu rządowi kłody pod nogi także w kwestii decyzji personalnych.

Z likwidacją Polskiej Fundacji Narodowej, która odpowiadała za propagandę wokół zmian w sądownictwie, nie powinno być większego problemu. Jej fundatorami są SSP i to od nich zależy, kto zasiada w Radzie Fundacji. Co prawda pełnią oni funkcje przez pięcioletnią kadencję, ale statut pozwala fundatorom odwołać członka Rady i wskazać nowego. Rada może też zdecydować zarówno o likwidacji Fundacji, jak i wymianie jej zarządu. Pewnym ograniczeniem jest statut, który wskazuje, że PFN można zamknąć, gdy wyczerpią się jej środki. Spółki zobowiązały się do 2027 r., mogą jednak swe decyzje zmienić.

Układ z prezydentem

Nie wszędzie będzie równie łatwo. Przykładowo zażarty może być bój o prokuraturę. Na ostatniej prostej swoich rządów PiS, wbrew własnemu programowi, uczynił z Prokuratury Generalnej wydmuszkę, przekazując, na podstawie na szybko uchwalonej ustawy, większość jej kompetencji prokuratorowi krajowemu, którego nie można zmienić bez zgody prezydenta. Prokuratura będzie musiała w dużej mierze słuchać rozkazów prokuratora krajowego, czyli Dariusza Barskiego, będącego świadkiem na

→ ślubie Zbigniewa Ziobry – także wtedy, gdy prokuratorem generalnym będzie już nowy minister sprawiedliwości.

Zmiana ta była czysto partyjnym zawłaszczeniem prokuratury przez Suwerenną Polskę, za zgodą PiS i samego prezydenta, który przy okazji poszerzył swoje kompetencje. Ustawę trudno będzie zmienić przed 2025 r. (PiS ma wystarczającą liczbę posłów, żeby uratować weto prezydenta), o ile nie uda się przekonać Andrzeja Dudy do wyrażenia zgody na zmianę. Nie jest tajemnicą, że obecny prezydent i Ziobro nie rozumieją się najlepiej, co nowa władza może wykorzystać.

Głowie państwa zależy zwłaszcza na nadzorze nad armią. W tej kwestii nie ma też zasadniczych sporów między KO, TD i Lewicą a Pałacem Prezydenckim. Nowy rząd mógłby np. okazać większe zrozumienie dla prezydenckich nominacji generalskich, niż robił to PiS, w zamian za ustępstwa Dudy w zakresie prokuratury, a może nawet ustawowe zmiany dotyczące polskiej praworządności, które pozwolą zredukować nasz konflikt z Komisją Europejską, ważny m.in. w kontekście dziesiątek miliardów euro zaszytych w Krajowym Planie Odbudowy, które wciąż do Polski nie mogą trafić.

Zmiana, nie zamiana

Obecne dylematy związane z wymianą władz mediów publicznych pokazują, że nowa władza będzie stała przed ogromną pokusą wejścia w buty PiS. Część środowiska związanego z przyszłą koalicją rządzącą lansuje pomysły, by władze w nich wymienić rewolucyjnie. Np. poprzez za-

Istnieje zagrożenie,
iż nowy rząd zostawi
fundusze, na których
tuczył się obóz PiS
– i po prostu przekieruje
środki do „swoich”.

Z obywatelskiego punktu widzenia byłoby to fatalne.

wieszenie obecnych kierownictw TVP oraz Polskiego Radia i powołanie na ich miejsce nowych ludzi jako komisarzy. To jednak nie rozwiązałyby problemu na stałe. Otworzyłyby raczej furtkę do niekończącego się cyklu wymian władz mediów publicznych po każdych wyborach parlamentarnych i równocześnie pogłębiały proces psucia państwa, bo oznaczałyby działania na granicy prawa albo poza nim.

To zresztą dotyczy się również innych instytucji, które działają wadliwie, a jednak zostały obsadzone zgodnie z prawem. Adam Glapiński jest legalnym prezesem Narodowego Banku Polskiego, nawet Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji została powołana zgodnie z procedurami. Z Trybunałem Konstytucyjnym sprawa jest bardziej skomplikowana: w tym sądzie zasiada trzech sędziów dublerów, którzy zostali powołani bezprawnie. Jednak większość, w tym najbardziej usłużni wobec partii rządzącej, została wybrana

legalnie. Jeśli dziś prof. Wojciech Sadurski proponuje, by Sejm uchwałą uznał wybór całej piętnastki za nieważny, to proponuje pisowskie rozwiązanie, i to na sterydach, w którym każdorazowa większość mogłaby restartować sobie sąd konstytucyjny. Warto jednak pamiętać, że prof. Sadurski reprezentuje „jastrzębie” skrzydło opozycji, inaczej niż np. świeżo wybrany senator KO prof. Adam Bodnar. On chce rozwiązać problem z TK za pomocą nowej ustawy, co oczywiście rodzi kolejny problem – z prawdopodobnym wetem prezydenta.

Depisując poszczególne instytucje trzeba wystrzegać się działania na oślep. Np. Jakub Wygnański z Fundacji Stocznia uważa, że nie można zamykać w ciemno takich instytucji jak np. NIW – bez gwarancji, że programy takie jak Fundusz Inicjatyw Obywatelskich zachowają ciągłość. Reguły przyznawania dotacji będą wymagały wnikliwej analizy, ale sam program powinno się zachować. Z kolei prawnik Krzysztof Izdebski z Fundacji ePaństwo wskazuje, że nawet Instytut Dmowskiego i Paderewskiego mogłby pełnić dobre funkcje. Jego zachowanie byłoby ukłonem wobec elektoratu PiS, wskazującym, że nowy rząd nie chce się od niego odwracać w ramach zemsty. Cele instytutu można za to poszerzyć o wsparcie np. dziedzictwa innych nurtów myśli politycznej.

Z drugiej strony istnieje zagrożenie, iż nowy rząd zostawi zbędne społeczeństwu oraz państwu fundusze, na których tuczył się obóz PiS – i po prostu przekieruje środki do „swoich”. Z obywatelskiego punktu widzenia byłoby to fatalne. Proces depisyzacji trzeba wykorzystać na wypracowanie mechanizmów, które zostaną z nami na lata. W przypadku SSP należy zadbać o to, by na kierownicze stanowiska organizowano transparentne konkursy, a wewnętrzne regulacje powinny utrudniać spółkom wykorzystywanie środków na cele polityczne.

Nowa większość w niektórych przypadkach będzie musiała pogodzić się z tym, że nie wszystko da się odzyskać dla państwa z rąk PiS. Czasem jednak lepiej czegoś zaniechać, niż tworzyć groźny, antydemokratyczny precedens. Celem nie powinna być wymiana „ich” na „naszych”, tylko przywrócenie instytucjom ich służebnej roli wobec ogółu.

© STEFAN SĘKOWSKI

4 listopada 2023 roku w wieku 90 lat zmarł

Ś.†_{P.}

Marian Zamorski

wieloletni, zasłużony pracownik
Polskiego Związku Pięcioboju Nowoczesnego

Pogrzeb odbył się 10 listopada na cmentarzu parafialnym
w Warszawie przy ul. Złotej Jesieni 18,

o czym zawiadamiają wdzięczni za otrzymane od niego dobro
ŻONA, CÓRKA, WNUK I ZIĘĆ

POŻEGNANIE

Egzamin poprawkowy

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Jeśli powyborcza dobra zmiana w edukacji ograniczy się do „sprzątnięcia po PiS-ie” oraz zwolnienia małopolskiej kuratorki oświaty, nic specjalnie się nie zmieni. Czy nowa władza ma na polską szkołę pomysł?

MIEJMY ZA SOBĄ TĘ NAJOCZYWISTSZĄ z prawd: nic gorszego niż ministerialny tandem Anna Zalewska–Przemysław Czarnek już się polskiej szkole nie przytrafi. To właśnie dorobek tych dwojga – przedzielonych rządami Dariusza Piontowskiego – uosabia w polskim szkolnictwie wszystko to, co najbardziej szkodliwe.

Ona: reformatorski szal, który dotykał wielu ekip, ale za jej kadencji osiągnął apogeum. On: posunięta do karykatury ideologizacja szkoły i ciągoty do ręcznego nią sterowania tak, jak to czyniono w czasach słusznie minionych.

Zalewską i Czarnka – ministrów o odmiennych temperamentach i różnej pozycji politycznej – połączyło jedno: za ich rządów oświata stała się zakładniczką partii.

Zalewska, czyli wielki chaos

Po Annie Zalewskiej, która MEN-em (później przemianowanym na Ministerstwo Edukacji i Nauki) rządziła od 2015 do 2019 r., posprzątać się w pełni nie da. Wielka strukturalna zmiana, polegająca na stopniowym wygaszaniu gimnazjów, powiększeniu podstawówek oraz liceów, spowodowała równie wielki organizacyjny chaos. Ta reforma nie miała żadnego uzasadnienia, była za to emblematycznym przykładem reformy populistycznej, czerpiącej siłę z podsycanego przez prawicę przekonania o gimnazjach jako „siedliskach agresji”. W żadnych badaniach tego zjawiska nie potwierdzono, ale społeczeństwo uległo propagandzie. W 2018 r. na pytanie CBOS-u, czy nowy system jest lepszy niż ten z gimnazjami, „zdecydowanie tak” lub „raczej tak” odpowiadało aż 67 proc. respondentów.

Podobnie było z inną ówczesną decyzją Zalewskiej – wyprowadzeniem ze szkół

sześciolatków: większość Polaków była przeciw obniżeniu wieku szkolnego, do czego przyczynił się zresztą zbyt gwałtowny, nieudolny sposób wprowadzania reformy przez koalicję PO-PSL.

Co ciekawe, obie decyzje PiS podjęło wbrew dobru samego trzonu elektoratu prawicy. W warunkach kryzysu edukacji publicznej i boomu na korepetycje w interesie dzieci z rodzin mniej zamożnych było pójście do szkoły wcześniej (sześciolatki) i przebywanie w niej na równych prawach dłużej (przez lat dziewięć zamiast ośmiu). Tak oto mająca łatkę partii elitarniej PO wprowadziła, choć nieudolnie, egalitarną reformę, podczas gdy ciesząca się reputacją równościowej prawica postanowiła zrobić z tym egalitaryzmem porządek.

Dziś jednak powrót do gimnazjów byłby szaleństwem. Także odkurzenie pomysłu z sześciolatkami nie znalazłoby w obozie nowej władzy zwolenników. Przeciwnie: nietrudno dziś w jej szeregach usłyszeć, że tamta reforma – a zwłaszcza styl jej ogłaszania i wprowadzania – była kardynalnym błędem.

W planach są za to inne mające podobny cel zmiany. – Trzeba upowszechnić dostęp do żłobków, a być może przenieść nadzór nad nimi z resortu rodziny do oświaty. Chodzi o to, by młode kobiety mogły pracować, i by wyrównać szanse dostępu najmłodszych Polaków do edukacji – mówi „Tygodnikowi” Joanna Mucha, posłanka Trzeciej Drogi.

Podobne postulaty zgłaszają eksperci. – Nie ma powrotu do sześciolatków w szkołach, ale należy obniżyć wiek obowiązku przedszkolnego, z sześciu do pięciu lat – uważa Iga Kazimierczyk, pedagożka, prezeska Fundacji „Przestrzeń dla edukacji” i liderka inicjatywy Wolna Szkoła. – Badania nie pozostawiają wą-

pliwości, że im wcześniej dzieci pojawiają się w przedszkolu, tym lepiej poradzą sobie później z nauką.

Reforma szkolnej struktury, której nie sposób już dziś odwrócić, pociągnęła też za sobą zmiany w podstawach programowych. – Z grubsza biorąc to, co wcześniej było realizowane w ciągu dziewięciu lat podstawówki i gimnazjum, minister Zalewska postanowiła upchnąć w ośmiu – przypomina Kazimierczyk. – W dodatku zaczęto do podstaw programowych dopisywać nowe treści. I tak z podstaw już wcześniej rozrośniętych powstały dokumenty rozdęte do granic możliwości.

I jeszcze obficie wypchane treściami spod znaku „Zakuj, zdaj, zapomnij”. W 2018 r. prof. Krzysztof Konarzewski przeanalizował nowe podstawy programowe z biologii i historii, porównując je do tych obowiązujących wcześniej. Wniosek: młodsze i gorzej przygotowane dzieci uczą się większej ilości materiału, który jest w dodatku obciążony typowo „pamięciowymi” treściami.

W tym samym roku Marek Michalak, kończący właśnie swoją kadencję Rzecznika Praw Dziecka (jego następcą Mikołaj Pawlak będzie kolejnym symbolem władzy niewidzącej prawdziwych problemów edukacji) pisał do minister Zalewskiej: „Realizacja podstawy programowej nie powinna wiązać się z nakładaniem na uczniów dodatkowych, pozaszkolnych obciążeń. Tymczasem jestem informowany o sytuacjach delegowania na uczniów i ich rodziców części zadań związanych z kształceniem”.

Według Igi Kazimierczyk właśnie wtedy nasiliło się zjawisko „by-passowania edukacji” – licznymi zadaniami domowymi i koniecznością brania korepetycji. – By to zmienić, potrzebujemy nowych podstaw programowych – mówi liderka Wolnej Szkoły. – Spójnych, realistycznych, przygotowanych przez ekspertów. Na podstawie wiedzy, a nie ideologicznych obsesji.

Jak wyobrażają to sobie politycy?

– Potrzebujemy wyraźnej zmiany, z nauki pamięciowej na taką, w której ważniejsze jest rozumienie procesów. Dość już szkoły spod znaku wkuwania dat i faktów. Dam panu bliski mi przykład matury z WOS-u, która przeładowana jest wiedzą encyklopedyczną. Myślę, że większość polityków i szefów dużych

→ instytucji państwa nie miałyby szansy takiej matury zdać – mówi Joanna Mucha.

A posłanka KO Katarzyna Lubnauer podaje inny przykład: słynnego HiT-u. – Trudno w to uwierzyć, ale liczba wpisanych do podstawy programowej zagadnień do przerobienia jest większa niż liczba godzin na niego przeznaczonych. Trzeba to zmienić.

Na razie nowa władza w biegu do tej przyjaźniejszej szkoły popęłała falstart: w „100 konkretach na pierwsze 100 dni rządów” KO obiecała likwidację zadań domowych w szkołach podstawowych, choć jasne jest, że prace domowe to tylko symptom grubszych patologii. By zniknęły zadania, zniknąć muszą wspomniane przeładowane programy i kult szkolnej rywalizacji. A na to trzeba lat – nie stu dni.

Nowak, czyli błady strach

– Nie powiem panu, czy małopolska kurator straci pracę pierwszego dnia urzędowania nowego ministra. Ale mogę powiedzieć, że tak właśnie powinno się stać – deklaruje Katarzyna Lubnauer.

Co ciekawe, zwolnienie Barbary Nowak będzie łatwiejsze dzięki... PiS-owi i kolejnej wprowadzonej za kadencji Anny Zalewskiej zmianie prawa. Od 2016 r. kuratorów oświaty powołuje minister. Robi to na wniosek wojewody – ale odwołać kuratora może także z własnej inicjatywy.

Nie to jednak było istotą przeprowadzonej wówczas przez PiS rewolucji, której spektakularnym efektem było powołanie posłusznych władzy kuratorów. – Rewolucyjna była nowa praktyka dająca się streścić w hasło: „nasi mogą wszystko” – uważa Iga Kazimierczyk. – Symptomatyczny był ten wieloletni brak reakcji oświatowych władz na to, co wyprawiała Barbara Nowak. To był wyraźny, choć milczący komunikat: kurator może musztrować nauczycieli; ma prawo publikować swoje ideologiczne obsesje; wolno jej zwolnić dyrektora za zajęcia o konstytucji. To było celowe: nauczyciele mieli się bać. Pani Nowak to symbol doktryny zarządzania strachem.

Dziś ważniejsze od daty dymisji Barbary Nowak jest pytanie, co z kuratorami i kuratoriami zrobi nowa koalicja. – To znacznie trudniejsze niż tylko posprzątanie po PiS-ie. Trzeba ten system wymyślić na nowo – nie ma wątpliwości Iga Ka-

Barbara Nowak to tylko symbol PiS-owskiej doktryny szkoły zarządzanej strachem.

Nie wystarczy ją zwolnić, trzeba wymyślić polski system edukacji na nowo.

zimierczyk. – Kuratoria muszą się przekształcić z instytucji powszechnie kojarzonych z kontrolą i strachem w takie, które będą rzeczywiście sprawdzać, czy prawo oświatowe jest realizowane. I tam, gdzie jest to konieczne, służyć pomocą, a nie tylko karać i upominać.

Politycy nowej koalicji obiecują rozprawić się nie tylko z PiS-owskimi kuratorami, ale też z centralizacją oświatowej władzy. Podstawy programowe i podręczniki mają pisać niezależni eksperci z nowo utworzonej Komisji Edukacji Narodowej, a placówki – zyskać więcej autonomii (np. Trzecia Droga chce, by to społeczność szkolna, czyli nauczyciele, rodzice i uczniowie, podejmowała decyzję, czy w ogóle uczyć religii, a jeśli tak, to w jakim wymiarze godzin i gdzie).

Czarnek, czyli popisowa klęska

„Ostatniego takiego ministra oświaty mieliśmy w zaborze rosyjskim” – napisali o Przemysławie Czarnku w wydawnym niedawno „Społeczeństwie populistów”, książce poświęconej m.in. degradacji usług publicznych w Polsce, Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski. Autorzy przypomnieli pogardę ministra dla nauczycieli; pozorowane podwyżki, które nie równoważyły nawet inflacji; kryzysy pandemiczny i uchodźczy, których skutki ministerstwo (w przypadku pandemii także za kadencji Piontkowskiego) świadomie zrzuciło na dyrektorów i nauczycieli; a także pikujące bezprecedensowo zaufanie do oświaty publicznej i odpływ z niej uczniów („MEiN zachowuje się tak, jakby jego zadaniem była likwidacja publicznej oświaty”).

Ale jak na najgorszego ministra od zaborów Czarnkowi wyszło przez trzy lata zaskakująco mało. Można nawet powiedzieć, że jego czas – w odróżnieniu od ka-

dencji Anny Zalewskiej, kiedy PiS zrealizował, co sobie wymarzył – był czasem klęski.

Wielki projekt patriotycznej zmiany młodego pokolenia? Takie wzmoczenia zawsze wywołują opór proporcjonalny do nachalności, z jaką wprowadza się rewolucję.

Flagowy HiT? Słynny, uznany przez Czarnka za „światny”, przez innych zaś za propagandowy podręcznik związanego z PiS-em prof. Wojciecha Roszkowskiego odrzuciła przygniatająca większość liceów. A przedmiot historia i terazniejszość sam przejdzie do historii, choć zapewne nie tak szybko jak kurator Nowak – HiT został bowiem zaplanowany jako dwuletni kurs dla pierwszych i drugich klas szkół ponadpodstawowych.

„Lex Czarnek”, nowe prawo mające zakazywać „seksualizacji dzieci”, ale też mające dodatkowo wzmocnić pozycję kuratorów? Jego trzecia już, nieco złagodzona wersja utknęła w parlamencie. A w powtarzane przez ministra słowa, że chodziło o przywrócenie głosu rodzicom, nie wierzył chyba nikt – „lex Czarnek” w dwóch pierwszych wersjach przewidywało prawo cenzurowania przez kuratora oświaty zajęć prowadzonych w szkole przez organizacje pozarządowe. – Ta ustawa to porażka na granicy śmieszności: nie pamiętam innej, którą prezydent, i to wywodzący się z tego samego obozu, wetowałby dwa razy z rzędu – ocenia Iga Kazimierczyk.

Realny dorobek Czarnka w edukacji to zatem głównie duszna atmosfera ideologicznej „dobrej zmiany”. Jej częścią jest efekt mrozący niedoszlących, ale medialnie głośnych zmian w ramach „lex Czarnek” – wielu dyrektorów wołało nie narażać się na kontrole z kuratoriów, nie organizowali więc w swoich szkołach niczego, co mogłoby się „źle kojarzyć”. Teraz powinno się to zmienić.

Jeśli jednak powyborcza korekta w edukacji ograniczy się do „sprzątnięcia po PiS-ie”, to realnie zmieni się niewiele. Czy nowa władza ma w ogóle na polską szkołę pomysł?

Nowa ministra, czyli co?

Na razie nie wiadomo, któremu z koalicyjnych ugrupowań przypadnie edukacja. I czy będzie to – jak dotąd – zwierzchnictwo nad oświatą i nauką w ramach jednego resortu, czy może nowa koali-



Akcja „Posprzątajmy w edukacji” przed siedzibą MEiN. Warszawa, 10 listopada 2023 r.

cja te dwa obszary oddzieli. Ten wariant miałby dla nowej układanki jeden walor: byłyby do obsadzenia dwa ministerialne fotele; jeden z nich – właśnie edukacji – mógłby trafić do mającej takie ambicje Lewicy.

Jeszcze tydzień, dwa tygodnie temu można było z kręgów bliskich nowej koalicji usłyszeć głosy, że KO edukacji nie odda, i że resort ten dostanie ktoś z triumwiratu: Katarzyna Lubnauer, Kinga Gajewska, Katarzyna Szumilas. W zeszłym tygodniu okazało się, że stanowisko Lewicy jest twarde, a w grze pozostaje wymieniana od początku jako kandydatka Agnieszka Dziemianowicz-Bąk.

Jest o co grać. Niby edukacja to tradycyjnie polityczne pole minowe, tym razem jednak niekoniecznie. Po Przemysławie Czarnku poprzeczka wymagań dotycząca poprawienia morale środowiska nauczycielskiego jest zawieszona nisko. W dodatku do rozdzielania są wyjątkowo duże pieniądze.

Jak duże dokładnie, nie jest jeszcze jasne, bo każda z partii, które mają tworzyć nowy rząd, obiecywała podwyżki w nieco innym wariantcie. Jeśli wejdą one w wersję proponowaną przez KO, a więc 30 proc. plus automatyczna rewalforyzacja, to nauczyciele mogą wkrótce zobaczyć na kon-

tach o tysiąc kilkaset złotych miesięcznie więcej (nie mniej niż tysiąc pięćset, jak obiecywała KO).

To finansowy awans, jakiego ta grupa zawodowa dawno nie doświadczyła. Tylko czy same pieniądze są w stanie zahamować dwa negatywne trendy: niechęć młodych ludzi do wybierania zawodu nauczyciela i słynną negatywną selekcję?

– Pieniądze nie wystarczą – mówi Iga Kazimierczyk. – Dziś szkoła jest często drugim, czasami trzecim zawodowym wyborem. Większe pensje przyciągną do zawodu ambitniejszych studentów, ale musimy ich też nowocześniej kształcić. Dziś szkolimy, i mówię to z pełną odpowiedzialnością, wedle XIX-wiecznych zasad. Mają być wyposażeni w wiedzę „ze swojej dziedziny”, a później tę wiedzę „przekazywać uczniom”. Takie podejście nie ma już racji bytu: nauczyciel ma przed sobą trzydziestkę dzieci, które fakty mogą sobie wyszukać w internecie, za to trzeba ich nauczyć, jak się efektywnie uczyć, a także zafascynować tematem. Czasami trzeba też otoczyć je opieką, bo połowa z tej trzydziestki ma jakieś problemy. Nauczyciel kształcony po staremu na te wyzwania nie odpowie. Zwłaszcza że nie ma zwykle w szkole wsparcia specjalistycz-

nej kadry. Dlatego wielu pedagogów jest dziś wykończonych psychicznie. Nauczyciele trwają w oczekiwaniu na zmiany, na emeryturę, zamieniają się we „wredną jedźdę stawiającą jedynki” albo odchodzą z pracy. Nieliczni zgadzają się na bycie „siłaczkami”.

– Marzy mi się system fiński, w którym do tego zawodu idą często najlepsi studenci, pomimo że zarabiają pieniądze zbliżone do średniej krajowej. Musimy zmienić system kształcenia nauczycieli – deklaruje Joanna Mucha.

A Katarzyna Lubnauer dodaje, że trzeba również poprawić wsparcie dla pedagogów już pracujących: – Wielu z nich uczy nawet kilkoro dzieci ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi, nie mając do dyspozycji nauczyciela wspomagającego.

Co poza wsparciem nauczycieli? Jaki jest program partii nowej koalicji dla szkoły? Iga Kazimierczyk zwraca uwagę, że w Polsce nigdy nie wypracowano zgody, po co w ogóle edukacja ma być. – Czy ma czynić życie lepszym, czy prowadzić do szybszego rozwoju, czy może kształtować patriotów – mówi ekspertka. – Przed 2015 r. zdawała się iść w kierunku przygotowywania ludzi do rynku pracy. Po tej dacie była skupiona na lepieniu „nowego obywatela”, czemu służyło dopychane kolanem takich treści jak żołnierze wyklęci czy promocja postaci Jana Pawła II.

Ale obie wersje szkoły – i tę sprzed, i po objęciu władzy przez PiS – łączyło wbrew pozorom całkiem sporo. Głównie to, że liczyły się w nich przede wszystkim konkurencja i rywalizacja: między uczniami i między szkołami. Konkurencja na punkty, oceny, wyniki na egzaminach i konstruowane na ich podstawie rankingi placówek. Przyszła szkoła – jeśli wierzyć przedwyborczym hasłom i podpisaną w piątek 10 listopada umowie koalicyjnej – miałaby mieć więcej autonomii, częściej uczyć współpracy w grupie i syntetycznego myślenia, a także dawać więcej czasu na rozwijanie pasji ucznia.

Tyle tylko że to zakłęcia znacznie starsze niż ośmioletnie rządy PiS-u. Jeśli zaklęciami pozostaną, to po chwilowym karnawale – wywietrzeniu gabinetów, pożegnaniu najgorzej kojarzących się urzędników i poprawieniu morale nauczycieli – „nowa polska szkoła” ugrzęźnie w starych problemach.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński: Utopijni „Przyjaciele”



OWSZEM, SERIAL „PRZYJACIELE” – TELEWIZyjny hit, który w latach 1994-2004 gromadził wielomilionową widownię w ponad stu krajach – to idealizacja, marzenie, czy sta utopia. Ze wszystkim, co pisano na ten temat po śmierci Matthew Perry’ego – od-

twórcy roli Chandlera (genialnego odtwórcy, dodajmy) – nie sposób się nie zgodzić. Tu i ówdzie pojawiły się również jakieś kolejne rozprawy autorstwa lewicowych neopurytanów, którzy od lat doszukują się w tym serialu strasznych manifestacji rasizmu, dyskryminacji i seksizmu. Skądinąd żarliwością tych krytyk oraz skalą potępienia wyrażanego wobec dzieła Marthy Kauffman i Davida Crane’a, lewicy neopurytanie dorównują już tylko najzagorzalszym purytanom pravicowym, których z kolei oburzały w „Przyjaciółach” (i wciąż oburzają) ostentacyjny permissywizm, pochwała rozwiązłości i kpina z tradycyjnego modelu rodziny. To jednak zostawmy. Uporczywe doszukiwanie się treści politycznych w każdym obiekcie kultury, a następnie rozrywanie go na strzępy w poszukiwaniu wsparcia albo negacji własnych ideowych kateksji, jest dla mnie jednym z najbardziej przygnębiających przejawów współczesnych wojen tożsamościowych. A że ja w tych wojnach walczyć nie zamierzam (mogę co najwyżej walczyć z samą ideą takich wojen) – to i nie będę tego wątku rozwijał. Wspominam o nim jedynie po to, żeby i ten aspekt recepcji „Przyjaciół” jakoś w felietonie uwzględnić.

Wróćmy więc do utopijności. Powtórzę – nie sposób się z tą diagnozą nie zgodzić, choć to chyba widać dopiero z dzisiejszej perspektywy. Z naszej epoki polikryzysu (jak socjologzy określają dziesiątki krzyżujących się kryzysów współczesnego świata), z której marzenia o harmonii i przewidywalności efektywnie wyparowały. No może nie do końca, bo tu i ówdzie, w specyficznych formach jeszcze trwają. Np. w transhumanistycznych fantazjach obiecujących przezwyciężenie ludzkich ograniczeń za pomocą technologii. Albo we wspomnianych wyżej pravicowych i lewicowych purytanizmach, gdzie powrót do przeszłości (wyobrażonej) bądź fantazja wielkiej rewolucji mają być gwarancją powszechnego bezpieczeństwa i dobrobytu (a przecież już wiadomo, że są one tymi sposobami nieosiągalne). Generalnie jednak – emocjonalna intensywność tych opowieści, ich natarczywość i żywiołowa wrogość wobec wszystkiego, co się w nich nie mieści, jest, paradoksalnie, dowodem na to, że owo bezpieczeństwo i przewidywalność dawno i bezpowrotnie zostały utracone.

Tymczasem w latach 90. wciąż jeszcze wydawały się one na wyciągnięcie ręki, a serial „Przyjaciele” – opowieść o sześciorgu młodych ludzi wkraczających w dorosłość, ale zarazem starających się tak do końca w nią nie wkroczyć – coś podobnego właśnie odmalowywał. Bo lata 90. to były czasy niepohamowanego optymizmu, ale i komplikującego się systematycznie świata, zwłaszcza świata relacji, miłości, romansu. Słowem: tego, co – jak diagnozuje w książce „Dlaczego miłość rani?” Eva Illouz – mniej więcej od drugiej połowy XX wieku staje się dla nas głównym źródłem cierpień. Wyjęta z tradycyjnych kulturowych ram, uwolniona od zdefiniowanych społecznie stereotypów i instytucjonalizacji – w heteroseksualnym małżeństwie zawieranym wcześniej, w pojawiającym się zaraz potem potomstwie, w „bazowej komórce”, jaką ma być taka konfiguracja – miłość nie okazała się wyłącznie terenem radosnej ekstazy i samorealizacji. Przeciwnie, wraz z wolnością pojawiły się rozliczne komplikacje i frustracje. Budowanie relacji intymnych przestało być czymś, co przychodzi niejako z zewnątrz, a stało się nagle zadaniem dla coraz bardziej zagubionych jednostek. W tym zadaniu mają teoretycznie pomagać różne terapeutyczno-coachingowe oferty, dając nadzieję (złudną), że w miłości można się wytrenować. I że to tylko od ciebie, czytelniczko i czytelniku, zależy, czy z tej opcji ochoczo skorzystasz i pozwolisz sobie na szczęście. Tymczasem to oczywiście jest koło zamknięte. Bo też za nasze miłosne nieszczęścia wcale nie wyłącznie my osobiście odpowiadamy, lecz także kultura, która dawne symboliczne formy organizowania życia uczuciowego zdemontowała, w gruncie rzeczy niewiele dając w zamian.

I właśnie w momencie, kiedy staje się to już widoczne i kiedy dochodzi do tego coraz większa, coraz bardziej odczuwalna presja („musisz stworzyć szczęśliwy związek”, „musisz też zrobić spektakularną karierę”, „musisz się zbudować, zaprojektować i zrealizować”), pojawia się ta prześmieszna i ciepła opowieść o Monice, Rachel, Phoebe, Joeyu, Chandlerze i Rossie. Ludziach, którzy doświadczają tych samych, co my, trosk, presji, frustracji, smutków, rozczarowań, porażek, ale zarazem mają się na czym czy też raczej na kim oprzeć. Nie na rodzinie, rodzina jest w kryzysie, wiadomo – rozwody, kłopoty, wymagania, konflikt pokoleń, wszyscy zajęci sobą. Nie na miłości, bo ta z kolei jest zmienna i kapryśna, przynajmniej od czasu. Na przyjaciół. Na tej szczególnej więzi, odpornej na mniej lub bardziej spektakularne miłosne rozszady, pokusy bogactwa, stereotypowe wyobrażenia sukcesu, sprawności czy piękna. Przyjaciele – co wiadomo od dawna, przynajmniej od czasów starożytnych pochwał przyjaźni, a co współcześnie pięknie pokazał właśnie ten serial – biorą cię takim, jaki jesteś, są przy tobie na dobre i złe, niezależnie od całej reszty.

Szkoda tylko, że jednego właśnie zabrakło. Choć przecież tam, w tej nowojorskiej spełnionej utopii, Chandler wciąż żyje i ma się dobrze, przyjaciele są przy nim cały czas. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/

Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na powszech.net/wspieram

faniMani.pl

0 życia, które na śmierć nie umiera



Ból żelaz. Pan Stanisław wreszcie śpi spokojnie. Pani Anna dzięki pomocy medycznej, dostarczonemu sprzętowi i przeszkoleniu domowników do ostatnich chwil była u siebie. Pan Jan niecierpliwie czeka na koncert w hospicyjnej auli, może swój ostatni. To tylko niektóre z owoców działania Hospicjum im. św. Matki Teresy z Kalkuty i Hospicjum Domowego prowadzonych przez kielecką Caritas. Obie placówki służą tym, którzy weszli w ostatni etap życia, starając się ulżyć w cierpieniu, nieść emocjonalne i duchowe wsparcie oraz wspierać zrozpaczone rodziny. Tylko w 2022 roku kieleckie hospicja udzieliły pomocy 640 pacjentom. Ale Kielce nie są wyjątkiem. Hospicja, domowe lub stacjonarne, funkcjonują w 22 Caritas diecezjalnych w Polsce. Ogółem pod patronatem Caritas działa 50 takich placówek i właśnie obszar opieki paliatywnej należy do szczególnie ważnych w całym spektrum postęgi wobec bliźniego, jaką podejmuje diecezjalne Caritas.

Fundamentem opieki hospicyjnej są medycy: onkolodzy, specjaliści medycyny paliatywnej, którzy zmniejszają tempo rozwoju wyniszczających chorób i łagodzą ból. Pomagają lekarze innych specjalności, bo pacjenci obok śmiertelnych chorób cierpią z powodu schorzeń towarzyszących. Kluczowe są także działania pielęgniarek, fizjoterapeutów, opiekunów medycznych, którzy kontrolują ból, umożliwiają poruszanie się i pielęgnują pacjentów.

Leczenie objawowe to nie wszystko. Chory wraz z rodziną są objęci opieką psychologów. Często rodzina takiej pomocy potrzebuje najbardziej, aby umiejętnie przeżywać czas choroby, być dla chorego wsparciem i uporać się z bólem rozstania. Hospicja Caritas poprzez osobę kapelana odpowiadają też na duchowe potrzeby wierzących podopiecznych.

Specjalistów wspierają wolontariusze i darczyńcy. Są wśród nich wolontariusze opiekuńczy: cicho towarzyszą pacjentom przy łóżkach. Pomagają w codziennych czynnościach, spełniają marzenia, rozmawiają, czytają, modlą się. Niełatwo trwać

przy umierających, ale każdy z takich wolontariuszy powie, że „otrzymuje więcej, niż daje”. Pomagają też wolontariusze aktywni: organizują w hospicjum spotkania towarzyskie, pieką ciasta, wykonują prace porządkowe, kwestują... Są dowodem na to, że społeczna wrażliwość ma się całkiem nieźle. I w końcu darczyńcy: dzielą się swoimi pieniędzmi podnosząc standard opieki i uzupełniając budżet hospicjów, który tylko w części zabezpieczają środki z NFZ. Ta pomoc jest mierzalna, ale dobroć darczyńców to coś znacznie więcej niż przekazana suma, to także okazana życzliwość, dobre słowo, modlitwa.

Dla tych osób, a także dla rodzin, wychowawców i wszystkich, którzy chcą pomagać, został stworzony specjalny portal internetowy **hospicjowo.caritas.pl**. Osoby rozważające wolontariat znajdą tu informacje o jego formach i zobaczą inspirujące teksty oraz spoty filmowe, które dodadzą odwagi. Darczyńcy mają do dyspozycji opcję ogólnego wsparcia dla danej placówki oraz zbiórki celowane, na sprzęt, rozwój infrastruktury, wydarzenia kulturalne dla pacjentów hospicjów. Portal polecamy również nauczycielom: publikacje i materiały multimedialne na blogu z powodzeniem można wykorzystać w kształtowaniu wrażliwości młodych ludzi. Rodziny zaś mogą tu znaleźć wsparcie w żałobie. **Hospicjowo** to przestrzeń spotkania osób, którym bliska jest idea hospicyjna realizowana przez Caritas w duchu miłości bliźniego, miłości bratniej, podnoszącej i wspierającej. Portal działa od niedawna, ale ma ambicje być miejscem, gdzie znajdą coś dla siebie wszyscy, którzy mają odwagę mierzyć się z kruchością ludzkiej egzystencji i którzy chcą zobaczyć, jak wiele życia toczy się w hospicjum i dla hospicjum.

DOMINIKA BORKOWSKA

*koordynator wolontariatu w Hospicjum
im. św. Matki Teresy z Kalkuty w Kielcach*



PROFESOR BÓG

Politolog z Uniwersytetu Śląskiego chce wyrzucić teologię z wyższych uczelni, gdyż jego zdaniem nie jest ona nauką. Tymczasem teologia jest nauką, więcej – nauka jest teologią.

ARTUR SPORNIAK

TO WSTYD, ŻE W XXI WIEKU CZĘŚCIĄ wspólnoty akademickiej są teolodzy (...). Teologia nie powinna gościć w murach państwowych uniwersytetów. Dowody na istnienie bogów są, delikatnie mówiąc, raczej wątpliwej natury, dlatego »nauka« o nich nie może być finansowana i traktowana na równi z badaniami geografów, chemików, prawników, literaturoznawców (...). To zawstydzające, że muszę o tym pisać, bo wyda się czymś oczywistym, iż trud włożony w refleksję nad naturą aniołów nie jest tym samym, co zgłębianie tajemnicy czarnych dziur» – napisał niedawno politolog z Uniwersytetu Śląskiego prof. Marek Migalski do rektora tej uczelni.

Rektor UŚ prof. Ryszard Koziołek odpisał: „Refleksja teologiczna jest nie tylko nieusuwalnym składnikiem tradycji humanistycznej, ale jej żywego wciąż rozwoju. Nie sposób sobie wyobrazić humanistyki światowej, a tym samym humanistyki w Uniwersytecie Śląskim, bez obecności myśli Orygenesesa, Tertuliana, Augustyna, Tomasza z Akwinu, Jakoba Böhmego, Mistra Eckharta, Friedricha Schleiermachera, Kierkegaarda, Johna H. Newmana, Dietricha Bonhoeffera, Clive’a Lewisa, Marcina Lutra, Rudolfa Otto, Karla Rahnera, Simone Weil, Thomasa Mertona, Wincentego Myszora, Paula Tillicha, Leszka Kołakowskiego, Wacława Hryniewiczza, Józefa Tischnera, Michała Hellera”.

Ignorancja

Rektor Uniwersytetu Śląskiego wykazał się wyrozumiałością, gdy napisał, że wy-

wód prof. Migalskiego „dowodzi złej woli lub ideowego zacietrzewienia, bo przecież nie ignorancji, na którą nie pozwalają stopnie naukowe i dorobek Pana Profesora”. Niezauważenie całej biblioteki współczesnych monografii, badających narzędziami filozofii analitycznej dowody na istnienie Boga, trudno jednak inaczej nazwać, jak właśnie ignorancją. Wymieńmy niektóre pozycje: wydane w 1970 r. „Argumenty za istnieniem Boga” Johna Hicka, „Czy istnieje Bóg?” Richarda Swinburne’a z 1996 r., także „Cud teizmu. Argumenty za istnieniem Boga i przeciw istnieniu Boga” z 1982 r. Johna Mackiego. Dwaj pierwsi autorzy opowiadają się za teizmem – są wręcz głównymi przedstawicielami tzw. teologii analitycznej. Trzeci, jeden z najwszechstronniejszych filozofów analitycznych, wziął na warsztat pytanie o istnie Boga w dość niezwykłym kontekście – zajął się nim, gdy zaczął zmagać się z chorobą nowotworową. Jego ostatnia, opublikowana już po śmierci książka jest zatem czymś więcej niż tylko wysoce profesjonalną analizą. Jej konkluzja, że Boga nie ma, pozwoliła Mackiemu ugruntować się w ateizmie. Ale czy to oznacza, że ta przedśmiertna praca była bezsensowną stratą czasu, skoro – jak twierdzi prof. Migalski – „dowody na istnienie bogów są, delikatnie mówiąc, raczej wątpliwej natury”? Po co je szczegółowo dzisiaj badać? Sądzę, że Mackie u kresu swojego życia wziął na warsztat po prostu najważniejsze pytanie ludzkości.

Zignorowana biblioteka zawiera także liczne nowe wersje słynnego dowodu ontologicznego św. Anzelmusa. Sformułowany



GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

w XII wieku aprioryczny dowód na istnienie Boga do dzisiaj wzbudza zainteresowanie. Współcześni filozofowie – m. in. Norman Malcolm, Alvin Plantinga, Charles Hartshorne czy Kurt Gödel – zastosowali w swojej argumentacji najnowsze zdobycze logiki. Ostatni z wymienionych, będąc Austriakiem, jeszcze w czasie II wojny światowej wyemigrował do USA i został profesorem prestiżowego Princeton, gdzie stał się też bliskim przyjacielem Alberta Einsteina. Należy do najważniejszych współczesnych logików. W 1970 r. opracował swoją wersję dowodu, ale nie chciał jej publikować. Opublikowany dopiero po jego śmierci w 1978 r., dowód Gödla stał



Inauguracja roku akademickiego na Uniwersytecie Śląskim. Katowice, 1 października 2021 r.

się w świecie naukowym sporą sensacją. A zatem tak – świat nauki, i to parający się jej najczystsza i najbardziej racjonalną wersją, jaką jest współczesna logika, interesuje się dowodami na istnienie Boga.

Z kolei łatwe – zdawałoby się – do wyśmiania postacie diabła i aniołów wyglądają dzisiaj rzeczywiście na dalekie od kontekstu naukowego. Tymczasem hipoteza postulująca ich istnienie (zgodna z prądną religijną intuicją) stanowi dla Boga alibi w świecie, w którym jest obecne zło. Jest bowiem próba teologicznego rozwiązania paradoksu sformułowanego przez Epikura o niemożliwości pogodzenia wszechmocy

i dobroci Boga z obecnością zła. W opublikowanym w ubiegłym roku na tych łamach tekście „Po co nam diabeł?” (powszech.net/po-co-diabel/) zastanawiałem się, jak ta aporia funkcjonować może dzisiaj, biorąc pod uwagę współczesne nauki. W każdym razie, gdy się odkryje źródłowy kontekst religijnej dyskusji o diable i aniołach, przestają to być tematy do śmiechu. Podejrzewam, że pytanie „jak godzić Boga i zło?” (przy założeniu, że Bóg istnieje) może interesować porównywalną liczbę osób, co pytania, na których odpowiedzi szuka prof. Migalski w swoich fachowych publikacjach z dziedziny politologii.

Nieuchronna konfesyjność

Najpoważniejszy zarzut prof. Migalskiego wobec teologii na uniwersytecie dotyczy jej konfesyjności: „Wspólnoty religijne mają pełne prawo nauczania podstaw swej wiary, ale niech robią to za własne środki i w swoich obiektach”.

To kłopotliwy argument dla teologów, gdyż nie ma niekonfesyjnej teologii. Owszem, niewiele wspólnego z konfesyjnością mają teologiczne nauki pomocnicze, takie np. jak archeologia biblijna, ale główny trzon teologii jest z natury konfesyjny. Teologia bowiem to naukowo zorganizowana refleksja nad zawsze konfesyjnie zidentyfikowanym i odczytanym

→ objawieniem (posiłkuję się nieco zmodyfikowaną definicją teologii sformułowaną przez ks. Michała Hellera).

Prof. Koziołek w swojej odpowiedzi sugeruje, że teologii nie jest za dużo na uniwersytecie, tylko wręcz za mało. Wspomina o potrzebie wzbogacenia Wydziału Teologicznego o teologie innych wyznań.

To odpowiedź jednak na trochę inny zarzut: dlaczego katolicyzm ma być konfesją uprzywilejowaną, skoro uniwersytet rzeczywiście w swoją naturę wpisana ma bezstronność? Jeśli jednak nie ma niekonfesyjnej teologii, niech ich będzie więcej na uniwersytecie! Niech dialogują! To całkiem słuszne myślenie.

Można jednak spróbować odpowiedzieć wprost, dlaczego w przestrzeni uniwersytetu potrzebna jest jakaś chrześcijańska teologia (czy teologie). Zwróć uwagę na trzy ważne fakty. Po pierwsze, wielu spośród naukowców śląskiej uczelni, publikujących wspomniane w liście prof. Migalskiego świetne prace z fizyki, biologii, chemii czy matematyki, jest ludźmi wierzącymi i na pewno w ich życiu równoczesne zaangażowanie zawodowe oraz praktykowanie wiary rodzi różne pytania. Idealnie byłoby, gdyby tymi problemami owi naukowcy dzielili się z kolegami teologami, a ci próbowali na nie odpowiadać, uwzględniając kontekst pracy naukowej. Nie wiem, czy taka międzywydziałowa wymiana myśli funkcjonuje jako stała praktyka na Uniwersytecie Śląskim. Raczej nie słyszałem, by na polskich uniwersytetach z wydziałami teologicznymi (poza krakowskim UPJPII i Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych związanym z UJ) takie konsultatoria były normą. Wygląda na to, że standardem jest raczej hermetyzm i izolacjonizm teologii. To oczywiście dzieje się ze szkodą dla obu stron i warto to zmienić.

Po drugie, historycy nauki zauważają, że nie przypadkiem nowożytna nauka narodziła się w środowisku chrześcijańskim. Jednym z podstawowych warunków nauki jest założenie racjonalności i przewidywalności praw rządzących światem – w chrześcijaństwie ta racjonalność jest gwarantowana, gdyż jest odbiciem rozumności Stwórcy. Bóg nie gra z nami znaczonymi kartami. A ponieważ stworzył (czy ciągle stwarza) świat w wolności, a nie z konieczności, prawa rządzące przyrodą nie dadzą się wywieść

Kopernik miał koronny argument, prostotę swego systemu.

A prostota jest argumentem estetycznym – zakłada, że Stwórca nie chciał nam komplikować świata.

a priori, tylko trzeba je mozolnie odkrywać, zadając przyrodzie inteligentne pytania przy pomocy przemyślanych eksperymentów. Dzieje się to w ramach wypracowanej przez uczonych na przełomie XVI i XVII wieku matematyczno-empirycznej metody, która okazała się niezwykle skuteczna (choć wciąż nie wiemy, czemu zawdzięcza swój sukces – będzie o tym jeszcze mowa). Paradoksalnie Kościół katolicki na te odkrycia zareagował represjami.

I po trzecie, chrześcijaństwo otrzymało w spadku od judaizmu oryginalną teologię stworzenia, rozwiniętą następnie przy pomocy metafizycznych narzędzi greckiej filozofii. Zdaniem ks. Hellera pozwala ona spojrzeć na osiągnięcia nauki z perspektywy niedostępnej dla ascetycznej metody naukowej, zawężającej swoje patrzenie do metodologicznego naturalizmu. „Jeśli wszechświat został stworzony (jest stwarzany) przez Boga, to zmaganie uczonego ze zrozumieniem wszechświata nie jest ślepą grą z wszechświatem – grą, o której z góry nie wiadomo, czy w ogóle ma jakieś »rozwiązanie«, lecz jest poszukiwaniem rozwiązania, które na pewno istnieje” – pisze ks. Michał Heller w książce z 2019 r. „Nauka i Teologia – niekoniecznie tylko na jednej planecie”.

Teologia wrażliwa na nauki przyrodnicze może zatem dać im szerszy (głębszy) kontekst.

Universitas

Paradoksalnie skrajnie antyteologiczna reakcja prof. Migalskiego stanowi dobry pretekst do pokazania, jak obecnie mogą się ułożyć relacje między teologią a pozostałymi naukami. Uważam, że dzisiaj wręcz zarysowuje się możliwość nowej *universitas* – wspólnoty wzajemnie uzupełniających się i wspierających nauk. Już nie w duchu średniowiecz-

nym, gdzie funkcjonował religijno-filozoficzny system – nie było jeszcze wtedy nauk przyrodniczych, a filozofia, z której się one wywodzą, była *ancilla theologiae* – czyli służką podporządkowaną królowej wszelkich nauk i sztuk. Teologia wówczas wieńczyła ów system, którego spójność – jak dziś już wiemy – bazowała jedynie na naiwnej wiedzy zdroworozsądkowej i potocznej.

Dzisiaj raczej już nie może być mowy o „systemie nauk” – nie powiodły się próby zredukowania gmachu wiedzy do fizyki, o czym marzył XIX-wieczny pozytywizm, czy do danych zmysłowych, co z kolei próbował bezskutecznie uczynić neopozytywizm w pierwszej połowie XX wieku. Wygląda na to, że natura ma strukturę emergentną – na coraz wyższych poziomach jej organizacji pojawiają się nowe właściwości, nieredukowalne do niższych poziomów. Dlatego też nauki badające te poziomy także nie są do siebie sprowadzalne – mają własne obszary badań, specyficzne ujęcia i zagadnienia, choć wzajemnie się uzupełniają.

Nie udało się również stworzyć dużego systemu metafizycznego na wzór starożytnych i nowożytnych systemów, który stanowiłby fundament pod nowoczesną naukę. Taką próbę – ostatecznie bez ważnych teoretycznych i praktycznych konsekwencji – podjął Alfred North Whitehead, budując filozofię procesu. Od czasów porażki neopozytywizmu wiemy natomiast, że nauki potrzebują filozofii, ale tworzonej w ich kontekście (jak np. emergentyzm) i bez systemowych ambicji. Potrzebują też refleksji metodologicznej, która prowadzi dzisiaj do ciekawych wniosków.

Gdzie jest więc miejsce dla teologii?

Teologia nauki

Z rozwojem nauk związane są dwie tajemnice wskazujące na granice metody naukowej (zdarza się, że sami naukowcy nazywają je „cudami”). Jedną napotykamy w tym, co jest poznawane – dlaczego świat jest w ogóle poznawalny, np. dlaczego procesy zachodzące w świecie można modelować matematycznie? Albert Einstein wyraził to sentencją: „Wiecznie niepojmowalna w świecie jest jego pojmovalność”. Druga tajemnica stoi po stronie podmiotu poznającego i związana jest z samym procesem

poznawczym i rozwojem wiedzy, który okazuje się ostatecznie racjonalnie niewytłumaczalny.

Pierwsza tajemnica prowadzi do koncepcji dwóch ksiąg: Księgi Objawienia i Księgi Przyrody. Bóg objawia się w obu w różny sposób – w pierwszej poprzez Biblię i tradycję wiary obecną w Kościele, w drugiej poprzez swoje stwórcze działanie w świecie. Zdaniem ks. Michała Hellera treść nauki odczytywana poprzez pryzmat stworzenia stanowi materiał dla teologa. Stąd jego postulat, wysunięty jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku, powołania nowej teologicznej dziedziny: teologii nauki. Ten postulat z powodzeniem jest w ostatnich latach realizowany przez Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych i teologów z nim związanych.

Ale jest jeszcze druga tajemnicza sfera – skuteczność samej działalności naukowej. Dlatego koncepcję dwóch ksiąg należy poszerzyć o trzecią: Księgę Nauki – w niej Bóg objawia się poprzez twórczą pracę uczonych. W samym zatem procesie rozwoju wiedzy można dostrzec ważny materiał dla teologa. Przyjrzyjmy się temu dokładnie.

Nauka jako teologia

W XX wieku filozofowie nauki starali się pokazać, że nie tylko myślenie naukowe, zgodne z matematyczno-empiryczną metodą, stanowi ideał racjonalności (to od dawna nie było kwestionowane), ale także ewidentnie poszerzający naszą wiedzę o świecie rozwój nauk przebiega racjonalnie. Innymi słowy, szukano logiki rozwoju wiedzy naukowej („Logika odkrycia naukowego” to tytuł najważniejszego dzieła Karla Poppera). I tu filozofów spotkał zaskakujący zawód. Nie udało się sformułować precyzyjnego algorytmu na zdobywanie nowej wiedzy, i to z powodów zasadniczych.

Początkowo sądzono, że prawdziwość danej teorii weryfikują potwierdzone empirycznie hipotezy, które z niej wynikają, co logicznie jednak nie jest prawdą. Potem zauważono, że prędzej można obalić daną teorię, gdy nie potwierdzi się empirycznie wyprowadzona z niej hipoteza. Ale to również nie jest z punktu widzenia logiki prawdą, gdyż żadna naukowa teoria nie jest zawieszona w próżni. Każda powiązana jest licznymi więzami z całością wiedzy o świecie (metodologowie mówią o tzw. wiedzy towarzyszącej).

Dzisiaj zarysowuje się możliwość nowej universitas

– wspólnoty wzajemnie
uzupełniających się
i wspierających nauk.
Łącznie z teologią.

Wykazano, że dowolnie długo można bronić danej teorii mimo niekorzystnych dla niej empirycznych świadectw, zmieniając różne założenia w wiedzy towarzyszącej, czyli wprowadzając tzw. hipotezy *ad hoc*, spełniające ratunkową, a nie poznawczą rolę. Nic to nie zmieni, gdy teorię zamienimy na ciąg teorii ulepszanych hipotezami pomocniczymi, czyli na tzw. program badawczy. Zdaniem metodologów będzie on postępowy, gdy będzie prowadził do przewidywania nowych faktów, a zdegeneruje się, gdy przestanie mieć wartość eksplanacyjną. Wówczas należy go porzucić i, zmieniając podstawy dotychczasowego programu badawczego (jego tzw. twarde jądro), stworzyć nowy program badawczy. Ale także wtedy nie wiadomo, w którym momencie to zrobić. Często decydują o tym czynniki pozaretrytoryczne – także przypadek.

I tu wracamy do teologii. Gdy teolog słyszy, że coś dzieje się przypadkowo, może za tą przypadkowością dostrzec działanie Boga. Na historię nauki można spojrzeć jako na nieustanne opatrnościowe Boże towarzyszenie naukowcom. Skoro skuteczność i racjonalność nauki ostatecznie gwarantuje Bóg, i to nie tylko ogólnie, ale konkretnie w każdym wartościowym odkryciu naukowym i w każdym wartościowym programie badawczym, to rzeczywiście można powiedzieć, że nauki są częścią teologii, a Księga Nauki obok Biblii i Tradycji stanowi przekaz Bożego objawienia.

Religijna rewolucja Kopernika

W tym roku obchodzimy potrójny jubileusz Mikołaja Kopernika: 550-lecie jego urodzin oraz 480-lecie jego śmierci i ukażania się rewolucyjnego dzieła „De revolutionibus orbium coelestium”. Można argumentować, że Kopernik – burząc średniowieczny obraz świata i zapoczątko-

wując nowożytną naukę – kierował się motywem, którego fundament jest religijny. Miał przeciwko sobie argumenty z wszystkich ówczesnych dziedzin: teologiczne – świadectwo Biblii, społeczne – niebezpiecznie zmieniał wizję świata, a przede wszystkim empiryczne – nie tylko prostą obserwację ruchu Słońca, ale także argumenty wyrafinowane: brak obserwacji skutków ruchu Ziemi (z kulków się nam nie wylewa) czy brak obserwowania paralaksy gwiazd, czyli ich ruchu wynikającego z postulowanego ruchu Ziemi (gdy jedziemy pociągiem, drzewa za oknem poruszają się szybciej lub wolniej w zależności od odległości). Nawiasem mówiąc, na ten ostatni, najpoważniejszy z punktu widzenia dzisiejszej nauki zarzut Kopernik odpowiedział typową wówczas hipotezą *ad hoc*: nie obserwujemy paralaksy gwiazd, gdyż znajdują się one niezmiernie daleko od Ziemi. Dziś wiemy, że to prawda, ale wówczas brzmiało niewiarygodnie.

Tym wszystkim argumentom Kopernik potrafił przeciwstawić właściwie tylko jeden: prostotę swego systemu (nawet nie empiryczną precyzję, gdyż niepoprawnie zakładał, że Ziemia krąży po kołowej orbicie). A prostota jest argumentem estetycznym – zakłada, że Stwórca nie chciał nam komplikować świata. Okazało się, że u początku nowożytnej nauki stała religijna intuicja.

Przekaz dla Kościoła

Boże natchnienie, które – jak można teologicznie wnioskować – kierowało Kopernikiem, nie tylko zapoczątkowało nową epokę, ale wywołało siny opór Magisterium Kościoła katolickiego. Kościół zaakceptował heliocentryzm dopiero w 1822 r. Leczenie się z intelektualnej pychy trwało długo.

Gdyby obecne Magisterium rzeczywiście dostrzegało w nauce poważny materiał dla teologii, epoka nieporozumień i nieufności między światem nauki a Kościołem mogłaby się szybko skończyć. Pozytywnym sygnałem jest postulowanie przez Franciszka w niedawnym dokumencie „Ad theologiam promovendam” otwarcia teologii m.in. na współczesne nauki. Ma stać się ona działaniem transdyscyplinarnym, tj. łąceniem całości wiedzy w mądrość inspirowaną Bożym objawieniem.

© © ARTUR SPORNIĄK

Archeolog wśród religii

PROF. ARTUR OBŁUSKI, ARCHEOLOG:

Gdy oprócz badania chrześcijańskiej przeszłości Sudanu zaczęliśmy cenić badania jego mużulmańskiego dziedzictwa, relacje z lokalnymi badaczami zmieniły się diametralnie.

KAROL WILCZYŃSKI: Wybiera się Pan do Sudanu w najbliższym czasie?

PROF. ARTUR OBŁUSKI: Nie ma takiej możliwości. Sytuacja w Sudanie jest bardzo trudna, trwa krwawy konflikt między dwiema frakcjami wojskowymi. Wszyscy się tego spodziewaliśmy. Mieliśmy jednak nadzieję, że walki zbrojne nie rozleją się na cały kraj, że zakończą się szybko. Konflikt jednak nie wygaś.

Będziecie dalej prowadzić badania w tym kraju?

Historia polskich badań nubologicznych jest względnie długa – sięga lat 60. XX wieku. Od tego czasu w Sudanie doszło do dziesięciu zamachów. Mimo to 2023 będzie pierwszym rokiem, kiedy Polacy nie pojadą na wykopaliska. Trudno też powiedzieć, kiedy wrócimy. Zdecydowaliśmy jednak, że skupimy się na pomocy naszym kolegom w Chartumie. Ewakuowaliśmy szefa naszej misji i jego rodzinę. Zabudowania na terenie misji w Starej Dongoli, która jest bezpieczna, przekazaliśmy bliskim współpracownikom. Uchodźcom-archeologom, którzy uciekli do Egiptu, zaoferowaliśmy schronienie w budynkach misji w Kairze. Wierzę, że będziemy mogli zrobić o wiele więcej, gdy wrócimy do Sudanu.

Efekty pracy polskich archeologów w Sudanie można zobaczyć na cmentarzu katolickim na warszawskim Bródnie. Mało kto wie, że spoczywają tam szczątki trzynastu

nubijskich średniowiecznych biskupów. Jak się tam znalazły?

Jest wiele plotek dotyczących szczątków tych biskupów, jedna z najpopularniejszych legend mówi, że zostały przywiezione w walizkach przez jednego z badaczy ponad 60 lat temu. Nie wiem, jak rzeczywiście było – faktem jest, że w tamtych czasach bardzo często przywożono wykopane znaleziska nie jako *cargo*, ale właśnie w walizkach.

Co stało się dalej?

Generalnie prowadzono badania tych szczątków. Niedawno przeprowadziliśmy badania DNA i badania izotopowe. Niestety te kości były w bardzo złym stanie, nikt przez wiele lat się nimi odpowiednio nie opiekował. W okresie PRL archeologowie wielokrotnie próbowali pochować te szczątki na cmentarzu katolickim, ale przedstawiciele Kościoła rzymskokatolickiego długo się na to nie zgadzali.

Kim są ci ludzie?

Trzeba pamiętać, że to nie są biskupi katolicki, ale pochodzący z odległego zakątka chrześcijaństwa. W Polsce znajdują się szczątki trzynastu osób, udało się ustalić tylko kilka imion. To biskupi przynależni do Patriarchatu Aleksandrii – głowa Kościoła makuryjskiego była namaszczana przez antychalcedońskiego arcybiskupa Aleksandrii. Dopiero po wielu latach zostali pochowani na rzymskokatolickim cmentarzu Bródnowskim w skromnym, bezimiennym grobie z na-

pisem „grób kapłański”. Sprawa nie jest najłatwiejsza dla wielu osób czy instytucji.

Czy uda się to zmienić?

Mam nadzieję. Widzę, jak podejście do tej sprawy mocno ewoluuje. Co ważne, coś, co w latach 60. XX wieku było na porządku dziennym, żarty ze szczątków tych biskupów czy generalnie wykopalisk afrykańskich, dziś jest już uznawane za niedopuszczalne.

Czy zmiana podejścia do kultury afrykańskiej w polskich instytucjach może wpłynąć na godniejszy pochówek dla biskupów?

Impuls do dyskusji na ten temat wyszedł tak naprawdę od diaspory sudańskiej w Polsce. Podejrzewam, że ktoś usłyszał jakąś plotkę, że np. ich szczątki zostały przywiezione w pudełku po butach. Przed wybuchem wojny rozmawiałem o tym z dawnym ambasadorem Sudanu w Berlinie. Zadeklarowałem, że te szczątki powinny wrócić do Sudanu, o ile tylko Sudan będzie chciał. Miały zostać rozpoczęte rozmowy o zwrocie i pochówku w odpowiednim miejscu. Niestety drogę do happy endu zamknął konflikt.

Wróćmy jeszcze do początków badań. Wydaje się, że w okresie komunizmu badania dawnych królestw chrześcijańskich mogły być ważne tożsamościowo dla polskich archeologów.

Środowisko archeologiczne, które rozpoczynało badania w Nubii, było two-





ADRIAN CHLEBOWSKI / CENTRUM ARCHEOLOGII ŚRÓDZIEMNOMORSKIEJ UW X2

rzene zasadniczo przez osoby wierzące. Być może postawy antykomunistyczne lub religijne sprawiły, że ratowali dziedzictwo chrześcijaństwa.

Współcześnie nie spotkałem się jednak z takimi motywacjami wśród badaczy czy studentów. Zdarza się, że wśród odwiedzających naukowców spoza misji spotykam się z pytaniami dotyczącymi tego, jak żyli chrześcijanie otoczeni muzułmanami. Nie wynika to jednak z jakiegoś antagonizmu wobec islamu, tylko raczej ciekawości, którą sam podzielałem.

Mimo wszystko Sudan był kiedyś chrześcijański, dziś jest muzułmański. Na pierwszy rzut oka można mniemać, że nie była to łatwa historia. Jak skończyło się chrześcijaństwo w Nubii?

Rzeczywiście, w Dongoli – stolicy Makurii – na początku XIV wieku islam ogniem i mieczem próbował wprowadzać Barszambu, wódz osadzony na tronie przez rządzących Egiptem Mameluków. Wiemy m.in., że Barszambu w 1317 r. zamienił duży budynek, być może kościół, na meczet. Próby nawrócenia lokalnej ludności nie powiodły się, a Mamelukowie zaprzestali tych działań. Od XIV wieku do Makurii zaczęli jednak przyjeżdżać muzułmańscy misjonarze-asceci, którzy prawdopodobnie swoim sposobem życia przyciągali uczniów rekrutowanych wśród chrześcijan. Ci mędrzy mieli też zapewne podstawową wiedzę medyczną, co dodatkowo budowało zaufanie. Wokół pustelni muzułmań-

skich świętych mężów i sufich zaczęły powstawać całe miasta. Ten proces trwał jednak kilkaset lat. To oni nawrócili na islam lokalną społeczność – stąd do lat 80. XX wieku sudański islam był właściwie pozbawiony radykalizmu czy fanatyzmu. Dzisiejsze wpływy np. z Arabii Saudyjskiej są obce duszy sudańskiej.

Czy lokalna społeczność czuje się związana z chrześcijańską historią, którą badacie?

Ludzie, z którymi pracujemy – z administracji czy uczelni – mają świadomość, że historia Nobadii czy Makurii to też ich własna historia. Problem nie wynika z ich wyznania, islamu, ale środków finansowych, które mają do dyspozycji. Tym bardziej istotną rolę misji archeologicznej z Polski jest wsparcie tych osób w tym, by znajdować pieniądze na badania. Nie ma tutaj mowy o zaniedbaniu badań ze względów religijnych czy barierach stąd wynikających.

Z drugiej strony, gdy my skupialiśmy się wyłącznie na badaniach chrześcijaństwa, nie mieliśmy kontaktu z lokalnymi mieszkańcami. Informacje o odnajdywanych malowidłach z Jezusem czy krzyżem były im przekazywane ukradkiem przez pomagających nam robotników. Jak więc mieli na nas patrzeć? Podejrzliwość się skończyła, gdy sami się otworzyliśmy i zaczęliśmy cenić badania muzułmańskiego dziedzictwa Sudanu. Wtedy lokalni badacze zaczęli widzieć, że są traktowani jak partnerzy. Nasze relacje zmieniły się diametralnie.

Badania polskich archeologów z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW na terenie Starej Dongoli, stolicy Makurii, trwały aż do czasu wybuchu wojny domowej w Sudanie. Grudzień 2022 r.

Czyli jesteście witani „chlebem i solą”?

Być może we wsi są osoby, które nadal są przeciwne naszej obecności. Gdy planowaliśmy konserwację meczetu we wsi, zrobiliśmy spotkanie dla mieszkańców, na które przyszło około 200 osób, wśród nich był jeden mężczyzna, który sprzeciwiał się naszej pracy, bo „nie jesteśmy muzułmanami”. Ale podejrzewam, że gdyby jacyś Niemcy kopali w Otwocku czy na Wawelu, to też znalazłby się jakiś przeciwnik ich działań.

Z drugiej strony islam, podobnie jak chrześcijaństwo, jest religią prozelityzującą. Gdy przychodzi do mnie, jako szefa misji, lokalni szejchowie, często otrzymuję od nich Koran. Pewnie mają z tyłu głowy, że mógłbym przyjąć islam. Szejch z naszej wioski wręczył mi Koran, w którym wręcz pozaznaczał wszystkie fragmenty dotyczące Jezusa i Maryi. On na prawdę musiał wykonać nad tym dużo pracy!

Myszę jeszcze o jednym trudnym aspekcie lokalnych relacji religijnych i kulturowych. Badania w Egipcie czy Sudanie zaczynały się, gdy te kraje były koloniami. Archeologia jest pewną schedą po kolonializmie. ➔

→ Jak w tym świetle układają się Wasze relacje z lokalną społecznością?

Wierzę, że zmienia się też podejście europejskich badaczy do lokalnej społeczności. Nie patrzymy na nich jak na obcych lub wyłącznie transakcyjnie. Odeszliśmy od takiej archeologii, która jest reliktem kolonializmu, gdzie jako badacze kopaliśmy coś na miejscu i wywoziliśmy do naszych krajów pochodzenia. Dziś aspekt neokolonialny w badaniach archeologicznych jest nieco bardziej wysublimowany, ma raczej charakter kradzieży intelektualnej. Często jako badacze z Europy nie publikujemy w ogóle informacji i wiedzy o wynikach badań w lokalnych językach, nie staramy się budować potencjału naukowego wśród lokalnych współpracowników. Nie mając dostępu do wiedzy, nie mogą pełnić funkcji naszych partnerów. Polska misja stara się to zmienić.

W jaki sposób?

Budując misję w Sudanie, opieramy się na trzech podstawowych filarach. Po pierwsze, dzielimy się wiedzą z lokalną społecznością, mamy programy dla dzieci, dni otwarte itd. Po drugie, budujemy potencjał lokalnych badaczy, o ile oczywiście tego potrzebują. Po trzecie zaś, wspieramy konserwację istniejącej zabudowy, np. lokalnego meczetu, i dzielimy się naszymi zasobami czy umiejętnościami ze społecznością.

Po co to robicie?

Bo widzimy, że różnice religijne i kulturowe wpływają na podejście do badań. Dziś wiemy, jak ważne jest, by skupiać się i rozumieć, co jest interesujące rów-

KAZIMIERZAK / CENTRUM ARCHEOLOGII ŚRÓDZIEMNOMORSKIEJ UW



DR HAB. ARTUR OBLUSKI

jest profesorem UW, dyrektorem Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego i kierownikiem ekspedycji w Starej Dongoli oraz Ghazali w Sudanie.

niez dla lokalnej społeczności mużmańskie. Po pierwsze dlatego, że islam sudański też ma długą, wielowiekową przeszłość. Zanim zmieniliśmy podejście, lokalny szejch przychodził i mówił robotnikom, by nie pracowali, bo tak naprawdę chcemy ich nawracać na chrześcijaństwo. Gdy jednak rozpoczęliśmy konserwację najstarszego zachowanego w Sudanie meczetu, który znajduje się nieopodal misji, zobaczył, że zależy nam na lokalnej społeczności, na wiosce obok.

To chyba jednak nie wystarczyło, by przekonać lokalną ludność i zainteresować ją badaniami.

To prawda. Trzeba pamiętać, że Sudan jest jednym z ośmiu najbiedniejszych krajów na świecie. Dla naszych sąsiadów życie codzienne, które jest bardzo trudne, ma największe znaczenie. Dlatego dla mnie ważne jest, by ci ludzie mieli finan-

sowe profity z tego, że my jako misja tam działamy. W tym celu zaangażowaliśmy lokalną społeczność kobiet i namówiliśmy je do tego, by wróciły do wypłatania tradycyjnych koszy – wypartych przez chiński plastik – i sprzedawały je turystom. Do czasu wojny Dongolę odwiedzało dwa tysiące osób. Dlatego wraz z mieszkańcami współpracujemy w tworzeniu infrastruktury turystycznej, np. otworzyliśmy „start-up” hotelowy. Dzięki temu inne rodziny w wiosce zaczynają myśleć o tworzeniu swoich hoteli oraz innych atrakcji dla przyjezdnych. Sudańczycy są w tym bardzo kreatywni i przedsiębiorczy, podobnie jak Polacy.

Czy współpraca z lokalną społecznością mużmańską rzeczywiście ma wpływ na badania?

Wykopujemy wiele artefaktów, których nie rozumiemy, o których nie mamy pojęcia, do czego służyły. Oni nam pomogli je zidentyfikować, bo np. pamiętali, jak podobnego narzędzia używała ich babcia. Społeczność dzieli się też z nami swoimi archiwami rodzinnymi, tradycjami ustnymi, które okazują się ważne dla naszych badań. Przykładowo szejch powiedział mi kiedyś, że „nadchodzą czasy Kudanbesa”. Zastanawiałem się: co to oznacza? Okazuje się, że to powiedzenie, które przetrwało 700 lat i sięga czasów króla Kudanbesa, rządzącego Makurią, gdy Mamelukowie wielokrotnie łupili stolicę tego kraju, Dongolę. To były bardzo ciężkie czasy, „czasy Kudanbesa” – i w ten sposób mówią do dziś lokalni mieszkańcy. To niesamowite!

© Rozmawiał KAROL WILCZYŃSKI

Chrześcijańskie królestwo Afryki

MAKURIA to historyczne królestwo na terenie Nubii w Afryce Północno-Wschodniej. Od końca VI wieku stała się państwem chrześcijańskim, przyjmując ostatecznie zwierzchność Koptyjskiego Kościoła Ortodoksyjnego. Między 750 a 1150 rokiem stanowiła lokalną potęgę, a na jej

terenie powstały wspierane katedry i dzieła sztuki. Wiele dowodów świadczy również o rozbudowanych kontaktach międzynarodowych, m.in. z Bagdadem czy Konstantynopolem. Królestwo zaczęło się chylić ku upadkowi po zakończeniu krucjat oraz z powodu utraty władzy przez umiar-

kowanie przychylnych mu Fatymidów w Egipcie. Ostatecznie, pod naporem z południa (Sultanat Sannar) i północy (Imperium Osmańskie), zostało zdobyte w 1517 r. Lokalni mieszkańcy stopniowo przyjmowali islam. Do dziś na terenie południowego Egiptu i północnego

Sudanu znajdują się budynki i artefakty świadczące o zachwycającym, chrześcijańskim dziedzictwie Makurii. Część zabytków została uratowana tuż przed ukończeniem tamy w Asuanie przez polski zespół archeologów pod kierunkiem prof. Kazimierza Michałowskiego (aktualnie zbioru znajdują się m.in. w Galerii Faras w Muzeum

Narodowym w Warszawie). Wśród znalezisk znajdowały się kości 13 świętych biskupów, których szczątki przywieziono w latach 60. XX wieku do Polski. Polscy badacze z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW prowadzili badania na terenie Dongoli, stolicy Makurii, aż do czasu wybuchu wojny domowej w Sudanie. © KW

WOJCIECH

Bonowicz: Uwolnienie



SYN MARNOTRAWNY I JEGO BRAT – oto główni bohaterowie „Dziennika filozoficznego” Noiki. Czytam teraz to dzieło, opublikowane kilka miesięcy temu w przekładzie Ireneusza Kani, i figura dwóch braci znów za jego sprawą zaczyna żyć.

Rumuński filozof czyni z niej bowiem klucz do interpretacji naszego świata, naszych sposobów życia, a także bardziej szczegółowo – sposobów, w jaki wychowujemy i kształcimy.

Noice marzy się bowiem nowy typ szkoły (przy czym pisząc o szkole, używa dużej litery, co pozwala na ogólniejszą interpretację tego określenia) – szkoły, „w której niczego, prawdę mówiąc, się nie naucza. Żyjesz sobie spokojnie i statycznie gdzieś na przedmieściu, a młodzi, garść przyzwoitych młodych ludzi, przychodzą, by uwolnić się od belferskiej tyranii. Albowiem wszystko i wszyscy udzielają im lekcji. Wszystko trzeba wykuć z zewnątrz i na blachę; jedyne, co im wolno, to zadać parę pytań od czasu do czasu. Nie widzicie, że oni też chcą coś powiedzieć, coś wyznać? I że my nigdy nie mamy im nic do powiedzenia”.

Constantin Noica pisze te słowa jako trzydziestolatek – w pierwszych dniach II wojny światowej, która zastaje go w Paryżu. To znamienne i dość dwuznaczne, że jego dziennik właściwie nie odnosi się do wydarzeń wojennych. Młodego myśliciela zajmuje przede wszystkim idea szkoły, której uczniowie zdobywaliby wiedzę na drodze swobodnych poszukiwań, we wspólnocie, nie rywalizując i nie podlegając dyscyplinie. Byłaby to szkoła z powagą traktująca wszelkie przejawy i aspekty życia, otwarta na różne scenariusze oraz wzajemnie sprzeczne sposoby rozumienia i przeżywania. Co by ją spajało? Idea mądrości jako czegoś, co osiąga

się wspólnym wysiłkiem. Dlatego dewizą szkoły byłyby słowa Léona Bloy: „Nie wiadomo, kto daje, a kto otrzymuje”. „Szkoła, w której nie uczy się również profesor, to absurd”, pisze Noica.

Gdzie tu miejsce dla dwóch biblijnych braci? Tradycyjna wykładnia przypowieści o synu marnotrawnym przedstawia go jako tego, który zbłądził, porzucając ojca i roztrwaniając otrzymany od niego majątek. Dla Noiki ten, który ruszył w świat, to odważniejszy spośród dwójki rodzeństwa, bo odważył się zaspokoić swoją ciekawość, otworzył drzwi, podczas gdy drugi jedynie patrzył „przez dziurkę od klucza”. Ten, który upadł, zaznał wolności, jest więc pokorniejszy, wie, jakie wiąże się z nią ryzyka, ale też jak ważne było jej doznanie. Syn niemarnotrawny to wzór belfra, który przede wszystkim krytykuje i wymaga; „słyszę go – pisze Noica – w opowieściach ludzi osądających współczesny świat, zajmujących stanowisko, wygłaszających odczyty, udzielających się, a przede wszystkim negujących”. Każdy z dwóch braci nosi w sobie niepokój, który pcha go do szukania odpowiedzi; pierwszy szuka po omacku, podążając przede wszystkim za swoimi pragnieniami, drugi odruchowo się podporządkowuje, nad własne pragnienia przedkładając teorię. Szkoła, o której marzy filozof, przyjęłaby jednego i drugiego; pierwszemu pozwoliłaby uniknąć upadku, drugiemu – grzechu pychy. Dlatego w najciekawszym miejscu „Dziennika...” Noica notuje dwa paralelne zdania: „Syn marnotrawny nie poszedłby w świat, gdyby spotkał swojego nauczyciela”. „Brat syna marnotrawnego poszedłby w świat, gdyby spotkał swojego nauczyciela”.

Niedostatek myślenia i związany z nim brak odpowiedzialności. Myślenie, które zużywa się w krytyce, negacji, teoretyzowaniu, a w rezultacie – zamienia żywe w martwe. Celem szkoły, którą postuluje Noica, jest przeciwstawić się jednemu i drugiemu. W imię życia – które ma swój rytm, które nie znosi pośpiechu. Dlatego rumuński filozof pisze: w szkole czekam na młodzieńca nieśmiałego, który się nie spieszy, który jeszcze się waha. „Ależ to jasne – mówią oni – zobacz, tu jest posada, tu partia, a tam, zobacz, może się jakoś zaczepisz. Na co czekasz? Nie; on czeka. Czeką coś w nim. Coś w nim się ociąga. Szczęśliwi, którzy w takiej rozstrzygającej chwili spotykają wielkiego opóźnialskiego!” ©

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

KATOWICE, środa 22 listopada, spotkanie autorskie z Katarzyną Kubisiowską, autorką biografii Kory, Biblioteka Śląska (plac Rady Europy 1), godz. 18.00



KLUBYTYGODNIKA.PL

STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA**WARSZAWA**, czwartek 23 listopada

„W domu Ojca mego jest mieszkań wiele (J 14, 2)”

– spotkanie dyskusyjne z Marcinem Dzierżanowskim,

Uschim Pawlikiem oraz dr Barbarą Smolińską

na temat książki Marcina Dzierżanowskiego

„To jest także nasz Chrystus”,

sala KIK (ul. Freta 20/24A), godz. 18.30



ZESKANUJ I SPRAWDŹ

więcej informacji na [KlubTygodnika.pl/wydarzenia](https://klubtygodnika.pl/wydarzenia)

Odkryj **schrony** ■ ■ Nowej Huty

Atomowa groza. Schrony w Nowej Hucie - Muzeum Nowej Huty
os. Centrum E 1

Stan zagrożenia - Podziemna Nowa Huta
os. Szkolne 37

www.muzeumkrakowa.pl

MUZEUM KRAKOWA - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

TYGODNIK
POWSZECHNY

DODATEK
SPECJALNY

„TP” 47/2023

Nowohucka aleja
Róż po renowacji.
Kraków, lipiec
2023 r.

M. LASYK / REPORTER

KRAKÓW – NOWA HUTA

Jedno miasto, dwie historie

KATARZYNA KOBYLARCZYK

Nowa Huta, słynąca niegdyś ze stali i socjalizmu, wyrosła na ważne miejsce na kulturalnej mapie nie tylko Krakowa, ale całej Polski. Wystarczy jednak rzut oka na jej historię, aby zrozumieć, że nowohucka kultura od zawsze była fenomenem.

Coraz rzadziej słyszę już nawet argument, że tak do nas daleko – zauważa Małgorzata Szydłowska, dyrektorka Domu Utopii i współzałożycielka Teatru Łąźnia Nowa. A powodów, by odwiedzić Nową Hutę, nie brakuje. Dzielnica ma dwa teatry, muzeum, kilka ga-

lerii sztuki nowoczesnej, a o potrzeby kulturalne mieszkańców dba gęsta sieć bibliotek i domów kultury (w tym jeden z największych w Polsce). – Nasyconie instytucjami kultury jest tu porównywalne tylko z krakowskim Starym Miastem – przyznaje Katarzyna Olesiak, dyrektorka Wydziału Kultury

i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Jak to się stało, że z „Polski nieczłowieczej”, opisaną przez Ważyka w „Pomacie dla dorosłych”, miejsce to zmieniło się w centrum życia kulturalnego? A może nigdy tak do końca *nieczłowiecza* nie była?



Ludzkie bryły

→ Dla lepszego efektu – zaczniemy w baraku. Jest początek lat 50. Budowa kombinatu metalurgicznego i miasta dla jego pracowników niedawno się rozpoczęła. Zofia Kulinowska, była właścicielka dworu w Wadowie, organizuje dla budowniczych Nowej Huty wieczór z piosenką. Barak, w którym ma się odbyć występ, stoi w szczerym polu. Jest ciemny, duszny, zbity z desek, ogrzewany żelaznym piecykiem. „Powoli zaczęli się schodzić słuchacze” – pisze Kulinowska we wspomnieniach. „Szli wolno, niosąc w rękach kilofy, łopaty, siadali również na skrzynkach lub po prostu pod ścianą na podłodze. (...) Ludziom przycho- dzącym z roboty zaczęły tajać buty, tworząc małe kałuże na podłodze. Jeden bardzo przedsiębiorczy zdjął buty, a mokre onuce powiesił na cieplej rurze. Wkrótce za jego przykładem uczynił to drugi i trzeci. Poczułam, że nie wytrzymam tego wszystkiego, uduszę się, jeśli jeszcze przez chwilę oddychać będę musiała tym gęstym powietrzem, przesyconym wonią cuchną- cych szmat, lykac wirujący w powietrzu kurz i kłęby dymu z bardzo kiepskiego tytoniu, zakłócać spokój tym ciężkim ludz- kim bryłom śpiącym nieruchomo pod ścianami”. Kulinowska wybiega z baraku. Z bezsilności chce rzucić się pod pociąg.

Zofia była działaczką kulturalno-oświa- tową, jedną z „niosących kulturę” dla bu- dującej się Nowej Huty. Przywoziła do ba- raków oraz hoteli robotniczych aktorki i studentki polonistyki, organizowała wykłady profesorów i pokazy sztukmi- strzów. By posłużyć się jej słowami: mó- wiła o sztuce zmordowanym „osobni- kom marzącym o podwójnej porcji mięsa w stołówce”.

Czytam o tym w przepastnym holu No- wohuckiego Centrum Kultury, prawdo- podobnie największego domu kultury w kraju. Wspomnienia Zofii znalazły się w jednym z tomów „Czasu Zatrzyma- nego” Adama Gryczyńskiego, fotografa związanego z NCK, który przez wiele lat gromadził zdjęcia i wspomnienia o Ple- szowie, Lubocy, Mogile, Bieńczycach, Czyżynach i innych wsiach, zniszczo- nych przez budowę Nowej Huty. Robił to w dużej mierze społecznie. To ważne, bo historia nowohuckiej kultury to histo- ria pasjonatów, społeczników i idących pod prąd zapaleńców.

Z miejsca, gdzie siedzę, widać wejście do galerii Zdzisława Beksińskiego. Nie-

opodal znajduje się stała ekspozycja prac Jerzego Dudy-Gracza. Na ponad 13 tysią- cach metrów kwadratowych odbywa się tu ponad tysiąc wydarzeń rocznie. Odwie- dza je około 600 tysięcy osób. Zofia byłaby pewnie dumna. A może zdumiona?

– To zawsze był duży dom kultury, tworzony dla dużej dzielnicy – uważa Zbigniew Grzyb, dyrektor NCK. Kiedy rozmawiamy, nad naszymi głowami słychać tupot przedszkolaków. W sta- łych zajęciach NCK uczestniczy około 3500 osób rocznie. – Nie tracąc dotych- czasowej funkcji, staliśmy się instytucją o zasięgu ponadregionalnym – kontynu- uje dyrektor. – Nie znam drugiego domu kultury w Polsce, który prowadziłby dwa duże zespoły folklorystyczne, miał sześć przestrzeni wystawienniczych, salę estradową z 260-metrową sceną w pełni przy- stosowaną do przedstawień baletowych oraz folklorystycznych. Wiele z naszych wydarzeń przyciąga publiczność ogólno- polską i europejską. Zimą uruchamiamy nawet lodowisko.

Nowohuckie Centrum Kultury było ostatnią dużą inwestycją kulturalną PRL-u w Nowej Hucie. Budowa gmachu trwała dziesięć lat, otwarcie nastąpiło tuż po zniesieniu stanu wojennego, w paź- dzierniku 1983 roku. Od tego czasu NCK stał się instytucją nowoczesną. – Dobrze sobie radzimy – przyznaje dyrektor Grzyb. Widać to choćby we wpływach z bile- tów. W ciągu dziesięciu lat NCK udało się zwiększyć je pięciokrotnie. – I to przy zachowaniu przystępnych cen – podkre- śla dyrektor, który spodziewa się w tym roku osiągnąć wpływy sięgające 10 mln zł. – Nowa Huta się zmienia, odmładza – tłu- maczy dyrektor. – Sprowadzają się tu ro- dziny, które szukają oferty kulturalnej dla siebie i swoich dzieci. Trzeba mówić o tym z dumą: Huta ma świetną infrastrukturę. Bardzo się cieszę, kiedy w folderach dewe- loperów jednym z atutów, przekonują- cych do zakupu mieszkania w dzielnicy, jest bliskość NCK.

Awangarda na skwerku

Sieć nowohuckich domów kultury to rzeczywiście fenomen. Poza NCK działa tu także Ośrodek Kultury Norwida, ma- jący trzynaście klubów Ośrodek Kultury Kraków-Nowa Huta i cztery młodzie- żowe domy kultury. Liczbę osób korzy- stających z ich oferty szacuje się na ponad 700 tysięcy.

– Wielka różnorodność instytucji na niewielkim obszarze jest tym, co wyróż- nia Nową Hutę – przekonuje Jarosław Kłaś, dyrektor Ośrodka Kultury Nor- wida. Rozmawiamy w głównej siedzibie Ośrodka, na osiedlu Górali 5. W bloku, w którym niegdyś mieścił się hotel robot- niczy, znajduje się ostatnie kino dzielnicy – Sfinks, biblioteka, Galeria Huta Sztuki z kolekcją dzieł artystów awangardowej Grupy Nowohuckiej, Pracownia Anima- cji Ekologicznej oraz Nowohuckie Labo- ratorium Dziedzictwa, skupione na pracy wokół pamięci oraz tożsamości miesza- ńców dzielnicy. Ośrodek dysponuje też dużym, nowoczesnym budynkiem ART- zony oraz klubem Kuźnia z biblioteką w Mistrzejowicach. Kontynuuje tradycję Zakładowego Domu Kultury dla pracow- ników Huty im. Lenina, jednej z pierw- szych tutejszych stałych instytucji kul- tury, w której tkwią korzenie wielu dzi- siejszych nowohuckich instytucji: NCK, muzeum, skansenu.

Pytam Jarosława Kłasia o historię no- wohuckiej kultury. – Funkcjonuje o niej wiele mitów – mówi mi. – Nieprawdą jest na przykład, że wszystko zaczęło się od „Poematu dla dorosłych” Ważyka.

Poemat Ważyka był cezurą w nowo- huhckiej historii. Opublikowany w sierp- niu 1955 roku tekst demaskował oblicze najważniejszej budowy polskiego socja- lizmu. Wkrótce potem reportaż o Nowej Hucie napisał Ryszard Kapuściński, ujaw- niając tragiczne warunki życia budowni- czych. Skandal, który towarzyszył publi- kacji, wymógł na władzach zwiększe- nie troski o mieszkańców. – Trzeba jed- nak pamiętać, że wysiłki, by zapewnić ofertę kulturalną, sięgają początku lat 50. – opowiada Kłaś. – Nasza biblioteka dzia- łała od 1950 roku, rok później otwarto kino Stal i pierwszy dom kultury, zajmu- jący pomieszczenia nad pocztą na osiedlu Willowym – wymienia.

Nowa Huta była jednym z nielicz- nych polskich miast zaprojektowanych od zera na desce kreślarskiej. Podobnie obmyślono jej życie kulturalne. Na pla- nach urbanistycznych od początku wid- niały m.in. dwa duże kina (Świt i Świa- towid) oraz dwa teatry – kameralny i wielki. Nowe miasto miało zapewnić robotnikom godne warunki życia i do- stęp do kultury. Kombinat stał się mece- nasem artystów. Twórcy dostawali w No- wej Hucie mieszkania i pracownie, mo-



JACEK BORON / REPORTER

gli ubiegać się o stypendia. Dzieła, które tworzyli, prezentowano w mieszczącej się w Zakładowym Domu Kultury Galerii „Rytm”. Jej spadkobierczynią jest należąca do Ośrodka Galeria Huta Sztuki. Wiszą tu prace Walentego Gabrysiaka, Juliana Jończyka, Mariana Kruczek, Lucjana Mianowskiego, Janusza Trzebiatowskiego czy Danuty Urbanowicz.

Z pracowni artystów sztuka wyciekała na ulice. Na osiedlu Centrum D efemeryczną Galerię Pod Chmurką założył Komitet Blokowy nr 1, któremu przewodził plastyk Marian Kruczek. Zmontowano ją pod blokiem z dwóch bramek do piłki ręcznej i namiotowego płótna. Odbływały się tam niewielkie wystawy sztuki współczesnej, których nocami strzegła straż obywatelska, złożona z sąsiadów. Nigdy nic nie zginęło ani nie zostało zniszczone. Śladu po galerii już nie ma, ale do dziś w dzielnicy znaleźć można sporo awangardowych rzeźb. Jedną z nich stoi przy Zalewie Nowohuckim. „Wzlot” Stanisława Małka wykonano w walcowni Huty im. Lenina. Artysta przez miesiąc pracował z hutnikami, jedząc zupy regeneracyjne i nadzorując spawanie. Miejsce ustawienia rzeźby wybrał sam, z wdzięczności. Chciał, żeby robotnicy jadący do huty widzieli ją z tramwaju. Podobnych rzeźb plenerowych zachowało się w dzielnicy kilkanaście. – Były próbą walki o estetykę osiedli i gust ich mieszkańców – mówi Monika Kozioł, historyczka sztuki, kierowniczka Nowohuckiego Laboratorium Dziedzictwa i autorka szlaku nowohuckich rzeźb. – Podobną walkę toczył Lech Kmietowicz, prezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Hutnik”, który nowym lokatorom wręczał reprodukcje współczesnego malarstwa – do powieszenia w domu.



JACEK BORON / REPORTER

Przystań w teatrze

Teatr ostatecznie wzniesiono w Nowej Hucie jeden, kameralny. Jego pierwszą dyrektorką została reżyserka Krystyna Skuszancka. Pod jej kierownictwem Teatr Ludowy stał się jedną z najbardziej interesujących scen w kraju. Skuszancka wierzyła, że nieobebranym ze sztuką robotnikom lepiej pokazać od razu dobry, ambitny teatr. Na deskach Ludowego grano Słowackiego, Brechta i Szekspira, scenografie przygotowywał Józef Szajna. Krytycy grzmieli, że to zbyt trudna sztuka dla mas, ale Skuszancka ufała swoim widzom.

Ten dialog z widzami pozostał tradycją Ludowego. W latach 90., kiedy na nowohuckich osiedlach skinheadzi walczyli z punkami, ówczesny dyrektor Jerzy Fedorowicz zaprosił ich do teatru, na scenę. Stworzyli spektakl „Romeo i Julia”. W Ludowym długo działało także Studio Improwizacji, gdzie młodzi ludzie przez sztukę uczyli się rozmawiać o swoich problemach. Te tradycje kontynuuje Teatralny Instytut Młodych, otwarty kilka tygodni temu w zrewitalizowanym i powiększonym gmachu Stolarni. To pierwsza tego typu scena w Krakowie. – Zwróciliśmy się ku widzom nastoletnim, bo oni mają największą trudność, by odnaleźć się w teatrze. Wyrósł już z bajek, a sztuki dla dorosłych jeszcze nie zawsze ich interesują – wyjaśnia Katarzyna Dudek, kierowniczka literacka Teatru Ludowego. TIM ma wchodzić z młodymi ludźmi w dialog. Przedstawieniom towarzyszą warsztaty i spotkania z psychologami, terapeutami i psychiatrami. – Mamy nadzieję, że stworzymy bezpieczną przestrzeń, gdzie młodzież przy pomocy teatru będzie mogła zmierzyć się

Galeria Zdzisława Beksińskiego
w Nowohuckim Centrum Kultury.
Kraków, 9 października 2016 r.

Z lewej: prezentacja nowego gmachu
„Scena Stolarnia” Teatru Ludowego.
Kraków, 7 września 2023 r.

z wątpliwościami i problemami, które są dla nich istotne – dodaje Dudek.

Tyle, ile wywalczymy

Lucyna Olejniczak, pisarka, autorka m.in. bestsellerowej sagi „Kobiety z ulicy Grodzkiej”, mieszka w Nowej Hucie od lat 50. Pamięta tłumy na Dniach Książki, klub Międzynarodowej Prasy i Książki przy placu Centralnym oraz sąsiadującą z nim dwupiętrową księgarnię Skarbnica. – Mniejsze sklepy z książkami były niemal na każdym osiedlu – wspomina. – Teraz na miejscu MPiK jest market ogólnospożywczy, na miejscu Książnicy apteka, a małe księgarnie niemal zupełnie pozniły.

W latach 90. Nowa Huta przeżywała kryzys. Kombinat ograniczał produkcję i zwalniał pracowników, rosło bezrobocie. Instytucje kultury straciły mecenat i powoli uczyły się, jak radzić sobie w nowej, rynkowej rzeczywistości. Wiele upadło.

Dziś puste miejsce po Skarbnicy i MPiK próbuje wypełnić Cafe NOWA Księgarnia. – Tylko dzięki temu miejscu nowohuccy artyści i pisarze mogą się „policzyć”, bo, niestety, nie tylko ja mam wrażenie, że miasto nas nie widzi. Nie widzą władze, nie znają biblioteki, jesteśmy anonimowi – przekonuje Lucyna Olejniczak. – Dlatego czas najwyższy, żeby to zmienić, wziąć sprawy we własne ręce i stworzyć silną grupę literacką w naszym mieście. →

→ Założona pięć lat temu NOWA organizuje spotkania z pisarzami. Gościli już tutaj Filip Springer, Jakub Małecki, Monika Sznajderman, Sylwia Chutnik, Łukasz Orbitowski czy Radek Rak. Niedawno Elka Łapczyńska, autorka „Bestiariusza nowohuckiego”, prowadziła tu rozmowę z Anną Cieplak, autorką „Ciała huty”. Nowa Huta przeżywa bowiem renesans także jako temat literacki. Książkę poświęcił jej Igor Jarek (autor nagradzanego „Halnego”), a Edyta Świątek zlokalizowała w dzielnicy akcję pięciotomowej sagi. Zapytałam Łapczyńską, czy Nowa Huta może być dziś znów inspirująca dla autorów.

– Nie wiem, czy jest, dla mnie była – odpowiedziała. – Kiedy rozmawiałam

fanum, organizowany w halach kombinatu, i przenosiny Teatru Łaźnia pozwoliły szerszej publiczności dostrzec Nową Hutę – wspomina.

Walka, o której mówi Dargiewicz, ma różne oblicza. Jednym z nich jest obrona nowohuckiego dziedzictwa, długo niedocenianego i niechronionego. Część architektury dzielnicy ucierpiała, gdy na przełomie XX i XXI wieku spółdzielnie mieszkaniowe ocieplały bloki styropianem. Na uznanie (i ochronę konserwatorską) Huta czekała długo. Dziś może poszczycić się tytułem Pomnika Historii i staraniami o wpis na listę UNESCO. Na terenie dzielnicy obowiązują także przepisy o parku kulturowym, zabraniające zaburzania jej charakteru.



„Trzepaki, Reksio, Atari” – wystawa w Muzeum Nowej Huty. Kraków, 16 lutego 2023 r.

z Anną Cieplak, zapytałam ją zresztą o to samo: co takiego jest w dużych zakładach przemysłowych, że pociągają pisarzy. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że kombinat, czy to Huta Lenina, czy Huta Katowice, jest miejscem w jakimś sensie nieludzkim, molochem. Dlatego pobudza wyobraźnię, popycha ją ku fantastyczności, niesamowitości, nawet potworności. Dla mnie Huta była fascynująca. Była miejscem, na którym ciążyło piętno, bagaż historii, a jednocześnie wypełnionym symboliką: ognia, ziemi i kopania w niej, przemiany. Pomyslałyśmy też, że takie duże zakłady budują wokół siebie społeczność, której chcemy się przyglądać.

– Mam tyle kultury, ile sobie wywalczymy – mówi mi Jacek Dargiewicz, właściciel Cafe NOWA Księgarnia. – Kraków długo nie chciał wypuścić najważniejszych wydarzeń kulturalnych poza obręb Plant. Dopiero Festiwal Sacrum Pro-

Trzepak kultury

Jak duże zainteresowanie może wzbudzać historia Nowej Huty, przekonało się w lutym poświęcone jej muzeum. W kolejce, która ustawiła się do wejścia na wystawę „Trzepaki, Reksio, Atari”, opowiadającej o zabawach i rozrywkach dzieci PRL, trzeba było odczekać ponad trzy godziny. Na stronie muzeum pojawiła się nawet informacja, że tego dnia w kasie zabrakło biletów. – Frekwencja w pierwszych dniach rzeczywiście nas zaskoczyła. Pobiliśmy rekord Muzeum Krakowa pod względem dziennej frekwencji na wystawie czasowej, odwiedziło nas tysiąc osób jednego dnia – przyznaje Karolina Żłobicka, kierowniczka Muzeum Nowej Huty. Wystawę obejrzało w sumie 30 tysięcy ludzi.

Nowa Huta (i Kraków) długo zastanawiała się, jak powinno wyglądać i co prezentować poświęcone jej muzeum. Plany, by utworzyć tu Socland – coś pomiędzy wesołym miasteczkiem a mu-

zeum komunizmu – miała Krystyna Zachwatowicz. Powstała nawet próbna ekspozycja, szybko zamknięta. W 2005 roku Muzeum Historyczne Miasta Krakowa uruchomiło filię na osiedlu Słonecznym. „Słoneczko” pokazywało dzieje Nowej Huty i okolicznych wsi. Jednocześnie trwała dyskusja o ulokowaniu w dzielnicy muzeum PRL. Ostatecznie zdecydowano się połączyć pomysły i zbiory. W ten sposób w dawnym kinie Światowid siedzibę otrzymało Muzeum Nowej Huty, oddział Muzeum Krakowa.

– Nasze wystawy często opowiadają o zjawiskach uniwersalnych w Polsce powojennej, ale opierając się na lokalnych, nowohuckich przedmiotach, opowieściach i doświadczeniach – mówi Żłobicka. Muzeum wciąż czeka na ekspozycję stałą i generalny remont budynku. – Złożyliśmy projekt do programu Feniks. Jeśli dostaniemy środki, na przełomie 2027 i 2028 roku uruchomimy wystawę stałą – zapowiada Żłobicka. Plany są obiecujące. Na ponad tysiąc metrów kwadratowych znajdzie się nowoczesna ekspozycja, prezentująca dzieje Nowej Huty i opowiadająca o okresie PRL, także przez pryzmat życia codziennego.

Wierzę w Nową Hutę

Na boisku na osiedlu Szkolnym nie ma ani śladu po stojącym tu niegdyś baraku, zbitym z rozbiórkowych desek. Nie zachowała się także skrzynka z żarówkami, układającymi się w napis NURT. Pierwszy nowohucki teatr – stworzony przez amatorów, pod kierunkiem chemika i pisarza Jana Kurczaba – przetrwał jedynie w opowieściach. Kurczab przyjechał do Nowej Huty już w 1951 roku, a więc w podobnym czasie, co zdesperowana Kulinowska. Zebrał pasjonatów (wśród aktorów była nauczycielka, księgowy, operator spychacza) i nie pytając nikogo o pozwolenie, postawił z robotnikami drewniany barak na amatorskie przedstawienie. Sukces był tyleż ogromny, co zaskakujący. Widownia na 200 krzeseł nie mogła pomieścić chętnych.

Historia Nurtu fascynuje Małgorzatę Szydłowską i Bartosza Szydłowskiego, założycieli Łaźni Nowej. – My też musieliśmy sami zbudować sobie teatr – mówi Szydłowska. – Pierwszy powstał na krakowskim Kazimierzu. Po dziesięciu latach, kiedy musieliśmy się stamtąd wynieść, znów dostaliśmy ruiny, tym razem

warsztatów Zespołu Szkół Elektrycznych na osiedlu Szkolnym, tuż obok miejsca, gdzie niegdyś stał barak Nurtu – dodaje.

Przenosiny Teatru Łąźnia w 2003 roku były dla nowohuckiej kultury wydarzeniem epokowym. Łąźnia nie dość, że nie wystraszyła się „zakazanej dzielnicy”, to od samego początku starała się o nawiązanie bliskiego kontaktu z jej mieszkańcami. – Wysłaliśmy do nich listy z prośbą, by podzielili się z nami czymś nowohuckim, pamiątką, rzeczą, która jest dla nich ważna. Tak powstał nasz pierwszy spektakl, przyszło ponad trzysta osób. To, co najbardziej nas wówczas zdumiało, to otwartość nowohucian, ich gotowość i potrzeba mówienia o swojej niełatwej historii i pamięci – mówi Szydłowska.

Łąźnia Nowa zadomowiła się w Nowej Hucie. Latem wychodzi w plener, by nad Zalewem Nowohuckim zorganizować Bulwar Sztuki. Zimą, podczas Międzynarodowego Festiwalu Boska Komedia, ściąga do dzielnicy najlepsze spektakle teatralne. Teatr do dziś współpracuje z grupą nowohuckich aktorów-amatorów. Z myślą o nich powstał Dom Utopii – Międzynarodowe Centrum Empatii. – To miejsce, które pozwala nam kontynuować pracę z mieszkańcami, prowadzić działania z pogranicza teatru i edukacji, dzielić się zasobami i dobrymi praktykami – tłumaczy Szydłowska.

– Nowa Huta wciąż jest obietnicą – dodaje Bartosz Szydłowski. – Jest inna od Krakowa, odbija go niczym zwierciadło, a przy tym wciąż ma w sobie potencjał, świeżość. Powinna przestać być traktowana degradacyjnie – postuluje. Dyrektor Łąźni Nowej uważa, że Kraków wciąż nie do końca wykorzystuje potencjał dzielnicy. – Trzeba oddawać głos tam, gdzie ludzie chcą mówić. A Nowa Huta chce mówić. I zasługuje na duży, spektakularny gest ze strony Krakowa. Działania w małej skali już nas nie interesują. Wierzę w wielką Nową Hutę.

© KATARZYNA KOBYLARCZYK

Autorka jest reportażystką, pisarką (napisała książkę „Kobiety Nowej Huty. Cegły, perły i petardy”) oraz członkinią Nowohuckiego Laboratorium Dziedzictwa.



PIOTR WOJNAROWSKI, KANCELARIA PREZYDENTA KRAKOWA

Zastępca prezydenta Miasta Krakowa Jerzy Muzyk oraz prezes zarządu Kraków Nowa Huta Przyszłości S.A. Artur Paszko podczas oddania do użytku Strefy Aktywności Gospodarczej w Parku Naukowo-Technologicznym „Branice”. Kraków, 9 listopada 2023 r.

Huta od nowa

ARTUR PASZKO, PREZES SPÓŁKI KRAKÓW NOWA HUTA PRZYSZŁOŚCI S.A.:

Uwolnienie w obrębie dużej aglomeracji blisko tysiąca hektarów gruntów pod nowe inwestycje to potężny zastrzyk energii – nie tylko gospodarczej, ale również społecznej.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czym jest inicjatywa „Kraków Nowa Huta Przyszłości”?

ARTUR PASZKO: To strategiczne przedsięwzięcie mające na celu rozwój wschodniej części Krakowa, a przez to i całego regionu – poprzez przekształcanie terenów poprzemysłowych w przestrzeń przyjazną dla biznesu, nauki, kultury i mieszkańców. Nasza spółka istnieje od 2014 roku, ale pomysł jest dużo starszy, pochodzi jeszcze z czasów sprzed prywatyzacji Huty. Zaangażowane są tu zarówno Miasto Kraków, jak i Województwo Małopolskie. Mówiąc inaczej, chodzi o stworzenie nowej jednostki urbanistycznej – subdzielnicy w obrębie Nowej Huty.

Jakiej?

Będzie się składać z kilku komplementarnych elementów. Linia kolejowa, która od północy i wschodu oplata teren inwestycyjny – nazywamy tę część Cen-

trum Logistyczno-Przemysłowym „Ruszcza” – daje olbrzymie możliwości w tym względzie, a przy okazji pozwala ograniczyć ciężki transport w samym Krakowie. Bardziej na południe mamy teren przeznaczony pod Park Naukowo-Technologiczny „Branice”, czyli również miejsce związane z przemysłem, ale od strony teoretycznej i wdrożeniowej. Już teraz w Nowej Hucie działają jednostki naukowe, choćby Instytut Ceramiki i Materiałów Budowlanych – mamy nadzieję, że wkrótce pojawi się ich więcej.

Co jeszcze?

Dalej w stronę Wisły, po południowej stronie ul. Igołomskiej, zmienia się charakter terenu. Pojawia się zabudowa mieszkalna niskiej intensywności, dużo terenów zielonych, a w to wszystko wplecione jest Centrum Wielkoskalowych Plenerowych Wydarzeń Kulturalnych „Błonia 2.0”. →

→ Kraków potrzebuje takiego miejsca. Z kolei przy samej Wiśle powstaje Centrum Rekreacji i Wypoczynku „Przylasek Rusiecki”. Są to wyrobiska kopalni żwiru, eksploatowane jeszcze w latach 90., które dziś pięknie zarosły. Przekształcamy je w park rzeczny. To duży teren, takie krakowskie Mazury, który częściowo już udostępnił. Podoba się zarówno ekspertom, bo dostaliśmy sporo nagród, jak i samym mieszkańcom. W tym sezonie kąpielowym Przylasek Rusiecki odwiedziło około 100 tysięcy osób. Chcemy, żeby wszystkie nasze działania były prośrodowiskowe – staramy się nie ingerować w tereny zielone, o ile nie jest to absolutnie konieczne, a część przeznaczoną dla zwiedzających czy wypoczywających odpowiednio zabezpieczyliśmy. Z jednej strony zależy nam, żeby ludzie mogli podziwiać piękno przyrody, z drugiej chcemy ograniczyć antropopresję na środowisko.

Na mapie widzę jeszcze w okolicy Park Edukacyjny „Branice”.

Chcemy zachować tożsamość tego miejsca, dlatego powstanie tam skansen. W ten sposób dbamy o kulturową spuściznę Krakowiaków Zachodnich, których wsie dziś zamieniły się w różne dzielnice miasta. To ostatni moment, żeby ochronić to dziedzictwo – właśnie rozstrzygnęliśmy przetarg na translokację pierwszej zabytkowej chałupy. Ostatnim elementem, który domknie prace w rejonie Przylasku Rusieckiego, jest centrum geotermalne. Jeszcze w latach 60. wykonywano tu odwierty, które wskazywały na potencjał geotermalny tego miejsca. Musimy je teraz zweryfikować. Wciąż czekamy na ostateczne rozstrzygnięcia administracyjne. Jeśli jednak badania potwierdzą nasze przypuszczenia, chcemy wykorzystać geotermię w dwóch kierunkach – po pierwsze jako źródło ciepła dla okolicznych budynków, po drugie do celów rekreacyjnych. Taka termalna bania w Krakowie.

Kluczowa jest dla nas kategoria miasta piętnastominutowego – czyli powinno być tu wszystko, co potrzebne człowiekowi do życia.

Mamy na ten cel zabezpieczone 7 hektarów – potencjał jest olbrzymi.

Na jakim etapie są prace w poszczególnych projektach?

W przypadku Błonia 2.0 udało nam się już wykupić około 60 proc. potrzebnego terenu. To trudna przestrzeń, wiele zaskłości jeszcze z czasów Galicji, czyli rozdrobnienie własności, niewyjaśnione sprawy spadkowe – to wszystko wymaga wiele czasu i pracy. Z kolei w obszarze zabudowy wielorodzinnej tworzymy nie tyle same budynki, co raczej ramy dla dalszych inwestycji. Kluczowa dla naszego myślenia jest kategoria miasta piętnastominutowego – czyli musi być tu wszystko, co jest potrzebne człowiekowi do życia: praca, usługi społeczne, miejsca do rekreacji czy instytucje kultury. Sama Nowa Huta była realizowana zgodnie z tą ideą.

Pierwsze prace budowlane zaczną się wkrótce. Natomiast do Parku Naukowo-Technologicznego „Branice” udało nam się znaleźć już pierwszych inwestorów, a jesteśmy w trakcie rozmów z kolejnymi. Najwięcej pracy czeka nas jeszcze w związku z hubem logistycznym w Ruszcy, który ma potencjał stać się niezwykle ważnym węzłem transportowym dla całego miasta. Rozwijając istniejącą już infrastrukturę kolejową, można znacząco ulepszyć komunikację miejską, jak i transport towarowy. Do tego w pobliżu znajduje się port rzeczny na Wiśle, dziś wykorzystywany głównie jako ujęcie techniczne wody, a także lotnisko w Po-

biedniku Wielkim, które, po odpowiednich modyfikacjach, przede wszystkim samej nawierzchni pasa, mogłoby nieco odciążyć ruch na Balicach. Możliwości są olbrzymie, mamy wiele planów wybiegających w daleką przyszłość.

Z jakimi jeszcze wyzwaniem i musielicie się mierzyć?

Spora część terenów, na których działamy – a jest to już ponad 1000 hektarów, czyli tyle, co Stare Miasto i Kazimierz razem wzięte – to tereny poindustrialne, niezwykle trudne do zagospodarowania, którymi w normalnych warunkach inwestorzy raczej by się nie zainteresowali. Dlatego potrzebny był instrument interwencji publicznej w postaci naszej spółki. Kompleksowo przygotowujemy infrastrukturę pod inwestycje – budujemy drogi, zapewniamy dostęp do mediów, tam, gdzie to konieczne, oczyszczamy glebę itd. Koszt takiego przygotowania dla jednego hektara to około 3 mln złotych – bez uwzględnienia samego gruntu. To oczywiście nie byłoby możliwe bez wsparcia samorządowego i unijnego.

Jakie znaczenie ta inwestycja będzie miała dla całego Krakowa i regionu?

Uwolnienie tak rozległych gruntów w obrębie dużej aglomeracji to potężny zastrzyk energii, i to na wielu poziomach. Gospodarka w Krakowie, patrząc na same liczby, rozwija się świetnie. Problem polega na tym, że jest zbyt skoncentrowana na wysokospecjalistycznych usługach dla biznesu. A zdrowa gospodarka wymaga dywersyfikacji – ważną jej częścią powinna być również produkcja, i to bezpieczna dla środowiska oraz również pod innymi względami zbieżna z interesami Krakowa i jego mieszkańców. Taka inwestycja to także olbrzymi zastrzyk energii społecznej, szczególnie dla starzejących się i nieco zaniedbanych dzielnic miasta. Koszty są oczywiście znaczące, szczególnie w perspektywie napiętego gminnego budżetu, ale to działania, których efekty obliczone są na długie lata. To inwestycja w lepszą przyszłość miasta i jego mieszkańców – nie można się więc jej bać.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Artur Paszko jest prezesem zarządu spółki Kraków Nowa Huta Przyszłości S.A. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktor nauk humanistycznych.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 47/2023

REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran | OPIKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska

PARTNERZY DODATKU:



KRAKÓW NOWA HUTA
PRZYSZŁOŚCI S.A.



Opowiadamy miasto

JACEK PURCHLA, DYREKTOR MIĘDZYNARODOWEGO CENTRUM KULTURY:

Wysoka rozpoznawalność Krakowa w świecie wynika wprost z niezwykłych zasobów zgromadzonego tutaj dziedzictwa kulturowego. Jedno z wyzwań, przed jakimi stoi obecnie miasto, polega na mądrym zarządzaniu tym kapitałem.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jakim miastem jest dziś Kraków?

JACEK PURCHLA: Kraków znajduje się w fazie dynamicznej konfrontacji – pomiędzy wyzwaniem współczesnej cywilizacji a dziedzictwem minionych wieków. Zwłaszcza ostatnie ćwierć wieku to w dziejach miasta okres bezprecedensowej zmiany. Jesteśmy świadkami i uczestnikami gwałtownej modernizacji, jaką niesie z sobą globalizacja. Ale jednocześnie Kraków jest jedną z tych europejskich metropolii, którym udało się zachować swoją unikalną, wynikającą z wielowiekowej historii silną tożsamość. Dziedzictwo kulturowe Krakowa przesądza o jego szczególnym miejscu na mapie europejskiej cywilizacji. Różnorodność, integralność, ciągłość, autentyczność, reprezentatywność, klasa artystyczna i treści dziedzictwa architektonicznego Krakowa zdecydowały przed 45 laty o umieszczeniu dawnej stolicy Polski na liście pierwszych 12 obiektów wpisanych na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Zabytkowy rdzeń średniowiecznego miasta został więc uznany przez społeczność międzynarodową za wartość uniwersalną.

A dziedzictwo niematerialne?

Tu sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Dziedzictwo to rzeczywiście nie tylko materialne dobra kultury, lecz także nasza pamięć, wybór i tożsamość, zmuszające nas, byśmy wciąż na nowo interpretowali spadek przeszłych pokoleń. W Krakowie proces ten nie ma końca. Nie ma w Polsce drugiego miasta, które by tak obrosło mitem i legendą, a przy tym jego warstwa symboliczna byłaby równie żywa.

Przeszłość nie ciąży nam nad teraźniejszością?

Przeszłość objawia się w formie zabytków, które, niczym wyspy, opływa ocean teraźniejszości. Dużo ważniejszym



LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

JACEK PURCHLA

– dyrektor i założyciel powstałego w 1991 r. Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie. Profesor zwyczajny nauk humanistycznych, specjalista z zakresu dziedzictwa kulturowego i historii miast, krakowianista.

w tym kontekście pojęciem jest dziedzictwo – czyli to, jak się do tej przeszłości odnosimy. Mówiąc inaczej, dziedzictwo to proces codziennej reinterpretacji tego wszystkiego, co otrzymaliśmy od minionych pokoleń, celem budowania lepszej teraźniejszości i przyszłości.

Właśnie ukazała się druga edycja „Encyklopedii Krakowa”, której jest Pan redaktorem naczelnym. To także opowieść o tym, jak zmieniał się Kraków w ostatnim ćwierćwieczu?

Z pewnością. Pierwsze wydanie „Encyklopedii” ukazało się w 2000 roku pod redakcją naukową profesora Jana Małeckiego. Przygotowanie tak monumentalnego dzieła było wielkim sukcesem całego środowiska naukowego Krakowa. W ten projekt były wówczas zaangażowane setki badaczy reprezentujących bardzo różne dyscypliny.

Skąd pomysł na nową edycję „Encyklopedii”?

Po przeszło dwóch dekadach Kraków dojrzał do tego, aby zweryfikować stan wiedzy na własny temat. Gdy zostałem poproszony przez prezydenta Majchrowskiego o poprowadzenie prac nad kolejnym wydaniem, zdawałem sobie sprawę z ogromu pracy, który mnie i cały zespół czeka. Zaskoczyła mnie jednak skala zmian w różnych dyscyplinach naukowych, bo nie chodziło wyłącznie o przyrost stanu badań i powiązanych z nimi publikacji dotyczących „krakauerologii”, ale i świeżość metodologicznego podejścia, także w naukach humanistycznych i społecznych. Wyzwaniem stało się jednak przede wszystkim ogarnięcie wielowymiarowej zmiany, jaką Kraków przechodził i przechodzi w ciągu ostatniego ćwierć wieku.

Jakie jeszcze wyzwania wiązały się z nowym wydaniem?

Zmieniła się radykalnie perspektywa myślenia o mieście jako takim. W związku z czym musiałem najpierw uważnie przestudiować wersję z roku 2000. Trzeba było zdecydować, co należy rozwinąć i poszerzyć, ale przede wszystkim wymyślić, w jakiej formie chcemy tę wiedzę rozbudowywać. Encyklopedia to wielobój i poszukiwanie kompromisu pomiędzy doбором i koniecznością redukcji informacji a precyzją i rzetelnością przekazu. Dlatego też tę próbę syntezy wiedzy o mieście postanowiłem podzielić na dziesięć dużych obszarów, poświęconych życiu społecznemu, politycznemu, gospodarczemu, kulturalnemu itd. Nad każdym z nich czuwali zaproszeni przeze mnie do współpracy wybitni znawcy różnych aspektów wiedzy o naszym mieście.

Osobna część poświęcona jest ludziom, którzy przez wieki tworzyli Kraków.



→ To ważny, ale i trudny w realizacji rozdział, bo wiele nowych postaci wymagało opracowania. Dodatkowo w ostatnich latach powstało wiele ważnych prac naukowych poświęconych historii Krakowa, których wyniki musieliśmy uwzględnić w naszej pracy. Należy też pamiętać, że każda encyklopedia jest syntezą syntez, więc praca redaktorska w tym wypadku w dużej mierze polega na ciągłej redukcji, czyli dokonywaniu niełatwych wyborów.

Trzeba tu koniecznie podkreślić, czym nie jest „Encyklopedia Krakowa”, wobec faktu, że Kraków nie doczekał się własnego słownika biograficznego. Encyklopedia nie może spełniać funkcji takiego słownika, ani tym bardziej wydawnictw w rodzaju *who is who*. Na przeszło 6000 haseł około 1000 to hasła biograficzne, poświęcone monarchom, burmistrzom, wybitnym mieszkańcom i przyszłym współtworzącym przez wieki wielkość i niezwykłość Krakowa, ale też ludziom, którzy determinują życie miasta dzisiaj. Długo się naradzaliśmy, tworząc merytoryczne kryteria wyboru.

Znacząc również zwiększyliśmy liczbę kobiet obecnych na kartach drugiego wydania, co przy okazji dobrze pokazuje zmiany, jakie zaszły w ciągu ostatniego ćwierćwiecza w sposobie myślenia o otaczającym nas świecie, a przede wszystkim o roli kobiet w jego tworzeniu.

Co jeszcze zmieniło się w nowym wydaniu?

Zupełnie inaczej wygląda dział poświęcony środowisku geograficznemu i środowisku naturalnemu Krakowa, nad którym czuwał profesor Zbigniew Mirek. Twórcy pierwszej edycji, i mówię to z ogromnym szacunkiem dla ich pracy, byli przede wszystkim historykami, więc siłą rzeczy koncentrowali się na opisanu skomplikowanych dziejów miasta. Tworząc drugie wydanie, postawiliśmy sobie ambitne zadanie zbudowania równowagi między przeszłością a tym, co wydarzyło się w ostatnich dekadach. Sam, będąc redaktorem działu poświęconego architekturze i urbanistyce, odkryłem wiele miejsc w Krakowie, których wcześniej nie znałem. Wielokrotnie też przeredagowaliśmy hasła, wydawałoby się, nienaruszalne. Oznaczało to niekiedy zmianę wielu utrwalonych wcześniej przez pokolenia badaczy poglądów, choćby na sztukę Krakowa. Nie przypadkiem w na-

szej siatce tematów pojawiło się też dużo nowych haseł. To wszystko świetnie pokazuje, jak bardzo w ciągu tego ćwierćwiecza rozwinęła się humanistyka w Polsce, która z jednej strony rewiduje poglądy na wiele spraw, z drugiej – coraz szybciej zapenia białe plamy.

Jako zespół redaktorów naukowych przeszliśmy parę etapów pracy nad nową edycją. W ciągu tych kilku lat studiów nad dziejami i współczesnością Krakowa mogłem się przekonać, że procesem jest nie tylko miasto, ale może nim być również encyklopedia. Ta nasza, „Encyklopedia Krakowa” Anno Domini 2023, to zatem produkt naukowego wysiłku zespołu badaczy i refleks aktualnego stanu badań nad różnymi aspektami trwania Krakowa w cywilizacji europejskiej. Mam przekonanie, że stworzyliśmy w ten sposób nową jakość!

Z jakimi problemami mierzy się dziś Kraków?

Kraków jest w dynamicznym procesie poszukiwania dla siebie właściwego miejsca w sieci osadniczej Europy bez granic. Potencjał dziedzictwa pozostaje przy tym naturalnym kapitałem, z jakim Kraków wchodzi w XXI wiek. Wysoka rozpoznawalność Krakowa w świecie wynika wprost z niezwykłych zasobów zgromadzonego tutaj dziedzictwa kulturowego. Jednym z wyzwań, przed jakimi stoi dziś miasto, jest mądre zarządzanie tym niezwykłym kapitałem.

Odrodzony w roku 1990 samorząd już na początku świadomie nawiązywał do tej szczególnej misji i odpowiedzialności Krakowa jako niezwyklej skarbnicy dziedzictwa. Tworząc w roku 1990 nową strategię miasta opartą na jego ponownym otwarciu na świat i na powrocie do klasycznych funkcji Krakowa jako metropolii dziedzictwa, nauki i kultury, nie pomyliliśmy się. Kraków w ostatnim ćwierćwieczu stał się jednym z najbardziej atrakcyjnych i najchętniej odwiedzanych przez turystów miast Europy, by w ostatnich latach stać się ofiarą własnego sukcesu. „Turystyfikacja” i kreowane przez nią konflikty to nowe wyzwanie dla władz miasta.

Problem w tym, że narzędzia, jakimi dysponuje samorząd, są dalece niewystarczające, żeby mierzyć się z negatywnymi skutkami wielu współczesnych zjawisk, także związanych z przerostem turystyki. To dziś wyzwanie dla wszystkich obywa-

telek i obywateli Krakowa. Bo zderzenie twardej postawy historycystycznej z procesami modernizacji i globalizacji może okazać się twórcze.

Ostatnie dekady to także rozkwit Nowej Huty.

Choć proces integracji w niektórych kwestiach wciąż nie jest zakończony, Nowa Huta na przestrzeni ostatnich dekad stała się integralną częścią Krakowa. Jeszcze na początku lat 90. dla wielu ztwardziały krakauerów to był zupełnie inny świat, z którym się nie identyfikowali. Pewnie dlatego, że mentalnie wciąż żyli w przedwojennym Krakowie, złożonym z kleru, inteligencji i ziemian, z wielką domieszką drobnej burżuazji.

Moim zdaniem to sukces naszego miasta, że w ciągu ostatnich 30 lat udało się stworzyć wielką metropolię – różnorodną w swojej genezie i kształcie, ale spójną i przyjazną do życia. Dużym sukcesem Krakowa jest to, że Nowa Huta z symbolu stalinowskiej industrializacji, zwróconego przeciwnikowi dawnej stolicy Polski, stała się integralną częścią metropolii nauki i kultury, otwartej dla nowoczesnych przemysłów, żeby wspomnieć tylko dziesiątki tysięcy miejsc pracy w sektorze IT.

Obecnie wielu uważa wręcz Nową Hutę za najciekawszą część Krakowa.

Bo dzisiaj to miłe miejsce do życia, do tego bardzo zielone, z niedużymi, ale wygodnymi ceglаныmi mieszkaniami. Prawdziwe miasto piętnastominutowe. Układ urbanistyczny najstarszej części Nowej Huty, skupiony wokół placu Centralnego, wpisano ostatnio na listę Pomników Historii. To doskonały przykład tego, że dziedzictwo kulturowe jest procesem nieustającego odkrywania świata wartości.

Nowa Huta, tworzona w opozycji do starego Krakowa przed ponad półwiekiem jako symbol postępu i nowoczesności, jest teraz chronionym przez prawo zasobem dziedzictwa kulturowego. A przy okazji – na tle wybitnej kreacji urbanistycznej, jaką jest jej historyczne centrum, lepiej dziś widać wszystkie grzechy współczesnej zabudowy deweloperskiej. Obecny kryzys krakowskiej urbanistyki i pogłębiający się kryzys przestrzenny miasta również skrupulatnie odnotowujemy. W „Encyklopedii Krakowa” opowiadamy Kraków w całej jego złożoności.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Kiedy przeszło ćwierć wieku temu powstawał **KRAKOWSKI HOLDING KOMUNALNY**, jednostka skupiająca istotne dla prawidłowego funkcjonowania miasta spółki komunalne, nikt nie spodziewał się, że stanie się on operatorem jednego z największych w Polsce i najnowocześniejszych w Europie zakładów termicznie przetwarzających odpady nienadające się do recyklingu. I że przy okazji będzie liderem elektromobilności oraz innych działań, których wspólnym mianownikiem jest proekologiczny i proklimatyczny charakter. Jednocześnie działalność podatkowej grupy kapitałowej, jaką jest holding, pozwoliła wygenerować 100 milionów złotych oszczędności, które przeznaczono na inwestycje w infrastrukturę miejską.

Realizowane i projektowane inwestycje w większości związane są z **EKSPLUATOWANĄ PRZEZ NAS OD 2016 ROKU EKOSPALARNIĄ**. Obecnie w ciągu roku zakład może przetworzyć do 245 tysięcy ton odpadów, zamieniając je w energię ciepłą i elektryczną. Dzięki nam do sieci trafia ok. 70 tys. MWh energii elektrycznej, czyli tyle, ile zużywają wszystkie krakowskie tramwaje, oraz ponad 1 mln GJ energii ciepłej, dostarczanej za pomocą rurociągów Miejskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej do domów i mieszkań krakowian. Dzięki powstaniu Ekospalarni możliwe było domknięcie systemu gospodarki odpadami w naszym mieście oraz ograniczenie działalności składowiska Barycz.

NIE MARNUJEMY WODY, bo zamontowaliśmy system nawadniający zieleni wodą opadową – nie chcemy, aby deszcz spływający z dachu Ekospalarni był odprowadzany do okolicznych cieków wodnych i przyczyniał się do spiętrzenia rzek w okresach wzmożonych opadów. Nawodnienie wykonane zostało na powierzchni 35 arów.

INSTALACJA ODZYSKU CIEPŁA ZE SPALIN to zaawansowane rozwiązanie, umożliwiające wykorzystanie ciepła, które do tej pory trafiało do atmosfery. Instalacja zapewnia skuteczne odzyskiwanie ciepła w sposób zarówno efektywny, jak i ekologiczny. Konwencjonalna elektrownia węglowa, by wyprodukować tyle energii, ile my odzyskujemy ze spalin, emitowałaby do atmosfery około 26 tys. ton CO₂ rocznie. Dodatkowo instalacja pozwala na redukcję zużycia wody z sieci wodociągowej o około 50 tys. m³ w skali roku.

Wkrótce instalacja krakowskiej Ekospalarni zostanie wzbogacona o **ABSORPCYJNĄ POMPE CIEPŁA**. Zainstalowane urządzenie o mocy 2,4 MW pozwoli zwiększyć efektywność energetyczną zakładu oraz zmniejszyć emisję CO₂ do atmosfery. Energia, którą dotąd uznawano za odpadową bądź nieużyteczną, dzięki temu urządzeniu zostanie przesłana z powrotem do sieci ciepłowniczej oraz elektroenergetycznej Krakowa. Rocznie to około 24 tys. dodatkowych GJ energii ciepłej oraz 940 MWh energii elektrycznej. Co więcej, zakład ograniczy pracę chłodni wentylatorowej, co przełoży się na mniejsze zużycie prądu na potrzeby własne.

Stale rozwijany jest także projekt **PRODUKCJI ENERGII ZE SŁOŃCA**. Na terenie Ekospalarni trwają projekty pilotażowe, w ramach których zamontowano dwa rodzaje fotowoltaiki: tradycyjną na dachach oraz nowatorską na elewacji – elastyczną, niewymagającą ciężkich konstrukcji. Produkowany w ten sposób prąd wykorzystywany jest na potrzeby własne zakładu. Łączna moc zainstalowanych modułów fotowoltaicznych to około 60 kilowatopików. Docelowo KHK dąży do wybudowania instalacji fotowoltaicznej o łącznej mocy około 300 kilowatopików.

Krakowski Holding Komunalny to także **LIDER ELEKTROMOBILNOŚCI**. Spółka pełni funkcję lidera grupy zakupowej pojazdów elektrycznych. W związku z tym KHK S.A. przygotował i przeprowadził postępowanie przetargowe, w wyniku którego przekazanych gminie zostało 89 samochodów elektrycznych. Pojazdy służą instytucjom miejskim w ramach wprowadzonej w życie w 2018 roku ustawy o elektromobilności i paliwach alternatywnych. Pozytkowanie samochodów elektrycznych dla instytucji miejskich jest elementem szerokiej polityki Gminy Miejskiej Kraków w zakresie ochrony powietrza. Dzięki temu Kraków może pochwalić się jednym z najwyższych współczynników elektromobilności wśród polskich miast, a Krakowski Holding Komunalny S.A. pełni funkcję lidera grupy zakupowej pojazdów elektrycznych, w skład której wchodzi 38 jednostek miejskich i spółek.

Obecna strategia rozwoju spółki zakłada działania zmierzające do ograniczenia emisji dwutlenku węgla do atmosfery oraz zwiększenia bezpieczeństwa energetycznego spółek komunalnych skupionych w portfelu grupy kapitałowej KHK. Nawiązujemy również współpracę z uczelniami, instytucjami badawczymi, stowarzyszeniami na szczeblu krajowym i międzynarodowym. A wszystko po to, aby dalej poprawiać jakość życia mieszkańców Krakowa. ©



W SINGAPURZE MUSISZ SIĘ WYRÓŻNIĆ

Mieszkańcy tego azjatyckiego państwa-miasta
wywalczyli sobie miejsce w klubie najbogatszych krajów świata.
Przy okazji stworzyli społeczeństwo pracoholików.
Niektórzy mają tego dość.

MARTA ZDZIEBORSKA Z SINGAPURU

TRUDNO W TO UWIERZYĆ.

– Ależ tak, kiedyś u nas wszędzie była dżungla! – upiera się Chang, gdy przedzieramy się samochodem przez otoczoną wieżowcami autostradę.

Chang twierdzi, że gdy był dzieckiem, w czasach głodu, żywił się zerwanymi z drzew owocami mango i papai. – Było ciężko, ale przynajmniej można było na jeść się za darmo. Dziś w Singapurze na wszystko trzeba zapracować. A owoce smakują jak z próbowki – narzeka emeryt. Nie podoba mu się też wszechobecna betonoza i parki wciśnięte między główne arterie. Jeśli Chang chce odpocząć na łonie natury, jedzie do Tajlandii lub Indonezji. Lubi tam zwiedzać plantacje herbaty.

– Proszę, nie zrozum mnie źle. Singapur jest wspaniały – kryguje się. – Nasz pierwszy premier Lee Kuan Yew obiecał, że nie będziemy więcej głodować. Dotrzymał słowa. Otworzył kraj na zagraniczne korporacje i zbudował komunalne mieszkania, dzięki którym 80 proc. ludzi ma dziś swój dach nad głową. Tak, nie ma tu prawdziwej demokracji. Ale po co protestować, jeśli żyje się nam dobrze?

Jesteśmy w kraju, gdzie wolny rynek łączy się z rządami silnej ręki, interwencjonizmem państwa i trzymaną pod butem wolnością słowa.

Strategia sukcesu

Singapur, określany mianem demokracji nieoliberalnej, jeszcze 60 lat temu jechał na tym samym wózku co Jamajka: oba kraje walczyły z niedożywieniem. Dziś ta azjatycka wyspa, położona na krańcu Półwyspu Malajskiego i zamieszkała przez 6 mln ludzi, szczyci się produktem krajo-

wym brutto *per capita* na poziomie prawie 83 tys. dolarów amerykańskich. Według rankingu Międzynarodowego Funduszu Walutowego za rok 2022 daje mu to szóste miejsce wśród najbogatszych państw świata.

Swoją sukces Singapur zawdzięcza strategii opartej na kapitale ludzkim. Tuż po uzyskaniu niepodległości w 1965 r. Lee Kuan Yew uznał, że skoro państwo-miaśto ma mało ziemi i zero surowców, jego kartą przetargową będzie ciężka praca.

Lee Kuan Yew, premier w latach 1959-1990 (zmarł w 2015 r.), wykorzystał położenie na skrzyżowaniu handlowych szlaków morskich. Wabikiem dla firm zagranicznych, by otwierały tu filie, były też niskie podatki, przejrzyste prawo, spora wolność gospodarcza i ostra polityka antykorupcyjna. Jednocześnie pierwszy premier Singapuru inwestował w infrastrukturę i stymulował rozwój strategicznych sektorów, jak przemysł stoczniowy, elektronika czy banki.

Kluczowym momentem dla rozwoju kraju stały się turbulencje na światowym rynku finansowym, wywołane zawieszeniem w 1971 r. przez USA wymienialności dolara na złoto. Lee Kuan Yew postawił wtedy na wzmocnienie singapurskiego dolara, stopniowo czyniąc ze swojego kraju regionalne centrum finansowe. Dziś działa tu ponad 125 zagranicznych banków, m.in. amerykańskie CitiBank, Wells Fargo i JPMorgan Chase oraz brytyjski HSBC.

Siłą napędową sukcesu od początku był też system oparty na merytokracji, czyli na przekonaniu, że los jednostki powinien zależeć od jej determinacji

i umiejętności. To jednak napędziło wyścig szczurów w szkołach i miejscach pracy. Efekt jest taki, że Singapurczycy są dziś jednym z najbardziej zapracowanych i zestresowanych narodów. W ankietach wśród pracowników korporacji nawet 75 proc. z nich deklaruje, że cierpi na wypalenie zawodowe.

Grun to efektywność

Rakesh, który po 17 latach mieszkania w Singapurze doczekał się obywatelstwa, woli nie liczyć godzin spędzonych w biurcu CitiBanku.

Jeśli ten 49-letni informatyk ma szczęście, wychodzi z pracy o dziewiętnastej. Wraca do domu, je kolację i dwie godziny później zasiada do spotkań online z amerykańskimi współpracownikami. Musi być na bieżąco, bo podobnie jak jego koledzy z USA odpowiada za funkcjonowanie systemów informatycznych całego banku. Jeśli seria rozmów się przedłuża, kończy pracę około 23. Następnego dnia wstaje o szóstej – i tak od nowa. Bez gwarancji wolnych weekendów, bo wtedy może dojść do awarii systemu.

Rakesh zagryza zęby i cieszy się, że wyrwał się z rodzinnego stanu Bihar w Indiach, gdzie mógłby tylko marzyć o wysokich zarobkach, bezpieczeństwie i dobrej szkole dla dzieci.

A to, że się nie wysypia? To drugorzędne. – W Singapurze, który musi się dostosować do różnych stref czasowych zagranicznych kontrahentów, nie ma spraw nie do przeskoczenia – twierdzi. – Nie masz w ciągu dnia czasu na sport? To idziesz pobiegać do parku o drugiej w nocy. Nie masz czasu na zakupy? To idziesz do sklepu w środku nocy. Grunt to efektywność i dyscyplina, bo tego oczekują od ciebie inni – kwituje.

Kocham swoją pracę

Filozofię życiową Rakesha dzielają inni moi rozmówcy. Jak Kirana, pracowniczka administracji na uczelni, gdzie spędza 12 godzin dziennie.

Do firmowej skrzynki mailowej Kirana zagląda nawet na urlopie. Gdy latem pojechała z mężem do Europy, opracowała sobie system: pierwszą porcję maili sprawdzała przed śniadaniem, tak

*Pracownicy biurowi wracają do pracy po przerwie na lunch.
Singapur, czerwiec 2023 r.*

→ aby odpowiedzieć na pilne pytania współpracowników, którzy ze względu na różnicę czasu wstali w Singapurze kilka godzin wcześniej. Drugą transzę sprawdzała wieczorem, by nie mieć następnego dnia zaległości.

Jako koordynatorka odpowiedzialna za rozliczenia finansowe naukowców, Kirana przyzwyczaiła się, że haruje za kilku. Nie kwestionuje tego, gdyż chce się wykazać przed szefem. A po drugie musi wypełnić sobie czas. Na towarzystwo męża w tygodniu nie liczy, bo Dev, naukowiec, też pracuje non stop. Oprócz kierowania jednostką badawczą pisze nocami artykuły i jest redaktorem czasopisma. Tak jak żona nie zwalnia nawet na urlopie.

– Mam ze współpracownikami umowę: jeśli przychodzę do pracy ubrany w bermudy, a nie dżinsy, to znaczy, że mam wolne. Mogę sobie wtedy odpuścić niektóre spotkania i skupiam się na tym, co lubię najbardziej, czyli na pracy koncepcyjnej – tłumaczy mi Dev, z którym udaje mi się umówić na krótką rozmowę o godzinie 22.

Dev, pochodzący ze Sri Lanki, tłumaczy, że kocha swoją pracę i od najmłodszych lat stawiał sobie wysoko poprzeczkę. Jako 15-latek zdobył stypendium jednej ze znanych firm w Singapurze i dostał się tutaj do prestiżowej szkoły średniej. Potem była równie prestiżowa uczelnia i etat w jednostce badawczej, o który zabijają się najlepsi.

Strach przed porażką

Dev, Kirana i Rakesh należą do grupy imigrantów, którzy na przestrzeni kilku dekad pomogli uczynić z Singapuru azjatyckie centrum finansowe, handlowe i naukowe. Jednak ich obecność coraz częściej budzi wśród rdzennych Singapurczyków strach przed konkurencją na rynku pracy. Do tego stopnia, że w kraju rządzonego od 1959 r. przez jedno ugrupowanie polityczne – Partię Akcji Ludowej – imigracja to jeden z najgorętszych tematów przed każdymi wyborami.

Jeśli dochodzi do protestów – aby się odbyły, władze muszą najpierw wyrazić zgodę – najczęściej wywołane są oporem przed imigrantami, którzy stanowią już ok. 40 proc. społeczeństwa. Wzmagają oni wśród Singapurczyków *kiasu*, czyli strach przed porażką. Towarzyszy im od lat szkolnych, gdy muszą walczyć o stopnie i wyróżnienie się z tłumu.



YVONNE, 29-letnia informatyczka, nie chce brać na barki wysokich kosztów związanych z posiadaniem dziecka.



HAFIZ, 23-latek, mówi, że nie godzi się na życie polegające na harowaniu po kilkanaście godzin dziennie.

MARTA ZDZIEBORSKA x2

W życiu Singapurczyków nie ma bowiem miejsca na słabość, a uczą się tego od małego. Przed reformą edukacji w 2018 r. egzaminy zdawali nawet uczniowie pierwszej i drugiej klasy podstawówki. Ci starsi poddawani są ewaluacji kilka razy w roku, a największą ich zmartwienie są egzaminy centralne na zakończenie podstawówki i liceum. Stawka jest duża: od ich wyniku zależy nie tylko, do jak dobrej szkoły dostanie się uczeń, ale czy w przyszłości będzie miał szansę na karierę urzędniczą lub zostanie prawnikiem, lekarzem czy inżynierem – to najbardziej pożądane zawody.

W społeczeństwie rządzącym się zasadami merytokracji niewielkie potknięcie może dużo kosztować: zdarza się, że pracodawcy, zwłaszcza ci w sektorze publicznym, prześwietlają oceny kandydatów ze studiów, a nawet ze szkoły średniej.

To wszystko sprawia, że młodzi Singapurczycy żyją pod presją. W 2016 r. głośno było o piątoklasiście, który skoczył z wieżowca, bo dostał gorszą ocenę. Rodzice wymagali, by jego średnia nie spadła poniżej 70 proc., tymczasem chłopiec dostał z egzaminu 57,5 proc.

Byle się wyróżnić

O tym, jak bezwzględny jest wyścig szczurów, przekonała się 35-letnia Siying, z którą rozmawiam w Fusionopolis, kompleksie biurowców zajmowanych przez start-upy i firmy technologiczne. Gdy rozmowa schodzi na *kiasu*, Siying, córka

imigrantów z Chin, zaczyna opowiadać o swej frustracji.

Wspomina, że od najmłodszych lat przynosiła do domu tylko najlepsze stopnie, bo nie chciała zawieść rodziców. – Czułam się jak robot. Aby podoląć częstym klasówkom i testom, uczyłam się do drugiej w nocy. Wkuwałam każde słowo, bo podczas egzaminu nie ma czasu na zastanowienie: trzeba odpowiadać jak automat i iść dalej. Od najmłodszych lat towarzyszył mi lęk, że nie zdążę odpowiedzieć na wszystkie pytania – mówi Siying.

To nie koniec: w czasie wolnym musiała chodzić na basen, śpiewać w chórze i grać na harmonii. Wszystko po to, by się wyróżnić i zwiększyć szanse na dostanie się do jednej z najlepszych szkół średnich.

Siying mówi, że odetchnęła dopiero, gdy skończyła uczelnię (tam też musiała walczyć o stopnie). Dziś dla jednego ze start-upów projektuje algorytmy, które ułatwiają wychwytywanie przez kamery miejskie nietypowego zachowania przechodniów. – Po tym, co przeżyłam w szkole, nie wyobrażałam sobie wykonywania nudnej i rutynowej pracy – mówi.

Dziś jest matką rocznej córeczki. Liczy się z tym, że nie uchroni jej przed podobnym wyścigiem szczurów.

Jak mówi, walka o najlepszą edukację dla dziecka zaczyna się tuż po jego urodzeniu. Aby zwiększyć szanse na dostanie się do prestiżowej podstawówki, niektórzy rodzice udzielają się w upatrzonej placówce jako wolontariusze, np. przeprowadzają uczniów przez ulicę lub pomagają w szkolnym ogrodzie. Najbardziej majątni osiedlają się w Bukit Timah, ekskluzywnej dzielnicy, gdzie są najlepsze szkoły prywatne. Robią to, by podczas rekrutacji ich dziecko dostało dodatkowe punkty za mieszkanie w pobliżu szkoły.

Korki z żeglarstwa

Wie coś o tym także Kirana, której znajomy, urzędnik w ministerstwie, najpierw przeprowadził się do Bukit Timah, a potem jeszcze zapisał 10-letniego syna na kosztowne drogie zajęcia z żeglarstwa. Chciał, by chłopiec nabył nietypowych umiejętności, zanim będzie ubiegać się o miejsce w najlepszym liceum w Singapurze.

– Bo pływanie na basenie czy gra na skrzypcach nie robią już wrażenia – tłumaczy Kirana. Ona sama ducha singapurskiej rywalizacji doświadczyła dopiero



MARTA DZIEBORSKA

na studiach, gdy przeprowadziła się tu z Indonezji. Wspomina, że już na wstępie była na straconej pozycji: nie mając osiągnięć sportowych ani nietypowych umiejętności, jak gra na pianinie, miała problem ze znalezieniem miejsca w akademiku. Ostatecznie ją przyjęto, ale pod warunkiem, że będzie udzielać się społecznie i śpiewać w akademickim chorze.

Kirana: – Po dekadach funkcjonowania w systemie opartym na merytokracji Singapurczycy wpadli w błędne koło: nie mogą być wystarczająco dobrzy, muszą być lepsi od innych. W przeciwnym razie uznają, że ponieśli porażkę.

Dev: – Mam na uczelni wybitnych studentów, którzy mogliby sobie odpuścić dodatkowe zajęcia. Mimo to przychodzą, bo boją się, że coś im wtedy umknie.

Dziecko? Dziękuję, wolę psa

Od początku niepodległości Singapur, trawiony przez biedę, przestępczość i bezrobocie, wymagał dyscypliny. Lee Kuan Yew postawił na surowe prawo (obowiązuje wciąż kara chłosty, a za najcięższe przestępstwa kara śmierci), trzymanie pod butem wolności obywatelskich oraz kampanie społeczne mające wyplenić niepożądane zachowania, jak śmiecenie na ulicach.

Bojąc się przeludnienia, które mogłoby spowolnić rozwój gospodarczy, w latach 70. XX w. przywódca postanowił też okiełznać przyrost naturalny: zachęcając naród do posiadania nie więcej niż dwojga dzieci, obciął wsparcie socjalne dla większych rodzin i poluzował restrykcje w dostępie do aborcji i sterylizacji.

Dziś tamta strategia odbija się czkawką: na kobietę przypada tu zaledwie 1,04 dziecka, co jest jednym z najniższych wskaźników dzietności na świecie. Do

poszerzenia rodziny zniechęcają wysokie koszty życia i astronomiczne ceny mieszkań, których wynajem kosztuje dziś nawet o 70 proc. więcej niż przed pandemią.

– Wolę mieć psa niż biedować i brać na barki wysokie koszty związane z posiadaniem dziecka – mówi prosto z mostu Yvonne, 29-letnia informatyczka, którą spotykam przy Lau Pa Sat, zabytkowym budynku wciśniętym między wieżowce w sercu dzielnicy biznesowej.

Yvonne, ubrana w jasnoniebieskie dzinsy i skromną granatową bluzkę, tłumaczy, że jej największym marzeniem jest wyprowadzka od rodziców i kupno mieszkania. W jej przypadku to jednak cel karkołomny. Jako singielka nie kwalifikuje się do rządowego programu skierowanego obecnie tylko do małżeństw i osób samotnych powyżej 35. roku życia. Nie mając też szans na wykup lokalu komunalnego, Yvonne pozostaje wynajem mieszkania po cenach rynkowych. Wylicza, że za kawalerkę musiałaby płacić ok. 3 tys. dolarów singapurskich miesięcznie, co zżarłoby ponad połowę jej zarobków.

Yvonne: – Rodzice powtarzają, że i tak powinienam być wdzięczna losowi. Urodziłam się w czasach, gdy w Singapurze mamy największe zagraniczne korporacje i nie ma problemów z pracą. Pamiętam opowieści dziadków, którzy w młodości doświadczyli okropnej biedy. Dla nich czyste ulice, po których jeżdżą ferrari, to nadal abstrakcja.

Biedni wśród bogaczy

W Jalan Kukoh, mikrodzielnicy przyklejonej do Central Express Highway, nie widać dobrobytu. Przy blokach zbudowanych za państwowe pieniądze walają się śmieci. Na parkingu niemal pustki: tutejszych mieszkańców – emerytów,

Uczniowie Queenstown Secondary School przygotowują się do egzaminu. Młodzież ucząca się w barze lub kawiarni to tutaj częsty widok. Singapur, wrzesień 2023 r.

bezrobotnych i pracujących za najniższą stawkę – nie stać na zakup auta. W Singapurze za samo tylko prawo do posiadania samochodu trzeba zapłacić ponad 100 tys. dolarów singapurskich (prawo przysługuje na 10 lat, potem znów trzeba płacić). Dla większości to zaporowa kwota. Od lat 90. XX w. władze w ten sposób ograniczają ruch na ulicach.

W Jalan Kukoh nie ma więc wielu aut, jest za to beznadzieja. Bije po oczach w tu-tejszej jadłodajni. Przy starych, zapychających stolikach przesiadują emeryci i młodzi, którym niespieszno do pracy. Toaleta jest niemiłosiernie brudna.

Hafiza, wysokiego bruneta o śniadej cerze, łapie w przelocie, gdy wychodzi z bloku, by zapalić papierosa. Ma 23 lata, ukończoną obowiązkową służbę wojskową i licencjat z informatyki.

Mówi, że w Jalan Kukoh wylądował pięć lat temu wraz z matką Indonezyjką. Za wynajem klitki w bloku dofinansowanym przez państwo płacić tylko 200 dolarów singapurskich miesięcznie. – Jesteśmy tu, bo mama ma niskie zarobki, a o cieć, Singapurczyk, już wiele lat temu nas porzucił – tłumaczy. – Nie przelewa nam się, ale nie chcę iść do byle jakiej pracy w korporacji. Marzy mi się zostanie filmowcem – dodaje z dumą Hafiz, który dorabia drobnymi zleceniami dla mediów i agencji reklamowych.

Wybieram wolność

Hafiz twierdzi, że wielu jego znajomych z pokolenia Z nie godzi się na życie polegające na harowaniu po kilkanaście godzin dziennie i na wspinaniu się po szczeblach kariery.

– Nie chcę skończyć jak dorosłe dzieci moich sąsiadów, starszych już wiekiem. One miesiącami nie odwiedzają swoich ojców lub matek, bo nie mają na to czasu. To nie jest normalne życie – mówi Hafiz.

Jako jeden z nielicznych pozwolił mi sobie zrobić zdjęcie i podać w tekście swoje prawdziwe imię. Reszta prosiła, aby ich imiona zostały zmienione. Tym razem nie chcą wyróżnić się z tłumu.

© MARTA DZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.



Rodzina premiera Szkocji: w środku dziadkowie, którym udało się wydostać z Gazy.

TWITTER / @HUMZAYOUSAF

Z Gazy do Dundee

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

Wobec dramatycznych wydarzeń na Bliskim Wschodzie Brytyjczycy są podzieleni. Wpływają one i na politykę, i na indywidualne losy.

UŚMIECHNIĘTĄ PARĘ SENIORÓW – MĘŻCZYZNA z krzaczastą brodą, kobieta z długimi białymi włosami – otacza na zdjęciu kilkanaście osób. Dzieci na dywanie, dorośli na kanapie. Blisko siebie, radośni. Byłoby to typowe zdjęcie z rodzinnego spotkania, gdyby nie fakt, że starsza para – Elizabeth i Maged El-Nakla – to teściowie Humzy Yousafa, premiera Szkocji. Właśnie udało im się wydostać z Gazy. „Cieszę się, że są bezpieczni i z powrotem w domu – napisał Yousaf na platformie X. – Jednak teść powiedział: »Moje serce jest przełamane na pół, zostało z moją mamą, synem i wnucami w Gazie«”.

Historia rodziny szkockiego premiera pokazuje, jak blisko wielu Europejczyków jest wojna w Gazie.

RODZINNA WIZYTA | Elizabeth jest Szkotką i emerytowaną pielęgniarką, Maged Palestyńczykiem; mieszkają w Dundee. Ich córka Nadia kilka lat temu wyszła za Humzę Yousafa, dziś premiera regio-

nalnego rządu z ramienia Szkockiej Partii Narodowej (on z kolei pochodzi z rodziny imigrantów z Pakistanu; urodził się w Glasgow). Mohammed, brat Nadii, mieszka z żoną i dziećmi w Gazie, jest lekarzem w szpitalu. W Strefie mieszka też 92-letnia matka Mageda, ostatnio podupadająca na zdrowiu.

Elizabeth i Maged pojechali do Gazy, by odwiedzić ją i wnuki, dzieci Mohammeda. Byłaby to zwykła rodzinna wizyta, ale tydzień po tym, jak tam przybyli, Hamas zaatakował Izrael, a ten zaczął operację odwetową. Tak jak setki innych cudzoziemców, szkocko-palestyńskie małżeństwo znalazło się w pułapce, nie mogąc opuścić Gazy.

W kolejnych dniach, z trudem panując nad emocjami, Yousaf dzielił się informacjami o pogarszającej się sytuacji teściów. Te krótkie wiadomości są też swego rodzaju zapisem doświadczeń wszystkich cywilów w Gazie: bombardowań, braku żywności i wody, ciągłego strachu. „Całymi nocami trwa ostrzał, nigdy nie wie-

dzą, czy przetrwają do rana” – mówił Yousaf. Dodał, że nocami on i żona Nadia liczą godziny do świtu, wyczekując wieści od jej rodziców, że przeżyli kolejną dobę. Wyznawał: „Mogę być premierem Szkocji, ale w tej sytuacji czuję się bezsilny”.

WASZ BÓL, NASZ BÓL | Z racji funkcji Yousafa losy jego teściów są na Wyspach szeroko omawiane. Przy czym jego rodzina jest jedną z wielu dotkniętych tutaj tą wojną. W ataku Hamasu zginęło kilkunastu Brytyjczyków pochodzenia żydowskiego, wśród nich Szkot Bernard Cowan. Urodzony w Glasgow, wraz z żoną i dziećmi od lat mieszkał w kibucu Sufa przy granicy z Gazą.

Podczas uroczystości żałobnej w synagodze premier Yousaf zapewniał zebranych, że solidaryzuje się z żydowską społecznością Szkocji. „Wasz ból jest moim bólem” – mówił. Spotkał się tam też z matką Bernarda, Irene, która zapewniła premiera, że będzie się modlić za jego uwięzioną w Gazie rodzinę. „Uściskaliśmy się, płakaliśmy i obiecaliśmy poświęcić się pokojowi i jednoznacznie twierdzić, że żaden niewinny mężczyzna, kobieta czy dziecko nie powinni płacić za czyny innych” – mówił Yousaf.

SPRAWA POLITYCZNA | Od początku tej wojny szkocki premier apelował o zawieszenie broni i wysłał list w tej sprawie do wszystkich przywódców politycznych na Wyspach. Choć brytyjscy politycy zgodnie potępiają Hamas i podkreślają konieczność ochrony ludności cywilnej, to jednak kwestia, jak i kiedy doprowadzić do przerwania walk w Gazie, okazuje się niezwykle polaryzująca.

Opowiadanie się albo za „zawieszeniem broni” (co odrzuca premier Izraela), albo też za „przerwami humanitarnymi” (to Netanjahu dopuszcza) stało się papierkiem lakmusowym, przy czym podziały biegą zarówno wzdłuż granic regionów, jak też w poprzek partii politycznych. I tak: do zawieszenia broni kilka dni temu wezwał parlament Walii, a Szkocka Partia Narodowa chce doprowadzić do głosowania w tej sprawie w brytyjskim parlamencie w Westminsterze. Brytyjski premier Rishi Sunak opowiada się za przerwami w walce, natomiast zdymisjonował jednego z rządowych doradców, który wezwał do zawieszenia broni.

GROŹBA ROZŁAMU | Największe podziały są jednak w opozycyjnej Partii Pracy. Jej przewodniczący Keir Starmer uważa podobnie jak premier Sunak, że przerwy humanitarne są lepszym rozwiązaniem, by pomóc ludności Gazy, niż zawieszenie broni. Podkreśla też prawo Izraela do obrony. W jednym z wywiadów wyraził się jednak w tak niefortunny sposób, że uznano, iż popiera odcięcie Gazy od dostaw wody, żywności i prądu.

Później to prostował, ale w Partii Pracy zawrzało. A im większa liczba cywilnych ofiar w Gazie, tym więcej jej polityków wyłamuje się z szeregu. Za zawieszeniem broni opowiedziała się spora grupa parlamentarzystów, a także burmistrz Londynu Sadiq Khan i szef szkockiej Partii Pracy Anas Sarwar.

Revolucja trwa na niższym partyjnym szczeblu, gdzie kilkudziesięciu radnych wystąpiło już z partii. W ten sposób laburzyści stracili większość we władzach miejskich Oxfordu. Coraz częściej pojawia się też pytanie, czy przyjęte przez Starmera stanowisko – zgodne z linią rządów Wielkiej Brytanii i USA – może kosztować głosy w następnych wyborach. Tych, które Partia Pracy ma nadzieję wygrać.

NA ULICACH | Kolejną kwestią, która wzbudza na Wyspach skrajne emocje, są marsze propalestyńskie, organizowane w wielu miastach. W Londynie odbywają się w każdą sobotę, a biorą w nich udział dziesiątki tysięcy ludzi. Krytycy zarzucają, że marsze skierowane są przeciw Izraelowi i że pojawiają się na nich wezwania do przemocy czy wręcz zniszczenia Izraela (np. hasło „Palestyna od rzeki do morza”, tj. od Jordanu po Morze Śródziemne, czyli obejmująca także teren Izraela).

Kolejny marsz miał odbyć się po zamknięciu tego numeru, 11 listopada, w 105. rocznicę zakończenia I wojny światowej na froncie zachodnim. Data ta jest co roku uroczystością obchodzona w Wielkiej Brytanii jako Dzień Pamięci. I co roku, już kilka tygodni wcześniej, na ulicach zjawiają się wolontariusze Brytyjskiej Legii Królewskiej, którzy sprzedają papierowe czerwone maki. Przypina się je do płaszcza czy marynarki, a Legia przeznaczą zysk z ich sprzedaży na pomoc dla weteranów.

Teraz pojawił się niepokój, czy sobotni propalestyński marsz w Londynie nie naruszy powagi corocznej uroczystości. Pre-

mier Sunak uważał, że marsz powinien zostać odwołany i że zaplanowanie go na taki dzień jak 11 listopada jest wyrazem braku szacunku. Jednak to raczej wypowiedzi szefowej MSW Suelli Braverman, która demonstracje w sprawie Gazy nazwała „marszami nienawiści”, sprawiły, iż ryzyko przemocy wzrosło.

ESKALACJA EMOCJI | Propalestyński protest miał przechodzić z dala od Cenotaph, pomnika wojennego, gdzie odbywają się uroczystości, i dwie godziny po ich zakończeniu, więc oba wydarzenia nie powinny ze sobą kolidować. Jednak, jak zwraca uwagę komentator James O'Brien, używając określenia „marsz nienawiści” Braverman „stworzyła w umysłach ludzi przekonanie, że jest to coś, czemu trzeba się sprzeciwić”. I rzeczywiście, obecność w Londynie zapowiedzieli np. członkowie skrajnie prawicowej English Defence League. Co więcej, wkrótce potem w artykule w „The Times” minister podważyła wiarygodność policji, zarzucając jej sympatyzowanie z uczestnikami niektórych demonstracji, w tym tych propalestyńskich, a same marsze porównała tym razem do tych z Irlandii Północnej. Jej artykuł wzbudził oburzenie i pojawiły się opinie, iż może kosztować ją nawet utratę stanowiska.

Zdaniem części publicystów i polityków Braverman prowadzi własną grę, przygotowując się do walki o przywództwo w Partii Konserwatywnej, tymczasem jako szefowa MSW powinna emocje tonować, a nie je eskalować.

Mimo presji polityków policja nie zakazała marszu. W chwili zamykania tego numeru „Tygodnika” nie było jeszcze wiadomo, jaki był jego przebieg.

BRYTYJSCY ŻYDZI | Po 7 października na Wyspach odnotowano rekordową liczbę incydentów inspirowanych nienawiścią wobec brytyjskich Żydów: ponad tysiąc. W Londynie w ciągu miesiąca policja przyjęła ponad 650 takich zgłoszeń (w podobnym okresie rok temu: tylko 49). Odnotowano też wzrost incydentów na tle islamofobicznym; w stolicy było ich 230 (rok temu: 71).

Hugo Rifkind, dziennikarz żydowskiego pochodzenia, pisze w felietonie dla „The Times” o akcie wandalizmu w londyńskiej The Wiener Holocaust Library oraz o graffiti w szkole swojego dziecka.

To jedno z tych właśnie incydentów notowanych w statystykach. Jednak, wymieniając te przejawy antysemityzmu, Rifkind chce zwrócić uwagę na jeszcze inne zagrożenie, w długoterminowej perspektywie. Wspominając o słowach Braverman, pisze: „Pewnie myślała, że brytyjscy Żydzi będą jej wdzięczni. Przypuszczam, że wielu było. Jednak, moim zdaniem, ludzie mają prawo maszerować przeciw spadającym bombom bez względu na to, kto je zrzuca. I nie mogą opanować przeżycia na myśl, że żydowska społeczność może zostać wykorzystana do odebrania tego prawa”.

Tymczasem, jak wynika z sondażu ośrodka YouGov, sympatie Brytyjczyków są niemal symetrycznie rozłożone po obu stronach konfliktu: 19 proc. deklaroowało sympatię dla Izraela, tyle samo dla Palestyny, 31 proc. deklaroowało sympatię z oboma stronami, a 31 proc. nie mogło się zdecydować. Przy czym dokładniejsza analiza pokazuje, że zarówno wśród sympatyków Izraela, jak i Palestyny więcej jest tych, którzy odczuwają pewną sympatię także dla drugiej strony, niż tych, którzy nie znajdują w sobie żadnych pozytywnych względem niej uczuć. W gruncie rzeczy to trochę optymistyczne.

POWRÓT DO DOMU | Starając się panować nad emocjami, Humza Yousaf opowiadał w jednym z wywiadów, jak jego nieświadoma sytuacji czteroletnia córka dopytuje, czy babcia zdąży wrócić na Halloween, bo miała pomóc jej z przebraniem. „Odpowiadamy jej, że oczywiście babcia wróci. Jednak w głębi serca tego nie wiemy” – mówił. Wkrótce potem Elizabeth wysłała do bliskich w Szkocji pozegnanie, nagrane komórką. Z silnym szkockim akcentem mówiła, że to ostatnia wiadomość, że tam, gdzie są, nie ma wody ani jedzenia. Martwiła się jednak głównie o ludzi w szpitalach, którzy nie mogli być ewakuowani z północnej części Strefy. „Gdzie jest człowieczeństwo? – pytała przez łzy. – Gdzie serca ludzi na świecie, że na to pozwalają?”. Potem kontakt się urwał.

A jednak się udało: 3 listopada Elizabeth i Maged opuścili Gazę wraz z grupą cudzoziemców, którym umożliwiono przekroczenie granicy z Egiptem. Wrócili do Dundee, choć już po Halloween. Lecz radość jest tylko częściowa – w Gazie pozostali ich bliscy. ©

Wątpiący jak Czech

MARTYNA WASIUTA

Są tradycyjnie jednym z najbardziej eurosceptycznych krajów w Unii Europejskiej. Centroprawicowy premier Czech Petr Fiala właśnie próbuje to trochę zmienić.

BYLIŚMY PRZED BRUKSELĄ I BĘDZIEMY „po niej” – tak Tomio Okamura, lider partii Wolność i Demokracja Bezpośrednia, podsumował 15 lat obecności Czech w Unii Europejskiej. To parafraza słów, których autorem był František Palacký, XIX-wieczny historyk, jeden z „ojców” narodu czeskiego. Oryginalnie brzmiały: „Byliśmy przed Austrią i będziemy po niej” i dotyczyły okresu, gdy ziemie czeskie należały do państwa Habsburgów.

Przywołując przykłady Szwajcarii i Norwegii, Okamura przekonywał wtedy, że Unia nie jest potrzebna do wolnego przepływu ludzi, towarów, usług i kapitału, a Czechom starczy Europejskie Stowarzyszenie Wolnego Handlu, które nie ogranicza niczyjej suwerenności.

Okamura nie ma szans na wejście do rządu; jego partia to opozycja antysystemowa i ksenofobiczna, z którą nie wypada współpracować. Jednak antyunijne gesty były też domeną prezydentów: Miloša Zemana i jego poprzednika Václava Kłausa. Gdy 1 maja 2004 r. Czechy wchodziły do Unii, Klaus wybrał się na górę Blaník, rozsławioną za sprawą baśniowej symfonii Bedřicha Smetany z 1879 r. Legenda głosi, że w chwili zagrożenia narodu z podziemi tej góry wynurzą się wojowie świętego Wacława, księcia Czech z X wieku, i uratują kraj. W czasach zniewolenia Blaník był dla Czechów symbolem nadziei.

Klaus dał się wówczas sfotografować na Blaniku z rycerską tarczą i kuflem piwa. A w telewizyjnym orędziu, które wygłosił tego dnia, apelował do Czechów o odwagę.



BLISKO BRYTYJCZYKÓW | Jeszcze do niedawna Czesi byli jednym z najbardziej eurosceptycznych społeczeństw w Unii – pokazywały to cykliczne badania Eurobarometru. Może trudno się dziwić, skoro od lat pozostawali pod wpływem eurosceptycznych elit, na czele z Kłausem i Zemanem. Pod hasłem obrony czeskich interesów politycy chętnie sięgali po antyunijną retorykę, historyczne odniesienia i wzbudzanie strachu przed Unią. U wielu trafiało to na podatny grunt.

I tak, w badaniu Eurobarometru z 2020 r. Czesi przodowali w negatywnych opiniach o Unii: wraz z Grecją, Finlandią, Austrią i Belgią byli w grupie państw, w których negatywną opinię o Unii deklarowała jedna czwarta obywateli. Wcześniej nie było lepiej. O ile w 2018 r. w skali całej Unii członkostwo we Wspólnocie popierało 62 proc. obywateli jej 28 państw (było to przed brexitem), w przypadku Czechów było to 39 proc., najmniej ze wszystkich krajów. W 2019 r. poparcie to wyniosło w Czechach jeszcze mniej, bo 37 proc. (przy średniej unijnej 59 proc.). Czechom najbliższe było wtedy do Brytyjczyków i Włochów – tworzyli najmniej zadowolone *trio*. Poniżej średniej unijnej plasowali się wtedy też Słowacy (członkostwo popierało 46 proc.). W Polsce i na Węgrzech poparcie było powyżej średniej (63 i 66 proc.).

Badania Eurobarometru z 2019 r. mówiły też, że gdyby było takie referendum,

25 proc. Czechów głosowałoby za wyjściem ich kraju z Unii. Nie licząc Wielkiej Brytanii, był to najwyższy odsetek wśród państw unijnych. Wprawdzie 47 proc. byłoby za pozostaniem we Wspólnocie, ale odsetek ten był najniższy w Unii, dużo poniżej średniej unijnej (68 proc.).

POLARYZACJA | Analiza wyników rodzimych badań opinii, z pominięciem europejskiego tła, ukazuje jeszcze większą polaryzację w tej kwestii. Według Centrum Badania Opinii Społecznej (CVVM) w lipcu 2023 r. tylko nieco ponad dwie piąte (41 proc.) Czechów wyrażało zadowolenie z obecności Czech w Unii. Neutralną postawę (ani zadowolony, ani niezadowolony) deklarowała ponad jedna piąta, a ponad jedna trzecia (36 proc.) była niezadowolona (2 proc. nie miało zdania). Tym samym odsetek zadowolonych przeważał tylko o 5 punktów procentowych nad niezadowolonymi.

W porównaniu do badania z lipca 2021 r., w lipcu 2023 r. widać było wzrost zarówno odsetka zadowolonych (o 7 p.p.), jak też niezadowolonych (o 11 p.p.), kosztem deklaracji neutralnych (tu spadek o 17 p.p.).

Na ocenę członkostwa Czech wpływa sytuacja socjoekonomiczna, miejsce zamieszkania i poglądy. Wyższy poziom zadowolenia deklarują osoby, które pozytywnie oceniają sytuację gospodarczą i polityczną w kraju. Do bardziej zadowo-



MICHAŁ KAMARYT / CTK / PAP

Antyrządowy protest przeciwko wspieraniu Ukrainy i za wystąpieniem Czech z NATO i Unii Europejskiej. Praga, maj 2023 r.

temat trwa ostatnio głównie w kregach biznesowych związanych z eksportem). Jednocześnie Czesi w znacznie mniejszym stopniu niż Polacy przyznawali, że ich kraj jest beneficjentem członkostwa w Unii. W sondażach większość nie wiedziała, czy ich państwo więcej otrzymuje z unijnego budżetu, czy też więcej do niego wpłaca. „O Unii prawie nic nie wiemy, ale pieniądze z funduszy chętnie dostajemy” – brzmiała konkluzja jednego z badań z 2019 r. (Instytut STEM).

Z badań Eurobarometru z 2019 r. wynikało, że obywatele większości państw Unii za najważniejsze kwestie uważają walkę ze zmianą klimatu, przeciwdziałanie wykluczeniu i biedzie oraz zwalczanie bezrobocia wśród młodych. Z kolei dla Czechów na pierwszym miejscu jest walka z terroryzmem i przestępczością zorganizowaną, co może się wiązać z poczuciem zagrożenia ze strony nielegalnej migracji (straszyli tym już Zeman i Babiš).

Wydaje się, że pandemia poprawiła trochę wizerunek Unii w oczach Czechów. Opinia publiczna zobaczyła rolę Komisji Europejskiej w negocjowaniu dostaw szczepionek i napływu środków na odbudowę po pandemii.

PAMIĘĆ PORZUCENIA | Osobną rolę w kontekście czeskiego eurosceptycyzmu odgrywa historia i kwestie tożsamościowe. Dla Czechów Unia nie jest aż takim synonimem Zachodu i dobrobytu, jak dla Polaków. O przynależności do Zachodu przekonani są od dawna, pisali o tym ich intelektualiści. Jak Jan Patočka, filozof i dysydent, rzecznik Karty 77, który w eseju „Kim są Czesi” stawiał tezę, iż nie sposób zrozumieć czeskiej tożsamości w oderwaniu od dziejów średniowiecznej Europy Zachodniej. W eseju zaś z 1984 r. „Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej” Milan Kundera ubolewał, że „narody, które dotąd uważały się za zachodnie, obudziwszy się pewnego poranka stwierdziły, że znajdują się na Wschodzie”.

A historia? Tu mamy wciąż silną pamięć o „Monachium”: o zdradzie Zachodu 85 lat temu, jesienią 1938 r., przypieczętowanej w stolicy Bawarii. „Dzwoni dzwoni zdrady dzwon zdrady dzwon / Czyje ręce

go rozbijały / Francja słodka dumny Albion / a myśmy ich miłowali” – pisał w 1938 r. poeta František Halas. Poczucie porzucenia dotyczy też roku 1968, Praskiej Wiosny i inwazji Układu Warszawskiego. Obie rocznice, tzw. „fatalne ośmiaki” – momenty krytyczne dla czeskiej suwerenności – są żywe i pielęgnowane niezależnie od poglądów politycznych. Niektórym Unia może wydawać się więc równie niepewnym sojusznikiem.

No i są jeszcze Niemcy oraz obawy (niektórych) przed wzrostem ich pozycji w efekcie pogłębiania się integracji Europy. Choć coraz mniej poważnie traktowane jest „straszenie Niemcami” (kojarzone z Klausem i postaciami z marginesu polityki), to temat niemieckiego odwetu za powojenne krzywdy i przypadek mienia za sprawą „dekretów Benesza” jest stale eksploatowany w kulturze popularnej. W 2018 r. telewizja publiczna emitowała doskonały skądinąd serial „Vzteklina” („Wścieklizna”), zawierający takie wątki. Motyw zemsty po latach ze strony wysiedlonych Niemców został też wykorzystany w (również świetnej) powieści kryminalnej Jiřího Březiny „Promlčení” („Przedawnienie”) z 2015 r.

FIALA IDZIE WŁASNĄ DROGĄ | Gdy mowa o czeskim eurosceptycyzmie, ciekawe są zmiany w rządzącej dziś Obywatelskiej Partii Demokratycznej (ODS). Formacja ta, współzałożycielka Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (ECR), stara się przekonywać, iż nie jest partią eurosceptyków, choć w jej gronie nie brakowało najostrzejszych krytyków Unii – kiedyś jej liderem był Klaus. Wraz z nastaniem w 2014 r. przywództwa Petra Fialy, obecnego szefa rządu, ODS buduje nowy proeuropejski wizerunek (ostatnio lider eurosceptycznego skrzydła w ODS, Jan Zahradil, postrzegany jako „człowiek Klausa”, oznajmił, iż nie będzie kandydować do Parlamentu Europejskiego w 2024 r.).

Fiala i ODS nie zamierzają więc iść drogą Orbána. Możliwe też, że premier zechce wypisać Czechy z eurosceptycznego klubu, którego wizerunek rządu państw Grupy Wyszehradzkiej pielęgnowały od czasu kryzysu migracyjnego. Pytanie, czy zechce wypisać swoją partię z ECR, w obliczu obecności w niej ugrupowań skrajnie prawicowych (jak hiszpańska VOX) oraz antyunijnej retoryki PiS-u, który również należy do tej europejskiej „rodziny”. ©

lonych zaliczają się też studenci i pracownicy wyższych szczebli, a także mieszkańcy Pragi.

Zadowolenie wzrasta też wraz z przesunięciem skali orientacji politycznej z lewej na prawą: bardziej zadowoleni są wyborcy partii rządzących (ODS, Piratów, TOPo9, Burmistrzów i Niezależnych, chadeków), a wyborcy opozycji – bardziej niezadowoleni (ANO, nie wspominając o SPD Okamury). Wyższy odsetek niezadowolonych jest wśród emerytów, z których wielu stanowi elektorat partii ANO ekspremiera Andreja Babiša.

PRZYWIĄZANI DO KORONY | Skąd ten czeski eurosceptycyzm? W jakiej mierze z małej wiedzy o Unii i niewielkiej styczności na co dzień z przejawami jej wpływu, jak infrastrukturalne inwestycje. W Czechach w ogóle jest problem z budową i remontami autostrad. Inwestycje infrastrukturalne mają niski udział w puli projektów finansowanych z unijnych funduszy („W Czechach nie buduje się autostrad, ale ministerstwo namalowało już 400 km” – tak w 2020 r. media komentowały plan ich budowy, podając jego realizację w wątpliwość).

Czesi są też przywiązani do własnej waluty, a euro wydaje się wielu zagrożeniem. Od ponad 10 lat znacząca większość (69 proc. w 2020 r.) jest przeciwna przyjęciu euro, co przekłada się na politykę kolejnych rządów (debata na ten

Przed Sądem Rejonowym w Łomży Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie sygn. akt I Ns 682/22 z wniosku Mariana Bogdana Witwickiego z udziałem Lecha Witwickiego, Joanny Witwickiej i Ewy Witwickiej-Pianko o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Witwickiej, c. Józefa i Janiny, zmarłej dnia 27 czerwca 2021 r. w Łomży, ostatnio stale zamieszkałej w Łomży.

Sąd wzywa, aby wszyscy spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia wskazanego w ogłoszeniu zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabyciu spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 256/23 postępowanie z wniosku Gminy Jarocin o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Jarocinie o powierzchni 0,14,05 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 603 a.m.20, dla której nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 341/23 toczy się postępowanie z wniosku Jerzego Lenarta o stwierdzenie nabycia spadku po Elżbiecie Iżewskiej, córce Bronisława i Stanisławy, zmarłej w dniu 3 grudnia 2022 roku w Stalowej Woli, a to na rzecz wnioskodawcy na podstawie testamentu notarialnego z dnia 30 maja 2019 roku.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, a w szczególności córkę spadkodawczyni Ewę Stanisławę Kyć, ostatnio stale zamieszkałą w Lublinie, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 218/23 zostało wszczęte na wniosek Henryki Szymańskiej zamieszkałej w Stalowej Woli przy Alejach Jana Pawła II 13/174 postępowanie o uznanie za zmarłego jej syna Romana Stanisława Szymańskiego urodzonego 9 lipca 1957 roku w Stalowej Woli, ostatnio stale zamieszkałego w Stalowej Woli przy ulicy Wolności 1/49. Zaginiony w 2005 roku wyjechał do USA, a ostatni kontakt telefoniczny nawiązał z rodzicami w 2008 roku z Chicago. W 2011 roku nieznaną osobą przesłała z USA do Polski, do siostry zaginionego, jego paszport na jej adres zapisany odrębnie w paszporcie. Osoba ta wskazała na siebie jako na wierzyciela zaginionego.

Wzywa się zaginionego, aby w terminie trzech miesięcy zgłosił się gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego. Wzywa się także wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby w powyższym terminie przekazały je Sądowi Rejonowemu w Stalowej Woli.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 9/22 toczy się postępowanie z wniosku Gminy Miasta Gdańsk z udziałem Pauliny Pisarczyk o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Pisarczyku, urodzonym 19 lipca 1952 roku w Gdańsku, zmarłym 22 stycznia 2018 roku w Londynie, synu Władysława i Bronisławy.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Łomży I Wydziałem Cywilnym toczy się postępowanie w sprawie I Ns 639/23 z wniosku Teresy Stankiewicz o stwierdzenie nabycia własności w trybie ustawy działek gruntu o numerach: 89 i 167, położonych we wsi Włodki, gm. Mały Płock, powiat kolneński, woj. podlaskie oraz działki nr 380 położonej we wsi Chłudnie, gm. Mały Płock, powiat kolneński, woj. podlaskie.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 1 miesiąca od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Łomży, w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, na skutek wniosku Teresy Śledziak, pod sygnaturą I Ns 168/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia: udziału we współwłasności w 1/4 części, jaki przysługuje Judce Lejb Kałuskiemu, ewentualnie zasiedzenia własności części nieruchomości o powierzchni 0,1126 ha, położonej w Mińsku Mazowieckim, składającej się z działek oznaczonych w ewidencji gruntów numerami: 2106 i 2107.

Sąd wzywa zainteresowanych, w szczególności Judkę Lejbę Kałuskiego, ewentualnie jego spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 697/22 toczy się postępowanie z wniosku Alicji Gurgul o uwłaszczenie na rzecz Kazimierza i Cecylii Maturów działki nr: 1073 o pow. 1,23 ha, położonej w Okocimiu gm. Brzesko, powstałej z parcel katastralnych 697/3, 699/2, 699/3, 700/2, 701/2, 702, 698/3, 697/4, 703/5 objętych KW Nr TR1B/00024286/1, w której jako właściciele ujawnieni są: Maria Tomczyk (wpis z 1973 r.) oraz Józef Śmietana, Antonina z Osmędów Śmietanowa, Marja z Osmędów Tomczykowa i Karol Osmęda (wpisy z lat 1922-1936 przeniesione z lwh 414 gm. kat. Okocim).

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.



MARTIN LAHOUSEE / MATERIAŁY PRASOWE

JAN OLBRYCHT – polityk, europoseł z ramienia Platformy Obywatelskiej, samorządowiec i socjolog, ekspert w zakresie funduszy europejskich. Współprzewodniczący grupy roboczej Europejskiej Partii Ludowej ds. dialogu międzykulturowego i religijnego w Parlamencie Europejskim.

EUROPA DIALOGU

Musimy nauczyć się żyć razem, przy zupełnie innym podejściu do życia. Konieczne będą nowe rozwiązania prawne. To są nowe wyzwania dla Europy i naszych społeczeństw.

JACEK TARAN: Jest pan współprzewodniczącym grupy EPL ds. dialogu międzykulturowego w Parlamencie Europejskim. Jakie są zadania grupy?

JAN OLBRYCHT: Budowanie dialogu z Kościołami i społecznościami wyznaniowymi jest tradycją Europejskiej Partii Ludowej. Początkowo chodziło o dialog z przedstawicielami prawostawia. Dziś konieczne jest poszerzenie go o muzułmanów i żydów. Traktat lizboński zobowiązał Unię Europejską i jej instytucje do stałego dialogu z Kościołami. Chodzi o budowanie zaufania, szukanie wspólnych rozwiązań i przekładanie ich na politykę europejską. Pracujemy z przedstawicielami komisji Kościołów, które są na poziomie europejskim. Kościół katolicki ma swoją Radę Episkopatów, która jest oficjalnym partnerem Unii Europejskiej. Środowiska protestanckie mają swoją organizację na poziomie europejskim. Współpracujemy też z organizacją państw islamskich (Organisation of Islamic Countries).

Kryzys migracyjny niesie nowe wyzwania, związane głównie z dialogiem z islamem. Jak możemy na nie odpowiedzieć?

Stale rozmawiamy na temat migracji i integracji muzułmanów w Europie. Mówimy o kwestiach bardzo trudnych, dotyczących wolności religijnej, co jest kluczowe, jeżeli uznajemy, że wolność religijna jest prawem człowieka. To jest długi proces, którego podstawą musi być edukacja. Istotne w tej sytuacji jest przede wszystkim zrozumienie istoty swojej tożsamości. Edukacja jest najważniejszą drogą prowadzącą do zrozumienia siebie wzajemnie i próby namysłu, jak poukładać różniące nas elementy, żeby dały możliwość współistnienia przy zachowaniu wolności religijnej. Musimy rozmawiać nawet o rzeczach bardzo trudnych. Potrzebne jest zaufanie i pokora. Trzeba umieć czasami przyznać się do niewiedzy. To pozwala zrozumieć drugiego, znaleźć rozwiązania. Nie wystarczy reagować na pewne rzeczy, trzeba poznać istotę problemu.

Czy głos papieża Franciszka w sprawie migracji jest dziś słyszalny w Europie?

Robiliśmy kilka seminariów na temat słynnego dokumentu z Abu Zabi o braterstwie, który stał się podstawą późniejszej encykliki papieża Franciszka. Jako polityk z Polski byłem niezwykle poruszony tym, że nie znalazł on odzwierciedlenia w debacie publicznej w naszym kraju. Warto go publicznie czytać, jeżeli mamy poważnie mówić o braterstwie. Nasze rozmowy z Kościołami dotyczą też ich stosunku do wojny, co jest problemem o charakterze etycznym. I to nie jest kwestia tylko tego, żeby porozmawiać – trzeba dialog przełożyć na konkretne działania.

Chrześcijaństwo bardzo często staje się dla partii politycznych narzędziem czy środkiem do budowy nacjonalizmów.

Jak się przed tym bronić?

Mamy w historii Europy przykłady, kiedy Kościół katolicki zbliżał się do radykalnej, często bardzo nacjonalistycznej prawicy. To nie jest rzecz nowa. Bardzo ważne jest zrozumienie, że to, co robimy, nie jest angażowaniem Kościoła w politykę, ale rozmową polityków z przedstawicielami Kościoła. Instrumentalizacja religii i Kościołów zdarza się w różnych częściach świata, zdarzyła się ostatnio również w Polsce. Chcemy prowadzić dialog oparty na partnerstwie. Chrześcijaństwo nie jest przywiązane do jednej partii politycznej. Natomiast jako partia polityczna, centroprawicowa, EPL ma obowiązek traktować Kościoły jako ważne elementy życia społecznego.

Gdzie szukać dialogu, gdy okazuje się, że druga strona jest na dialog zupełnie zamknięta?

Przykładem niech będzie choćby wojna w Ukrainie.

Wojnę w Ukrainie prowadzą środowiska chrześcijańskie. To jest dramat. Część tego świata chrześcijańskiego błogosławi ludzi idących na front, obiecując im raj. To czysta herezja. Tak naprawdę nie ma innego wyjścia, jak po prostu funkcjonować zgodnie ze swoimi zasadami moralnymi. Jeżeli kryzys migracyjny będzie trwał, a będzie trwał, to oznacza, że życie stanie się trudniejsze. Musimy nauczyć się żyć razem, przy zupełnie innym podejściu do życia. Konieczne będą nowe rozwiązania prawne, regulujące system azylowo-wizowy, porządkujące kwestie związane z deportacją. To są nowe wyzwania dla Europy i naszych społeczeństw. ©





HISTORIA

UCZCIE SIĘ STRZELAĆ!

Był autorem dwóch przepowiedni dotyczących Palestyny i państwa żydowskiego. Jedna się sprawdziła, w drugiej bardzo się pomylił. Sprawa, której dotyczyły, jest aktualna do dziś.

ALEKSANDER R. MICHALAK

WŁODZIMIERZ ZE'EW ŻABOŹYŃSKI, bo o nim mowa, to postać niezwykle barwna. Wywarł ogromny wpływ na ówczesny świat żydowski, a także na kształt państwa Izrael – choć umarł na kilka lat przed tym, zanim ono powstało.

ŻYDOWSKI LEGION | Urodził się w 1880 r. w Odessie, gdzie ludność żydowska stanowiła duży odsetek mieszkańców. Dla niego jednak pierwszym językiem (pierwszym z wielu, które opanował) był rosyjski, nie jidysz. Za młodu Żabotyński pracował jako dziennikarz w Szwajcarii

i Włoszech; pod urokiem Włoch pozostał do końca życia. Był też wielbicielem polskiego romantyzmu.

Gdy mieszkał jeszcze w Rosji, nastąpiły tam pogromy Żydów i Żabotyński był jednym z tych, którzy organizowali żydowską samoobronę. Pogromy prowadziły też

Włodzimierz Ze'ew Żabotyński
z żołnierzami legionu żydowskiego, 1918 r.

do popularyzacji idei syjonizmu – stworzenia własnego państwa na terenach starożytnej monarchii Machabeuszów, należących wówczas do Imperium Osmańskiego. Choć wśród Żydów zawsze istniał motywowany religijnie sentyment do dawnych ziem królestw Judy i Izraela, a niewielka ich grupa nadal tam żyła, stworzenie państwa długo wydawało się mało realne.

Dopiero konflikt mocarstw, który doprowadził do I wojny światowej, okazał się szansą dla ruchu syjonistycznego. Zdając sobie z tego sprawę, Żabotyński był jednym z twórców legionu żydowskiego w składzie armii brytyjskiej, który dotarł do Palestyny. Po wojnie został zdemobilizowany, ale sam fakt zaistnienia żydowskiej armii (pierwszej od powstania Szymona Bar Kochby przeciw rzymskiej okupacji w II wieku) wraz z rozpadem imperium tureckiego i brytyjską Deklaracją Balfoura z 1917 r. (o utworzeniu w Palestynie „żydowskiej siedziby narodowej”) wywarły duży wpływ i na ruch syjonistyczny, i na samego Żabotyńskiego.

NOWY SYJONIZM | Już po ustanowieniu Mandatu Palestyny, nad którym pieczę miała Wielka Brytania, Anglicy – nie chcąc prowokować muzułmanów w swoim imperium, zwłaszcza w Indiach – zaczęli ograniczać emigrację Żydów i wykluczili dla ich osadnictwa teren Transjordanii (dziś to Jordania).

Część syjonistycznych liderów pogodziła się z taką brytyjską polityką. Inaczej Żabotyński: uznał to za zdradę ideałów i powołał własną organizację. Ten nowy syjonizm, nazwany rewizjonistycznym, który wyrósł na bazie rozczarowania „starym” syjonizmem, różnił się od niego także wyobrażeniami na temat relacji z arabską ludnością Palestyny.

Najwięcej zwolenników Żabotyński znalazł w międzywojennej Polsce, zwłaszcza w dawnej Galicji. Jak grzyby po deszczu powstawały tam ośrodki jego quasi-harcerskiej organizacji Betar, a jego samego witano tam jak izraelskiego monarchę. Członkowie Betaru mieli być nowym typem dumnych Żydów, którzy – inaczej niż ci „skażeni” diasporą – będą umieli odpowiadać na zadawane im ciosy. W galicyjskich miasteczkach

żydowscy nastolatkwie uczyli się więc maszerować, słuchać hebrajskich komend i śpiewać pieśni o nowej ojczyźnie.

W ojczyźnie tej żyli już jednak także ludzie, których nie zachwycała wizja żydowskiego państwa. Hasło syjonistów „Ziemia bez ludu dla ludu bez ziemi” ignorowało ten fakt.

ARABOWIE KONTRA MOSKOWI | Już odwiedzający Palestynę pod koniec XIX w. syjonista Aszer Ginsberg zwrócił uwagę na jej mieszkańców, ich potencjalną wrogość wobec syjonistycznych planów i możliwe konflikty. Istotnie, pierwsze osadnictwo syjonistyczne wywołało napięcia i arabskie ataki na osiedla żydowskie. To z kolei doprowadziło do stworzenia żydowskiej samoobrony nazwanej Bar Giora, a później Ha-Szomer.

Jej założyciele wywodzili się z grup samoobrony walczących z pogromami w Rosji. Członkowie Ha-Szomer, w egzotycznych strojach czerpiących z elementów czerkieskich, kozackich i beduińskich, przemierzali konno Palestynę i bronili żydowskich osiedli, ale też napadali na wrogie Żydom miejscowości arabskie. Ponieważ pochodzili głównie z Rosji, Arabowie nazywali ich „Moskowi”.

Po tym, jak Wielka Brytania objęła kontrolę nad Palestyną i ogłosiła Deklarację Balfoura, relacje między Żydami a Arabami były nieustannie napięte. Na indywidualnym poziomie zdarzały się przyjaźnie i bywało, że podczas antyżydowskich pogromów Arabowie ratowali swoich żydowskich sąsiadów. Ale przynajmniej dla Żabotyńskiego nie ulegało wątpliwości, że podczas budowy państwa otwarty konflikt stanie się nieunikniony. Dlatego wskazywał, że Żydzi powinni być przygotowani – powinni mieć regularną armię-legion.

POCHWAŁA MILITARYZMU | Żabotyński, który w wielu kwestiach miał poglądy liberalne, od innych liderów syjonistycznych różnił się dobitnym wskazywaniem na militarystykę jako decydującą o tym, czy uda się zrealizować ideę syjonistyczną. Nawijając do piosenki w jidysz, o nauce liter przez dzieci żydowskie, pisał: „Dla tej generacji, która wyrosła przed naszymi oczyma, na której barki spada odpowiedzialność za największy punkt zwrotny naszej historii, alef-bet jest bardzo proste: Młodzi ludzie, uczcie się strzelać”.

I chociaż także on, tak jak inni, wskazywał też na potrzebę uprawy ziemi, to bardziej żołnierz niż rolnik miał wcielić w życie ideę państwa żydowskiego.

Ta militarystyczna wizja była nowatorska, a dla dużej części przywódców żydowskich niemal bluźniercza. Przez osiemnaście stuleci Żydzi nie mieli armii, a rabiniczny judaizm był z zasady pacyfistyczny. W gloryfikacji militarystyki liderzy syjonistyczni widzieli zagrożenie.

Znaleźli się jednak rabini i ideolodzy ruchu gotowi przyznać rację Żabotyńskiemu. Uzasadniając potrzebę militarystyki, odwoływali się do biblijnych wojen ze wsparciem Jahwe, do bojów zelőtów z Rzymem. Jeden z tych rabinów argumentował: „Mogłoby się wydawać, że nie godzi się rabinowi rozprawiać o broni, wszak zadaniem jego jest sprowadzać pokój. To prawda, nam wstrętna jest wojna, nie chcemy jej, ale tolerować zbrodni też nie chcemy. Powiada Pismo: »Gdy ktoś nastaje na ciebie, by cię zabić – uprzedź go«. Jesteśmy nie tylko potomkami proroków, ale i potomkami bohaterów”.

HERETYCKA SZCZEROŚĆ | Mimo swych nacjonalistycznych poglądów Żabotyński nie dopuszczał możliwości, by arabska ludność Palestyny została z niej wygnana. Przewidywał pokojowe współistnienie Żydów z Arabami w państwie żydowskim; Arabowie mieli posiadać w nim wszelkie prawa obywatelskie. Przyznawał jednak, że koegzystencja nie będzie na zasadzie równości, gdyż Żydom przypadnie rola uprzywilejowana.

Decydował się w tym przypadku na rzadką w polityce szczerość i – inaczej niż wielu syjonistycznych liderów – nie głosił dobrodziejstwa żydowskiej kolonizacji, które miało zachęcić Arabów do kooperacji. Wprost pisał, co wyniknie z przejęcia przez Żydów władzy w Palestynie: „Stary syjonizm bezustannie sugeruje Arabom palestyńskim, że jest ich dobroczyńcą. Musimy zdobyć się na heretycką odwagę i szczerość, i stwierdzić, że jest to oczywiście nieprawda. Dla Arabów byłoby lepiej, gdyby Żydzi Palestyny nie kolonizowali, choć przynoszą im swą sławną cywilizację. Arabowie będą w Palestynie w mniejszości, a nie ma na świecie najbardziej nawet uprawnionej mniejszości, której by się działo tak, jakby była większością”.

Inaczej niż wielu syjonistów nie wierzył też, że Arabowie kiedykolwiek zgoda się

→ na żydowskie państwo, jeśli nie pójdzie za tym siła militarna, a więc jeśli nie zostaną siłą postawieni przed faktem dokonanym. Stąd Żydzi powinni stworzyć, jak mówił, „żelazny mur” własnej armii, która zapewni im bezpieczeństwo. Pierwszy raz wspominał o tym militarnym murze w artykule, który opublikowano sto lat temu, w listopadzie 1923 r.

Po wybuchu antyżydowskiego powstania Arabów w 1936 r. zwolennicy Żabotyńskiego uznali, że Żydzi sami powinni odpowiedzieć na nie siłą, nie licząc na Brytyjczyków. Stworzyli organizację wojskową Irgun Cewai Leumi. Formalnie podlegała Żabotyńskiemu, ale w praktyce kierowali nią inni, m.in. młody przywódca polskiego Betaru Menachem Begin (w przyszłości premier Izraela).

ODRĘBNY NARÓD | Żabotyński zdawał sobie sprawę, że palestyńscy Arabowie patrzą na zamieszkaną przez siebie ziemię z taką samą miłością, jak rdzenni mieszkańcy Ameryki patrzyli na swoją. Nie przypisywał im jednak specyficznej palestyńskiej tożsamości narodowej – postrzegał ich jako część świata arabskiego.

Rzeczywiście, w tamtym czasie ich osobna tożsamość dopiero się kształtowała. Wcześniej palestyńscy Arabowie przez wieki żyli pod władzą Osmanów, a po 1920 r. Brytyjczyków. Ale izraelski historyk Haim Gerber uważa, że już w czasach tureckich zrodziły się elementy odrębnej tożsamości palestyńskiej. Istotną rolę w jej kształtowaniu odegrała też później polityka wielkiego muftiego Jerozolimy, Amina al-Husseiniego, który podkreślał świętość tego miasta dla islamu. A także reakcja na imigrację żydowską.

Tymczasem Żabotyński zakładał, że Palestyniczycy są po prostu częścią wielkiego świata arabskiego, który miał już wystarczająco dużo własnych państw. Ale choć dziś są 22 kraje, które można uznać za arabskie, nie wpływa to na porzucenie idei swojego państwa przez Palestyniczyców. Czują się oni częścią świata arabskiego, ale też odrębnym narodem.

JAK KOLONIŚCI | Na światopogląd Żabotyńskiego wpływ wywarło i to, że w jego czasach kolonialne imperia miały się jeszcze znakomicie. Gdy niektórzy syjoniści podkreślali pokrewieństwo Żydów i Arabów, Żabotyński i jego zwolennicy czuli się w pierwszym rzędzie Europejczy-



Plakat fundacji z Jerozolimy, zbierającej fundusze na żydowską imigrację, z wizerunkiem Żabotyńskiego, 1926 r.

kami, a swą „semickość” widzieli jedynie w kategoriach zamierzchłej przeszłości, a nie współczesnego pokrewieństwa z ludami Bliskiego Wschodu.

Żabotyński ujął to, mówiąc o ludach Wschodu jako o „Izmaelu”: „Izmael nie jest ani naszym kuzynem, ani naszym wujem. Jesteśmy, chwała Bogu, Europejczykami; nie mamy nic wspólnego ze Wschodem. Dwa tysiące lat pomagamy budować kulturę europejską. (...) Idziemy do Palestyny, aby rozszerzyć moralne granice Europy aż po Eufrat”. Widział więc Żydów jak kolonizujących Europejczyków, a nie wracających do domu lud Wschodu.

DZIEDZICTWO | Żabotyński nie pomylił się, jeśli chodzi o żydowską armię. Okazała się niezbędna od pierwszych chwil, a jej „żelazny mur” miał wiele razy ocalić Izrael. Był on jednak również przekonany, że Arabowie, uznawszy, iż nic się nie da zrobić przeciw armii żydowskiej, pogodzą się z sytuacją i zostaną popularnymi obywatelami państwa żydowskiego. Ta przepowiednia się nie spełniła: większość Palestyniczyców nie porzuciła myśli o swoim państwie. Wojskowe ramię Hamasu nosi dziś imię Al-Kassama, palestyńskiego bohatera walk z Żydami i Brytyjczykami w latach 30. XX w.

Gdyby Żabotyński, który zmarł w 1940 r., mógł oglądać współczesny Izrael, zapewne byłby zachwycony jego armią. Byłby natomiast pewnie rozgoryczony niewielkimi rozmiarami państwa

– uznawał bowiem, że w jego skład powinna wejść obecna Jordania. Sam był autorem pieśni o rzece Jordan, która miała stanowić kręgosłup żydowskiego państwa. Kończą ją słowa: „Są dwa brzegi Jordanu, ten jest nasz i tamten też”.

Z tego odejścia od pierwotnych planów terytorialnych syjonistów rewizjonistów po części wynikają słowa Beniamina Netanjahu, w ideologicznym sensie dziedzica rewizjonizmu, który twierdzi, iż państwo palestyńskie już powstało, a jest nim Jordania.

Dziś znaczącą część społeczeństwa Izraela stanowią Arabowie, a ich przedstawiciele zasiadają w Knesecie, gdzie dopuszczony jest język arabski. Pod tym względem Izrael wydaje się dziedzicem wielokulturowego Imperium Osmańskiego: o ile w większości krajów arabskich, wchodzących kiedyś w skład państwa Osmanów, zniknęły wspólnoty żydowskie i w dużej mierze chrześcijańskie, o tyle w Izraelu, jak w dawnej Turcji, nadal żyją razem żydzi, muzułmanie i chrześcijanie. Mimo to palestyńskie dążenia do odrębnego państwa, w którym najpewniej nie będzie miejsca dla Żydów, są mocniejsze niż kiedykolwiek.

WCIAŻ ZA MUREM | Żabotyński przestrzegał przed katastrofą, która może dotknąć Żydów w Europie. Dyskusyjne jest, czy miał na myśli ludobójstwo czy prześladowania przypominające te z historii Europy. Pisał, że Żydzi żyją na wulkanie, a w maju 1939 r. ostrzegał: „Na wozie staczającym się w przepaść siedzi 6 milionów ludzi”.

Nie dożył utworzenia Izraela, którego pierwszym prezydentem został jego główny rywal Dawid Ben Gurion. Większość młodych zwolenników Żabotyńskiego z Europy Wschodniej zginęła podczas Szoah. Niektórzy z bronią w ręku, walcząc nie z Arabami, lecz z Niemcami podczas powstania w getcie warszawskim.

Dziedzicami syjonistycznego rewizjonizmu, choć nie zawsze idei Żabotyńskiego, byli zarówno premier Menachem Begin, jak i Ariel Szaron oraz Netanjahu, a „Jegion” wielokrotnie ocalił państwo. Ale, z drugiej strony, współczesny Izrael wciąż, sto lat po przepowiedni Żabotyńskiego, jest zmuszony żyć za „żelaznym murem”, a większość jego młodych obywateli wciąż musi uczyć się strzelać.

© ALEKSANDER R. MICHALAK

JACEK

Podsiadło:

W oparciu o pustaczarki



„MYŚLAŁEM, ŻE PANI WCZORAJ UMARŁA” – mówi zamiast dzień dobry bohater „Życia towarzyskiego i uczuciowego” Tyrmanda spotkanej na schodach sąsiadce. Nuta żalu w tym pozdrowieniu bierze się stąd, iż w nocy staruszka do-

nośnym głosem zegnała się ze światem, co skutecznie uniemożliwiło bohaterowi nawiązanie intymnej więzi z przyjaciółką, którą gościł. „Wątroba mnie trochę pobołęwała, ale dziękuję, już lepiej. A gdybym nie krzyczała, że umieram, to nawet by mi herbaty nie dali” – wyjaśnia starsza pani i pomyka na górę z wiadrem wody, bo rzecz dzieje się w czasach, kiedy wodę nosi się ze studni.

Życie zarówno towarzyskie, jak i uczuciowe przez długie lata determinowane było w Polsce przez kolejne odslony polityki mieszkaniowej: przymusową gospodarkę lokalami, kwaterunek, zagęszczanie, „współdzielcznienie”, budownictwo oszczędne, budownictwo indywidualne, budownictwo patronackie, budownictwo wielkopłytowe... Od nich zależało, z kim się mieszkało pod jednym dachem, a kogo się miało za przepierzeniem.

Gospodarka lokalowa i zagęszczanie określały maksymalną powierzchnię życiową przypadającą na jednego człowieka. Zrodziło to popyt na klitki i zapoczątkowało styl klaustrofobiczny w architekturze, bo każdy wołał mieszkanie ciasne, ale własne, od dużego, ale wspólnego z obcymi lokatorami. Fabryka Fortepianów i Pianin „Calisia” odpowiadała na wyzwania współczesności produkcją pianin nowego typu i kształtu, „ze względu na niewielkie wymiary (wysokość 105 cm) nadających się do małych mieszkań”. Mebli najlepiej było w ogóle nie mieć, co na łamach „Życia Osiedli Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej” podnosił inż. arch. Jan Szymański: „Brak mebli jest nawet korzystny, zazwyczaj bowiem meble z jednego mieszkania nie bardzo odpowiadają nowym warunkom”.

W artykule zatytułowanym „Ładne i wygodne” proponował młodym małżeństwom własnoręczne wykonanie atrap mebli „z surowych płyt wiórowych, obustronnie fornirowanych. Płyty takie po dość niskich cenach nabywać można w sklepach CHPD”. Tapczan miała stanowić płyta wiórowa położona na ceglach. „Wysokość podniesienia tapczanu 6, 13, 19 lub 25 cm zależnie od gustu (lepiej niżej, bo wtedy cegły stają się mniej widoczne)”. A wśród sposobów na sztuczne zmniejszenie posiadanego metrażu, jakie znalazłem w internetowych wspomnieniach, najbardziej mi zaimponowała sztuczka z dokręceniem do składanej metrówki jednego elementu z innej metrówki. Potem należało tylko zapro-

ponować inspektorowi mieszkaniowemu coś do picia i własną miarkę. Pozbyszy się inspektora, można było próbować „poszerzyć metraż”. Np. poprzez wyrąbywanie przestrzeni mieszkalnej (określenie Rafała Marszałka na wyburzanie ścian działowych), ale też oszukując zmysły „iluzyjną głębokością ściany kuchennej” lub rozsuwanymi drzwiami.

Budownictwo oszczędne, obsesja Gomułki i jego ekipy, oznaczało jedną wspólną łazienkę na kilka mieszkań, kuchnie bez okien i pozostawianie prac wykończeniowych praktycznie na głowie mieszkańców.

Budownictwo indywidualne polegało na tworzeniu własnych domków z niemożliwych do kupienia surowców. Cement i cegłę należało gdzieś ukraść, toteż do osiedli takich domków przylgnęła nazwa „złodziejówki”. Marynarze zamieniali na cement zegarki przywożone z dalekich krajów, zatem osiedle rodzin marynarskich w Gdyni nazwano Zegarkowem.

W budownictwie patronackim za stawianie domów mieli się brać młodzi ludzie niemający pojęcia o murarce, za to budujący mieszkania dla siebie samych. Przynajmniej z góry było wiadomo, że za fuszerki będą mogli mieć żal tylko do siebie samych. „Trzeba ruszyć zarządy zakładowe ZMS, KSR, rady zakładowe, dyrekcje” – wzywała płomiennie w piśmie Związku Młodzieży Socjalistycznej „Płomienie” w 1972 r. Ita Turowicz. Przywoływała przykłady zakładów, gdzie zarządy i dyrekcje już zostały ruszone: w Siedlcach powstało kilka grup „dla niefachowców, np. grupa rozbiórkowa, grupa kopiująca doły pod wykopy, grupa wykończeniowa”, w Białymstoku „przy obsłudze betoniarki zatrudniona jest pracownica umysłowa z PZU”, w Skarżysku „zapal i intensywność pracy brygad patronackich zadziałały jak zaczyn drożdżowy”, mobilizując do lepszej pracy także budowlańców właściwych. W zachowanym nagraniu Telewizji Szczecin dyrektor fabryki urządzeń służących do produkcji pustaków postawiony pod ścianą z napisami „Pustaczarka uniwersalna PU-85” i „Buduj sam swój dom” opowiada ze wstydliwą dumą o planach zbudowania siedmiu domków „patronackich”: „Z inicjatywy organizacji partyjnej załoga podjęła zobowiązanie z okazji zjazdu, że dodatkowo wyprodukujemy 50 sztuk pustaczarek. Mamy takie zamierzenia, żeby wiosną tego roku zorganizować na terenie naszego zakładu poligonową wytwórnę elementów prefak... prefabro... yyy, budowlanych, oczywiście w oparciu o nasze pustaczarki”.

Pracując w systemie patronackim, trzeba się było bardzo pilnować, żeby nie dać się wyslizgać z własnego mieszkania jak Przemysław N. z Warszawy, który zalił się w liście do ZG ZSMP: „Ponieważ byłem chory około dwóch miesięcy, za karę musiałem oszklić ślusarkę w całym bloku do 22 października 1975 roku. Mimo, że decyzję uważałem za niesłuszną, zgodziłem się wykonać zleconą pracę. Niestety nie ułatwiono mi wykonania zadania, ponieważ z niewiadomych mi przyczyn szkło dostarczono na budowę już po wyznaczonym terminie, a kit konieczny przy szkleniu jeszcze później. (...) W wyniku tego skreślono mnie z listy członków”. Bez kitu – tak się budowało. ©

CO SIĘ DZIEJE W NASZYCH KOMÓRKACH, GDY JESTEŚMY ZESTRESOWANI?

Molekularna maszyneria wewnątrz komórek odpowiada za wszystko, co dzieje się w naszych organizmach.

Jej niewłaściwe funkcjonowanie może prowadzić do wielu poważnych chorób.

Dokładne ustalenie, jak działają komórkowe mechanizmy i co dzieje się, gdy zawodzą, jest przedmiotem badań naukowców z Międzynarodowej Agencji Badawczej ReMedy, która działa przy IMol PAN i jest współfinansowana przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej z funduszy europejskich, pochodzących z programu Inteligentny Rozwój (POIR) w ramach programu Międzynarodowe Agencji Badawcze. Dyrektorem jednostki jest prof. dr hab. Agnieszka Chacińska.

Jak bardzo zestresowane są nasze komórki?

PROF. AGNIESZKA CHACIŃSKA: Jeśli jesteśmy zdrowi, żyjemy w czystym środowisku, nie mamy żadnych większych defektów genetycznych i utrzymujemy prawidłową dietę, to stres, również ten na poziomie komórkowym, jest niewielki. Wzmaga się jednak, gdy dochodzi do zmian w którymkolwiek ze wspomnianych elementów.

Czyste środowisko i zdrowa dieta to raczej w dzisiejszych czasach rzadkość.

To świat, który nie istnieje.

Wiadomo, że środowiskowa, gospodarcza czy społeczna presja przekładają się na nasze zdrowie. Pojawiają się tak zwane choroby cywilizacyjne. Czy zapadamy na nie także na poziomie komórkowym?

Nie ma sytuacji, w której na poziomie komórkowym wszystko świetnie działa, a na poziomie całego organizmu cierpimy na alergię czy choroby neurodegeneracyjne. Cały proces zaczyna się od nieprawidłowej funkcji cząsteczek, które budują nasze komórki. To także tam decyduje się, czy nasze komórki poradzą sobie ze stresem, czy nie. Mechanizmy molekularne leżą u podstaw chorób, ale także potencjalnie bronią nas przed poważnymi schorzeniami cywilizacyjnymi. Te ostatnie, w tym choroby neurodegeneracyjne, będą pojawiać się coraz częściej, bo wiele z nich jest powiązanych z tym, że żyjemy coraz dłużej. Do tego w przeciwieństwie do nowotworów, które w wielu przypadkach można traktować jako choroby przewlekłe i przynajmniej częściowo wyleczalne, na choroby neurodegeneracyjne, jak choroba Alzheimera czy Parkinsona, nie mamy jeszcze żadnego leku.

Co jest głównym kierunkiem badań ReMedy?

Staramy się zrozumieć podstawy prawidłowego funkcjonowania komórek na poziomie molekularnym. To pozwoli nam ustalić, co dokładnie się dzieje, gdy zachodzące tam procesy nie są prawidłowe. Na przykład, nie mamy pełnego obrazu zmian, do jakich dochodzi na poziomie molekularnym, gdy człowiek cierpi z powodu demencji lub gdy pojawia się choroba Alz-



MATERIAŁY PRASOWE

PROF. AGNIESZKA CHACIŃSKA jest biochemiczką, specjalizuje się w biochemii komórek i molekularnych aspektach biologii komórkowej, które obejmują biogenezę, transport i degradację białek mitochondrialnych. Odkryła mechanizmy odpowiedzialne za transport i dojrzewanie białek funkcjonujących w mitochondriach oraz molekularne podstawy stresu związanego z dysfunkcją mitochondriów.

heimera. I nie będziemy tego wiedzieć, jeśli nie zrozumiemy, jak działa komórka w stanie równowagi.

Czyli potrzeba punktu odniesienia, by rozumieć, co się dzieje, gdy stan optymalny zostanie zaburzony.

Profesor Peter Walter, który jako pierwszy zidentyfikował odpowiedzi stresowe komórek, strategię wykorzystania odpowiedzi na stres w leczeniu nazwał „agnostyczną” względem chorób. A więc interesują nas procesy zarówno prawidłowe, jak i patologiczne. Chcemy zdobyć jak najwięcej informacji o komórce na poziomie molekularnym, by proponować lepsze terapie dla chorób. Badamy więc, w jaki sposób dany mechanizm czy białko wpływa na funkcjonowanie całej komórki i staramy się przewidzieć, jakie są skutki tego działania, także te pojawiające się w chorobie.

Stres jest interesujący sam w sobie, ale jeszcze bardziej interesujące jest to, jak komórka adaptuje się do niego, czyli jakie ma mechanizmy plastyczności, jaki bufor zachowań

ma do dyspozycji. Chcemy odpowiedzieć na pytania, w jakich sytuacjach dochodzi do tego, że początkowo niewielki stres wywołany procesem patologicznym narasta, nakręca spiralę, a komórka nie potrafi sobie z nim poradzić, nie jest w stanie uruchomić czy włączyć takich mechanizmów, które znowu wprowadzą stan równowagi.

Stan równowagi jest bardzo istotny i może być modyfikowany czynnikami zewnętrznymi i wewnętrznymi, takimi jak zmiany genetyczne. Jeżeli jednak komórka nie osiąga właściwego stanu równowagi, zaczyna się proces patologiczny. Z drugiej strony, jeśli komórka zbyt mocno odpowie na pewne zmiany poprzez rozregulowanie mechanizmów zabezpieczających i kładzie nacisk na bardzo silne, niekontrolowane mechanizmy regeneracyjne, mamy do czynienia z nowotworami.

Jakie jest największe stojące teraz przed Wami wyzwanie?

IMol ma szeroką tematykę badawczą skupioną na odkrywaniu mechanizmów molekularnych, tak aby móc je odpowiednio modyfikować i nimi przewidywalnie manipulować dla uzyskania efektów

terapeutycznych. W pracy kierowanej przeze mnie grupy naukowej w projekcie ReMedy staramy się znaleźć molekularne podstawy neurodegeneracji. Mój zespół skupia się na nowym aspekcie komunikacji komórkowej, w której uczestniczą mitochondria, czyli elektrownie komórkowe. Wydaje się nam, że ta komunikacja może być kluczowym elementem, który zaczyna szwankować, gdy się starzejemy.

W naszych badaniach wykazaliśmy, że mitochondria komunikują się, wpływając na homeostazę, czyli stan równowagi białek w komórce. Zaburzenia mitochondrialne mogą mieć związek z wieloma chorobami metabolicznymi czy neurodegeneracyjnymi, a więc i w tych chorobach komunikacja pomiędzy wadliwymi mitochondriami a homeostazą białek może mieć kluczowe znaczenie.

Wydaje nam się, że nasze badania nad związkami defektów mitochondriów i stanu komórki mogą mieć bezpośrednie zastosowanie w zrozumieniu procesów neurodegeneracyjnych. W obu przypadkach homeostaza białek, czyli stan ich wewnętrznej równowagi, niemal zawsze jest naruszona.

Obecnie to brak wiedzy powoduje, że w przypadku chorób neurodegeneracyjnych (np. Alzheimera czy Parkinsona) nie udało się stworzyć skutecznych terapii i leków. Nasze badania wnoszą nową wiedzę i wskazują na zupełnie inne niż dotychczas procesy jako cele terapeutyczne. W przyszłości może się okazać, że leczenie wielu z tego typu chorób jest bardzo trudne lub wręcz niemożliwe, a w związku z tym skuteczniejsza i praktyczniejsza okaże się profilaktyka.

Również w takim przypadku wysiłek włożony w zrozumienie molekularnych podstaw schorzeń ma szansę przekształcić się w metody profilaktyczne.

Jesteście w forpoczcie światowych badań molekularnych nad ludzkim organizmem.

Mocno powiedziane. Mamy takie ambicje, aby poziomem badań nie odstawać od międzynarodowej czołówki. Jednak projekt ReMedy jest bardzo młody, a wykazanie się w biologii molekularnej zajmuje niekiedy wiele lat. Ale jesteśmy już zauważani. Ja sama w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy zostałam zaproszona do wygłoszenia wykładów na temat naszych odkryć podczas ośmiu prestiżowych konferencji. To pokazuje, że jesteśmy rozpoznawalni na poziomie międzynarodowym.

Czyli w Polsce można prowadzić badania na światowym poziomie.

Wciąż nie jest to łatwe, choć w ciągu ostatnich 20 lat poczyniliśmy ogromne postępy. Prawidłowe finansowanie badań w drodze konkursów jest bardzo ważne dla poprawy poziomu nauki i odkryć.

IMol, czyli Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych Polskiej Akademii Nauk, jest „dzieckiem” programu Międzynarodowe Agendy Badawcze Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, powstał jako rozwinięcie ReMedy. Przewodniczącym Rady Naukowej IMol jest laureat Nagrody Nobla prof. Phillip A. Sharp.

W ramach programu MAB kluczowe było wymaganie dotyczące utworzenia przy każdej jednostce Międzynarodowych Komitetów Naukowych (MKN), złożonych z wybitnych naukowców, przeważnie z zagranicy. Nasz Komitet wpływa na kształtowanie tematyki badań i – co niezwykle istotne – na rekrutację liderów grup badawczych w otwartych konkursach, a także ocenę ich działań.

Międzynarodowość Komitetu jest głównym elementem zapewniającym doskonałość naukową z perspektywy międzynarodowej. I są efekty – odwracamy brain drain przez rekrutowanie ludzi z ca-

łego świata, w tym Polaków, którzy wcześniej wyjechali za granicę. W ReMedy ponad 40 proc. naukowców to kadra międzynarodowa z 14 różnych krajów.

Co sprawia największą trudność?

Problemem są m.in. uwarunkowania formalnoprawne oraz perspektywy finansowe. Choćby restrykcyjne przepisy, lub ich interpretacje, o zamówieniach publicznych często sprawiają, że na przykład wyposażenie laboratoriów w sprzęt czy zakup odczynników trwa całe wieki. A pamiętajmy: nauka jest konkurencyjna i olbrzymie znaczenie ma to, kto pierwszy opublikuje wyniki badań czy zgłosi patent.

Problemem jest też brak „dynamiki instytucjonalnej” w Polsce. W najbardziej rozwiniętych krajach niemal bezustannie powstają nowe jednostki naukowe poświęcone rozwijającym się dziedzinom, inne przestarzałe się zamyka. W Polsce wydaje się, że nie pozwala na to mentalność, a ramy formalne bardzo to utrudniają.

Podkreśla Pani profesor, że ważne jest, by instytucje naukowe powstawały w Polsce, ale przecież bez względu na to, czy badania prowadzone są u nas, czy na przykład gdzieś w Azji, i tak wszyscy wcześniej czy później skorzystamy z tych odkryć.

To kwestia narodowych ambicji. Możemy wybrać przyszłość, w której będziemy państwem niemającym wpływu na powstawanie nowych technologii, np. leków. Staniemy się tylko wykonawcami. Jeśli jednak chcemy rzeczywiście uczestniczyć w postępie, czego konsekwencją będzie oczywiście wzrost gospodarczy, to warto informować społeczeństwo, że nowe technologie czy leki wymagają rozwoju nauki, w tym nauki podstawowej. Żadnemu krajowi nie udało się tego przeskoczyć – i bez inwestycji w naukę, także podstawową, Polska też tego nie zrobi. Bez odpowiednich nakładów na naukę będziemy przegrywać w wielu konkurencjach i w perspektywie globalnej sprowadzimy się jako społeczeństwo do roli wykonawczej lub w najlepszym przypadku usługowej. ©

Program Międzynarodowe Agendy Badawcze jest realizowany przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej ze środków funduszy strukturalnych w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój (POIR) 2014–2020, Działanie 4.3. Międzynarodowe Agendy Badawcze.



Więcej o wynikach badań z polskich laboratoriów w raporcie pt. „Nauka w czasach przemian. Jak badania finansowane z Funduszy Europejskich pomagają chronić nas przed globalnymi zagrożeniami i wykorzystywać historyczne szanse”: www.fnp.org.pl

KOŚCI, GRZYBKI I URAN

„Nie ma powrotu do jaskiń, jest nas za dużo”
– napisał 66 lat temu Stanisław Jerzy Lec w „Myślach nieuczesanych”.
Na szczęście paleontolodzy mają na ten temat inne zdanie.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI



Pazury niedźwiedzia jaskiniowego (makieta) w Jaskini Niedźwiedziej w Kletnie, styczeń 2020 r.

rząt, dzięki czemu badać można tam kopalne DNA, a z nacieków w jaskiniach wyczytać można, jak zmieniał się klimat”. Ponadto jest to doskonałe miejsce do prac speleomikologicznych, czyli dotyczących grzybów, ale i geologicznych, tektonicznych, wulkanologicznych czy wreszcie biochemicznych.

Środowisko jaskini nie tylko więc dostarcza materiału badawczego, ale i sprzyja współpracy specjalistów z wielu, niekiedy odległych dziedzin. Tylko w sposób interdyscyplinarny można bowiem prowadzić wielopoziomowe badania, owocujące spektakularnymi wynikami.

Kilka koszy szczątków

Jaskinia Niedźwiedzia położona w Maśowie Śnieżnika, niedaleko wsi Kletno, uważana jest za najdłuższą w Sudetach: suma długości jej wszystkich korytarzy, studni i kominów to ok. 4500 m. Dodajmy, że rekordzistką Polski pod tym względem jest tatrzańska Jaskinia Wielka Śnieżna o łącznej długości 23 753 m, a światowy rekord należy do amerykańskiej Mammoth Cave o łącznej długości aż 651 km. Ale nie sam rozmiar się wszak liczy i nasza Jaskinia Niedźwiedzia ma inne niezaprzeczalne atuty, które, niczym w dobrze rozpisany kryminał, odsłaniają się w miarę upływu czasu. Fabuła ta ma przynajmniej dwie wyraziste cezury i wyjątkowo zacznijmy od wydarzeń późniejszych.

Samo odkrycie jaskiniowej niszy nie było aż takim zaskoczeniem, w okolicy bowiem wielokrotnie „odkopywano” różnego rodzaju szczeliny, nyże czy próżnie. Działo się to zwłaszcza w związku z pracami wydobywczymi, prowadzonymi tu co najmniej od średniowiecza. Początkowo skupiano się na pozyskiwaniu rud żelaza, miedzi, fluorytu, a po 1948 r., na polecenie władz ZSRR, poszukiwano także uranu. W takich okolicznościach nikt nie zwracał sobie głowy jaskiniami, które w miarę postępu prac, mówiąc górnictwym żargonem, „odstrzeliwano”. Co ciekawe, do 1956 r. zachowała się w pobliżu Jaskini Niedźwiedziej jeszcze inna, trzydziestometrowa, którą – jak mówili nam lokalni krajoznawcy – zniszczono po założeniu kamieniołomu Kletno I.

Wszystko zmieniło się 14 października 1966 r., kiedy górnicy w wyrobisku potocznie zwanym Białą Marianną (Kletno III) natrafili na około dwumetrową szczelinę. Jednak nie sama przestrzeń, wtedy jeszcze stosunkowo nie duża, zadecydowała o dalszych losach obiektu, lecz znajdujące się wewnątrz zaskakujące, niespotykane na taką skalę składowisko kości. Widok ten musiał być ściągnięciem dla wiertacza strzałowego Romana Kińczyka i nieujawnionego z nazwiska więźnia skierowanego do pracy na dole. Pierwsza myśl, która przyszła im wtedy do głowy, wspomina Kińczyk: że musiał to być jakiś zbiorowy pochówek z czasów nie tak odległej wojny. Powiadomiono więc natychmiast nie tylko dyrekcję Strońskich Zakładów Kamienia Budowlanego, ale i milicję, podejrzewano przecież, że to szczątki ludzkie. Traf chciał, że w odległej o 20 km Jaskini Radochowskiej odbywało się akurat IV Ogólnopolskie Sympozjum Speleologiczne. Dzięki temu niemal natychmiast udało się zorganizować pierwszą fachową ekspedycję. W skład zespołu weszli, oprócz przedstawiciela kopalni, górników czy miejscowego geologa, także pracownicy Uniwersytetu Wrocławskiego. Jak wspominał obecny na miejscu Wojciech Ciężkowski, wówczas nastolatek, w przyszłości profesor i hydrogeolog: „[Zesłaliśmy] na dno Wielkiej Szczeliny po drabince dekarskiej; było to więc pierwsze wejście do Jaskini o charakterze eksploracyjnym. W trakcie tego pobytu zebrano kilka koszy od bielizny kości, głównie z obecnej Sali Niedźwiedzia i z hałdy”.

Dziesięć dni później na dole zjawiała się w pełni profesjonalna ekipa speleologiczna i przez niemal siedem godzin przemierzyła ok. 150 metrów korytarzy. Towarzyszył im fotograf, który na bieżąco wykonywał beczenną z dzisiejszego punktu widzenia dokumentację. Tego samego dnia, dzięki zaangażowaniu i wiedzy paleontolożki i archeozoolożki, prof. Teresy Wiszniowskiej, rozwiązano też zagadkę kości. Jak można się domyślić, nie pochodziły one od ludzi, lecz od niedźwiedzi, które właśnie wtedy użyczyły jaskini swojego miana.

Jaskinia po niedźwiedziu

Choć dzieci nie bez przyczyny śpiewają, że misia się boją (i na palcach chodzą), a ataki niedźwiedzi na człowieka, mimo że →

JASKINIE, CZYLI „PRÓŻNIE SKALNE ZE stropem izolującym od opadów atmosferycznych”, jak czytamy w materiałach Ministerstwa Środowiska dotyczących speleologii, są niewyczerpanym rezerwuarem dla naukowców wszelkich specjalizacji. Dzięki unikalnemu mikroklimatowi panującemu w jaskini – stałej temperaturze, małym dostępie światła czy stosunkowo wysokiej wilgotności – otrzymujemy niepowtarzalne laboratorium nauk przyrodniczych. Jak tłumaczył prof. Michał Gradziński z Uniwersytetu Jagiellońskiego w rozmowie z portalem Nauka w Polsce: „w jaskiniach świetnie zachowują się szczątki zwie-

→ dziś zdarzają się w Polsce rzadko, są i były realnym zagrożeniem – to jednak człowiek stanowił często większe zagrożenie dla niedźwiedzia niż odwrotnie. Znalezisko z sudeckiej jaskini dobrze ilustruje skutki aktywności człowieka dla niedźwiedzia jaskiniowego, *Ursus spelaeus*. Naukowcy z Muzeum i Instytutu Zoologii PAN przeanalizowali ponad sto próbek DNA pobranych z kości niedźwiedzi jaskiniowych. Celem badania było m.in. określenie, jak zmieniała się ich populacja. Wyekstrahowano więc informację genetyczną ze zwierząt znalezionych w 14 miejscach w Europie i wydатовano. Okazało się, że populacja samców *Ursus spelaeus* drastycznie spadła ok. 40 tys. lat temu.

Hipotez co do przyczyn tego zajścia jest co najmniej kilka, a wszystkie są burzliwie dyskutowane. Można jednak przyjąć, że ssakom tym, wyposażonym przez naturę w odpowiednie futro, wcale nie zagroziło zlodowacenie, przynajmniej nie w obszarach euroazjatyckich. Najprawdopodobniej, jak czytamy w artykule opublikowanym w 2019 r. w „Scientific Reports”, człowiek, zadomawiając się w jaskiniach, wypierał dotychczasowych lokatorów. Do tego oczywiście dochodzi jeszcze kombinacja innych czynników, takich jak dynamika populacji, niestabilność klimatu, ale i migracje wewnątrzgatunkowe.

Co ciekawe, wydaje się, że to jeszcze nie *Homo sapiens*, lecz *Homo neanderthalensis*, udoskonalać i rozszerzać swój sposób działania, choćby o nowe sposoby oddzielania mięsa od kości, przypieczetował upadek niedźwiedzi i szerzej – całej spektakularnej tzw. megafauny, na którą składały się jedne z największych ssaków, jakie kiedykolwiek wędrowały po Ziemi: mamuty, nosorożce włochate i koty szablozębne.

Jaskiniomatorzy

Po odkryciu jaskini ruszył fascynujący proces badawczy, polegający m.in. na zbieraniu próbek materiału genetycznego, nie tylko zwierzęcego, ale również roślinnego czy mikologicznego, których wiek zbadano następnie za pomocą me-

Pierwsze na świecie szczątki niedźwiedzi jaskiniowych odnajdywano już w XVIII w.,

ale wskutek niedostatecznej wiedzy błędnie wpisywano je w strukturę szkieletów małp, psowatych, kotowatych, a nawet jednorożców.

tody torowo-uranowej czy węglowej 14C. Ciekawie w tym kontekście brzmią refleksje doktora Jacka Szczygła z Uniwersytetu Śląskiego, który opowiada, że oprócz oczywistych trudności technicznych, wynikających z niekiedy bardzo trudnych warunków naturalnych, takich jak ciemność, wilgoć czy skrajna ciasnota, badaczom towarzyszą też rozterki natury etycznej: „Zawsze waham się, kiedy mam coś ukruszyć. (...) Zawsze mam ogromne wyrzuty. Robimy to jednak w ostateczności, kiedy zawodzi metoda znacznie mniej inwazyjna. Jeżeli jest to tylko możliwe, staramy się pobierać próbki rdzeniowe”.

A co takiego można znaleźć w Jaskini Niedźwiedziej? Po pierwsze – szczątki niedźwiedzia jaskiniowego oraz mniejszego, również wymarłego, *Ursus ingressus*. Prawdopodobnie były to zwierzęta roślinożerne, choć nie brak zwolenników teorii, że ich menu uzależnione było od okoliczności, obejmując i rośliny, i białko zwierzęce, czasem nawet w ilościach większych niż spożywane przez dzisiejszego niedźwiedzia brunatnego. W przypadku niedźwiedzia jaskiniowego specyficznie szerokie zęby trzonowe zdają się jednak potwierdzać jego wegetariańskie upodobania. Co ciekawe, w odróżnieniu od niedźwiedzia brunatnego, czyli *Ursus arctos*, jego wymarli przodkowie byli znacznie większymi domatorami („jaskiniomatorami”?). *Ursus spelaeus* czy *ingressus* żyły się zatem ze swoją grota, spędzając w niej większość czasu, podczas gdy ich brunatny kuzyn z jaskini

korzystał tylko podczas snu zimowego. Przywiązanie tych zwierząt do macierzystych jaskiń uczyniło je jednak bardziej podatnymi na wpływy zewnętrzne, do których można zaliczyć właśnie konkurencję o zasoby z naszymi plejstocen-skimi praprzodkami.

Ślady odległych wybuchów

Myli się jednak ten, kto sądzi, że Jaskinia Niedźwiedzia karmi naukowców wyłącznie szczątkami zwierzęcymi. W jej rozległych korytarzach coś dla siebie znajdują też geolodzy i chemicy. Ci pierwsi w zależności od profilu zainteresowań mają do dyspozycji całe kamienne ogrody, pełne bogatej szaty naciekowej, która w tej jaskini występuje w pełnej, chciałoby się rzec, krasowej krasie. Oprócz najbardziej znanych form, powstałych w wyniku rozpuszczania skał poprzez działanie wody, takich jak stalaktyty i stalagmity, możemy zaobserwować także mniej znane makarony (rurki), stalagnaty (kolumny), nacieki grzybkowe, heliktyty o fantazyjnych kształtach, draperie, zasłony, perły jaskiniowe, a nawet nacieki przypominające swoim wyglądem pola ryżowe.

Oprócz oczywistego zachwyty nad niespotykanymi formami, zjawiska te, poprzez swoją złożoną budowę, odzwierciedlają ewolucję i wiek rzeźby, a tym samym powstanie całych struktur jaskini. Sejsmolodzy i paleosejsmolodzy również czytają w naciekach, jednak w poszukiwaniu innych informacji. Wskutek badania struktur krasowych, zwłaszcza charakterystycznych spękań i kształtu, można wnioskować o przesuwaniu się bloków skalnych, spowodowanym ruchami tektonicznymi Ziemi.

Ponadto nacieki i osady zachowane w Jaskini Niedźwiedziej mogą, według badań międzynarodowego zespołu opublikowanych w „Chemical Geology” w 2021 r., pomóc w identyfikacji sygnałów wulkanicznych. Materiał uwolniony do atmosfery podczas erupcji, zwłaszcza rzadkie pierwiastki jak itr, lantan czy neodym, pozostawia charakterystyczny ślad w odpowiednich warstwach rosnących powolutku nacieków jaskiniowych. Po starannej analizie tych warstw możliwe jest odkrycie śladów znanych z historii erupcji. Naukowcy mogą też powiązać sygnały wulkaniczne z chemią stalagmitów w regionach o klimacie umiarkowanym,

leżących z dala od źródeł dużych erupcji, jak właśnie udało się to w przypadku Jaskini Niedźwiedziej. Tym samym efekty takich prac można połączyć z wynikami napływającymi z całego świata: to nasz polski wkład do wciąż słabo zbadanej historii wulkanizmu. Co nie mniej ważne, ustalenie częstotliwości bardzo dużych erupcji wulkanów w przeszłości ma też znaczenie podczas przewidywania ewentualnych przyszłych wybuchów.

Nawóz z jednorożca

Nie sposób wymienić wszystkich badań mających swoje źródło właśnie w Jaskini Niedźwiedziej czy też, szerzej, prowadzonych w całym kompleksie kletnieńskim. Dodajmy tylko, że chemicy rozwiązali zagadkę „kłatwy kamieniołomu”, odnajdując tam duże stężenie radonu, który przez lata zabijał kolejnych, pracujących na dole górników. Natomiast mikolodzy z Uniwersytetu Wrocławskiego, Agnieszka Lejman i Rafał Ogórek, zbadali „stan mikologiczny” po-

wietrza w Jaskini Niedźwiedziej – czyli zawartość w nim komórek grzybów, zwłaszcza zarodników. Wnioski z tych prac, poza walorami czysto naukowymi, mają również wymiar praktyczny, ludzie zwiedzający kopalnię i jaskinie mogą być bowiem narażeni na działanie szkodliwych czynników, takich jak grzyby, wirusy, bakterie i inne zanieczyszczenia biologiczne. Na szczęście, jak twierdzą autorzy opracowania, „liczebność grzybów wyizolowanych z powietrza [w Jaskini Niedźwiedziej] nie stwarza zagrożenia dla zdrowia ludzi”.

Wracając zaś do misia, swoistego patrona tego miejsca, pierwsze na świecie szczątki niedźwiedzi jaskiniowych odnajdywano już w XVIII wieku, ale wskutek niedostatecznej wiedzy błędnie wpisywano je w strukturę szkieletów małp, psowatych, kotowatych, a nawet – co może brzmieć jak żart, ale jest dobrze udokumentowane – jednorożców. Co więcej, w Austrii praktykowano także barbarzyński z dzisiejszego punktu wi-

dzenia zwyczaj nawożenia pól uprawnych osadami z jaskiń, bogatymi w fosforany z rozkładających się prehistorycznych szczątków – trudno oszacować, ile cennych złazisk skończyło jako nawóz. Dzisiaj takie sytuacje wydają się nam już niemożliwe. Nie dość na tym, jak podkreśla cytowany już prof. Gradziński, „jaskinie są (...) ważnym źródłem danych w badaniach dotyczących paleoklimatu”. Naukowiec dodaje, że jeśli pozna się te mechanizmy, można będzie prognozować, jak klimat wyewoluuje w przyszłości.

© MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI

Za pomoc przy tekście dziękujemy badaczowi Jaskini Niedźwiedziej, paleozoologowi z Uniwersytetu Wrocławskiego, prof. Krzysztofowi Stefaniakowi. Wdzięczni też jesteśmy jednemu z pierwszych eksploratorów jaskini, nieżyjącemu już prof. Antoniemu Ogorzałkowi z tej samej uczelni, za zwrócenie niegdyś naszej uwagi na fenomen tego miejsca.

REKLAMA

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Parlament Europejski
Biuro w Polsce

Biuro Parlamentu Europejskiego w Polsce zaprasza do wysłuchania podcastu:

POSEŁKI

Osiem pierwszych kobiet, które weszły
do Sejmu Ustawodawczego w 1919 r.



Facebook:
@epwarszawa



YouTube:
@ParlamentEuropejski



Spotify:
<https://spoti.fi/3u6A253>



POTRZEBUJEMY PRZEWROTÓW

ROBERT FIRMHOFFER, DYREKTOR CENTRUM NAUKI KOPERNIK:

Wciąż obowiązuje szkodliwy mit, że edukacja to pas transmisyjny na rynek pracy, a przecież nawet nie wiemy, jak on będzie wyglądał za 10-15 lat. Nadrzędnym celem powinien być po prostu rozwój osobisty każdego człowieka.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Co jest największym problemem polskiej szkoły?

ROBERT FIRMHOFFER: W naszym systemie oświaty głęboko zaszyty jest lęk przed utratą kontroli, szczególnie w sytuacji, gdy musimy mierzyć się z nowymi, nieznаныmi problemami i zjawiskami. Lęk przed tym wszystkim, co podważa wyobrażoną rolę bycia przewodnikiem dla młodego człowieka po świecie.

Jak z nim walczyć?

Pierwszym krokiem powinno być rozszczelnienie całego systemu, otwarcie go na świat zewnętrzny. Pojawienie się ChatGPT było w tej kwestii symptomatyczne – momentalnie zrodziła się panika, że uczniowie przestaną samodzielnie odrabiać zadania domowe. Cała uwaga skierowana została zatem na utrzymanie kontroli nad tym nowym medium, a mało kto potraktował je jako ciekawe narzędzie do wykorzystania.

A to dopiero początek.

Wersja 4.0, udostępniona w marcu, działa już znacznie lepiej niż dotychczasowa wersja 3.5, a przecież nie minął nawet rok, od kiedy ten chatbot nam towarzyszy. Musimy więc już teraz uczyć młodych ludzi, jak twórczo i z pożytkiem z niego korzystać, a nie udawać, że nie ma tematu, albo tworzyć iluzję kontroli. W tej kwestii jesteśmy wyjątkowo zapóźnieni, bo na lekcjach informatyki uczymy wciąż wyłącznie obsługi edytora tekstów i budowy komputera – i to bez zaglądania do środka.

Wkrótce będziemy potrzebować zupełnie nowych kompetencji?

W ostatnich dekadach radykalnie zmieniły się paradygmaty myślenia właściwie we wszystkich obszarach wiedzy, bo też pojawiły się nowe wyzwania, zarówno na poziomie lokalnym, jak i globalnym. Najlepszy przykład to katastrofa klimatyczna. Jej efekty dotkną najmocniej ludzi, którzy dziś są właśnie w wieku szkolnym. A temat ten w polskim programie nauczania praktycznie się nie pojawia. I nie chodzi tu wyłącznie o samą ekologię, ale również o wynikające z niej problemy społeczne, polityczne, ekonomiczne itp. Tego typu wyzwania wymagają interdyscyplinarnego podejścia, a także połączenia różnych kompetencji. Podział wiedzy na przedmioty, takie jak geografia, biologia czy historia, ma coraz mniej wspólnego z rzeczywistością. Co gorsza, sytuacja jest na tyle dynamiczna, że wymaga ciągłego uaktualniania naszego stanu wiedzy. To wszystko sprawia, że ludzie czują się przytłoczeni i zagubieni, a przez to stają się podatni na różne manipulacje.

Co jeszcze, poza wiedzą, powinna dawać szkoła?

Cały szereg kompetencji miękkich, ale tu sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Nauczyciele, którzy próbują coś w tej kwestii zmienić, najczęściej działają na własną rękę. Uwaga większości rodziców i edukatorów skupia się na stopniach, bo to daje złudzenie kontroli nad procesem edukacji.

Złudzenie?

System oceniania jest skonstruowany w sposób bardzo kosztowny i służy wyłącznie temu, żeby podsumowywać kolejne etapy edukacji. Oceny miałyby sens, gdybyśmy na ich podstawie mogli się orientować, nad czym jeszcze trzeba popracować. Wtedy byłby to system otwierający, a nie zamykający.

Wróćmy do kompetencji społecznych.

Wyniki badań, które kilka lat temu przeprowadził profesor Janusz Czapieński odnośnie do kapitału społecznego uczniów, były wstrząsające. Jasno wynikało z nich, że już na starcie jest on niepokojąco niski, a przez lata funkcjonowania w systemie szkolnym jeszcze spada.

Co to znaczy?

Szkoła nie rozwija w młodych ludziach kluczowych dla życia społecznego kompetencji. Nie pomaga budować zaufania, nie uczy współpracy ani empatii, nie zachęca do bezinteresownych odruchów, na przykład dzielenia się czasem czy innymi zasobami – wręcz przeciwnie. Winna jest temu przede wszystkim przeładowana podstawa programowa, na którą i tak nigdy nie starcza czasu, więc o innych elementach edukacyjnych można od razu zapomnieć. A chyba nie musimy nikogo przekonywać, jak potrzebne w dalszym życiu są tego typu kompetencje społeczne – powiedziałbym wręcz, że są dużo ważniejsze od zdobywanej wiedzy.

Czyli szkoła swoje, rzeczywistość swoje.

Gorzej nawet, bo system szkolny ze swoją obsesją kontroli i narzucania odgórnych rozwiązań nie przygotowuje nas do funkcjonowania w demokratycznym społeczeństwie, gdzie o problemach powinno się przede wszystkim dyskutować, szukając dobrych kompromisów. A w tej paternalistycznej i zhierarchizowanej rzeczywistości zwyczajnie nie ma na to miejsca.

Co można z tym zrobić?

Niestety, żadnego z tych problemów, może poza odchudzeniem podstawy programowej, nie da się ani szybko, ani odgórnie rozwiązać. Edukacja to pojęcie szersze niż oświata. Należałoby o niej myśleć jako o ekosystemie, gdzie zachodzą wzajemne oddziaływania na różnych płaszczyznach. Aby go rozwijać, potrzeba czasu, ale też jednoczesnego działania w wielu punktach tkanki społecznej.

Jaki powinien być cel tak szeroko rozumianej edukacji?

Wciąż obowiązuje szkodliwy mit, że edukacja to pas transmisyjny na rynek pracy, a przecież nawet nie wiemy, jak on będzie wyglądał za 10-15 lat. Doświadczenia ostatnich dekad pokazują, że nie da się przewidzieć, na jaki zestaw kompetencji będzie zapotrzebowanie. Nadrzędnym celem edukacji powinien być po prostu rozwój osobisty każdego człowieka. Chodzi o to, żeby w pierwszej kolejności stawać się lepszym człowiekiem, a dopiero w dalszej lepszym obywatelem czy pracownikiem. To zły znak, gdy w przestrzeni edukacji dominują wyłącznie cele utilitytarne.

Czegoś jednak młodzi ludzie muszą się uczyć – czego najlepiej?

To samo pytanie zadano jednemu z twórców ChatGPT.

Odpowiedział: „Nie wiem, chyba wszystkiego po trochu”. Wszelkoność to dziś najlepsza, bo najbardziej elastyczna ścieżka rozwoju. Młode osoby w systemie szkolnym powinny jak najpóźniej dokonywać wyborów co do dalszej specjalizacji. Niestety, bywa tak, że rodzice już na etapie pierwszych lat podstawówki twierdzą, że doskonale rozpoznali predyspozycje swoich dzieci i zgodnie z tym profilują ich dalszą edukację. Taka projekcja może mieć poważne konsekwencje, ponieważ już na starcie radykalnie zawęża horyzont intelektualny bardzo młodego człowieka. Nawet 14 lat – wiek, w którym dziś wybiera się szkołę ponadpodstawową, a więc i profil klasy – to wciąż za wcześnie na tak fundamentalną i, w większości przypadków, nieodwracalną decyzję. Mówiąc inaczej, w dzisiejszym systemie oświaty młodym ludziom brakuje poczucia sprawczości, bo wiele ważnych rzeczy dzieje się ponad ich głowami. Szkoła i zajęcia dodatkowe sprawiają, że chodzą jak w kieracie – mają minimalny wpływ na rzeczy tak fundamentalne, jak choćby organizacja własnego procesu edukacji.

Na jakim etapie powinni zacząć sami planować swoją edukację?

Jak najwcześniej. Maria Montessori zakładała, że już w przedszkolu dzieci powinny mieć jeśli nie pełną swobodę, to przynajmniej przestrzeń do refleksji nad własnym rozwojem. Poczucie sprawczości jest niezbędnym elementem procesu edukacji w każdym jego aspekcie – bez niego mamy do czynienia jedynie z przyuczaniem, a nie prawdziwym rozwojem.

Nagroda Przewroty, którą planuje wręczać Centrum Nauki Kopernik, ma być odpowiedzią na problemy, o których rozmawiamy?

Nasza nagroda skierowana jest do całego środowiska edukacyjnego w Polsce. Mamy wspaniałych nauczycieli i nauczycielki, którzy robią fenomenalne rzeczy obok, a czasem wręcz wbrew

systemowi oświaty, ale z drugiej strony mnóstwo inicjatyw istnieje zupełnie poza tą przestrzenią. Mogą to być choćby aplikacje na telefon, dzięki którym uczymy się języków obcych – to dobry przykład tego, jak szeroko rozumiemy edukację. Przy okazji chcemy otworzyć szerszą debatę na ten temat, bo przecież wszyscy uczymy się przez całe życie, powinniśmy więc zadbać o jakość tego kształcenia. Jednym z celów naszej nagrody jest wydobyć z cienia cichych bohaterów, którzy w szkołach, domach kultury, samorządach, organizacjach pozarządowych czy start-upach tworzą niezwykle cenne inicjatywy edukacyjne.

To oni mają wyznaczać kierunek zmian?

Jestem głęboko przekonany do idei ekosystemu edukacyjnego, bo wiem, że pewnych rzeczy po prostu nie da się zadekretować. Pokazywanie i docenianie ludzi, którzy dokonują realnych zmian, nawet jeżeli tylko w lokalnej skali, działa stymulująco na całe środowisko. Nasza nagroda nie jest za piękne idee, tylko za konkretne, skuteczne działanie.

Za przewroty?

Nazwą nagrody nawiązujemy oczywiście do naszego patrona. Przewrót kopernikański, który faktycznie wywrócił ludzkie rozumienie wszechświata, nie od razu został dostrzeżony przez środowisko naukowe, o szerszej opinii społecznej nie wspominając. Dziś rzeczy dzieją się oczywiście szybciej, ale wszelkie zmiany w edukacji wciąż potrzebują czasu, inaczej bywają szkodliwe. Dlatego tak pilnie już dziś potrzebujemy przewrotu – i to nie jednego. © Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



AGATA STEIFER /
MATERIAL PRASOWY

ROBERT FIRMHOFFER – historyk filozofii, dziennikarz, popularyzator nauki, współtwórca i dyrektor Centrum Nauki Kopernik w Warszawie.

CENTRUM
NAUKI
KOPERNIK

NAGRODA

PRZEWROTY

Nowatorskie inicjatywy w edukacji
Zgłoś na www.nagroda.kopernik.org.pl

STRUNY PIERWOTNE

JUSTYNA BARGIELSKA, POETKA:

Gdybym miała dziś narysować siebie, byłaby to ośmiolatka z kolanami w strupkach. Na obrazku byłby jeszcze ptaszek, aniołek, słoneczko, chmurka i deszczyk. A w trawie wijący się wąż.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Dużo zmian?

JUSTYNA BARGIELSKA: Tak dużo, że trudno ustanowić wśród nich hierarchię. Na pewno moje życie determinuje to, że choruje ktoś bardzo mi bliski. I tego kogoś wkrótce nie będzie. Lecz z tego tematu nie umiem korzystać literacko.

Brakuje dystansu?

Tkwię w oku cyklonu. Wszystko wkoło wiruje jak w straceńczym tańcu. Ciężko wychodzi mi pisanie, trudno i znaleźć czas, i zebrać myśli. Teraz głównie poświęcam się pet-sittingowi. To moje podstawowe źródło dochodu.

Da się wyżyć z opieki nad zwierzętami?

Próbuję. Przychodzi do mnie kolejne zwierzę, kładzie się ze mną na łóżku, śpi otoczona stadem psów i kotów. Za to jest mi ciepło, w związku z tym nie włączam kaloryfera, oszczędzam na energii.

„Wybór stand-upów” powstawał równoległe z pracą w pet-sittingu?

Pomysł zrodził się w momencie, kiedy nie miałam nic do jedzenia dla siebie, psa, kotów. I zdesperowana złożyłam wniosek o jednorazowe stypendium. W uzasadnieniu napisałam, że chciałabym poruszyć kwestię choroby afektywnej dwubiegunowej.

Tuż przed dedlajnem, na ostatnią chwilę, napisałam kilkadziesiąt wierszy. Praca została przyjęta. A ja tym to-

mikiem pieprznięłam w kąt, wydawał mi się kiepski. Po roku, przeglądając komputer, natknęłam się na folder z tą poezją, raz jeszcze przeczytałam, uznałam, że część trzeba wyrzucić, część utajnić i może w przyszłość wykorzystać, a z części pozostałej złożyć „Wybór stand-upów”.

Dlaczego tak ważny jest temat choroby afektywnej dwubiegunowej?

Bo to mój temat. Osobisty, doświadczony. Latami leczono mnie na jednokierunkową depresję. Co było błędem. W moim przypadku powracały maniakalne epizody. Kiedy nie byłam sobą, w ekstremalnej euforii, nawiązywałam ryzykowne kontakty z obcymi ludźmi, włącznie z seksualnymi. Bez hamulców potrafiłam wydawać pieniądze na rzeczy, na które nie było mnie stać, choćby na telefon komórkowy za cztery tysiące złotych. Nie wspomnę o używkach. Zachowania rujnujące mnie, rodzinę i ówczesnego partnera. Zadręczałam się poczuciem winy, że to kwestia mojego charakteru, co potęgowało depresję przychodzącą po fazie manii. A w roku 2020 została mi postawiona prawidłowa diagnoza: ChAD, czyli choroba afektywna dwubiegunowa. Okazało się, że jestem całkiem porządną osobą, tylko z gorzej działającymi neuroprzekaznikami. Należało jedynie inaczej ustawić leki.

Zrobiło się nudniej, ale bezpieczniej. Co nie zmienia faktu, że mocno przeżywam swoją samotność.

Mocniej niż kiedyś?

W domu jest teraz pusto, córka z synem zamieszkali z ojcem, u mnie raz na jakiś czas bywają. Z tego powodu na samym początku przez cztery miesiące, dzień w dzień, płakałam. Oraz pojawiła się prześladowająca mnie do teraz wizja, że umrę w samotności, a zwierzęta – pies Lolek i trzy koty: Andrzej, Staszek i Kordiana – zdążą mnie zjeść, zanim ktokolwiek mnie znajdzie. I jeszcze boleśnie przekonuję się, jak to jest być pokoleniem sandwicza: z jednej strony opiekować się dorastającymi dziećmi, z drugiej starzejącymi się rodzicami. W każdym razie nie ma tu miejsca i przestrzeni, bym pomyślała o sobie. Może jedyną rzeczą robioną z myślą o własnym dobrostanie jest chodzenie po lesie.

Koi samotność?

Opracowałam sposoby spędzania w nim czasu. Kiedy chcę być sama, wędruję pierwszą ścieżką, na której wiem, że nikogo nie spotkam. Kiedy chcę pogadać z psiarzami, wówczas ruszam ścieżką drugą. I tam spotykam panią, która jak i ja ma beagla. I która ostatnio poszła do naszej wspólnej osiedlowej fryzjerki z życzeniem: „Bardzo proszę mnie ostrzyć na panią Justynkę, która ma beagla Lolka”. Spotykam pana Andrzeja, fizjoterapeutę, spacerującego z psem gończy, który widząc mnie ze stu metrów krzyczy: „Plecę prosto!”.

Jakie psy spotykacie?





JUSTYNA BARGIELSKA
(ur. 1977) jest poetką i prozaiczką. Nominowana m.in. do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej, Paszportu „Polityki”, Silesiusa oraz Nagrody Literackiej Nike (trzykrotnie). Ostatnio nakładem Biura Literackiego ukazał się jej kolejny tom, „Wybór stand-upów”.

→ Z Lolkiem musimy omijać parkę identycznych yorków. On fatalnie na nie reaguje, pewnie mu przypominają bliźniaczki z „Łśnienia” Kubricka. Jest jeszcze kundelka Nuka. Chciałabym, by Lolek pobawił się z Nuką, lecz nie jest to możliwe, gdyż pan jej nie spuszcza ze smyczy. A do tego ten pan uprawia milczącą obecność: z Nuką idzie za nami nie mówiąc jednego słowa. Trochę *creepy*... Przejmuje mnie historia Agara, który był chartem, a jego pan podczas spacerów zbierał szkło w lesie. Trzy lata temu Agar umarł i jego bardzo smutny pan już sam zbierał szkła. A miesiąc temu widzę pana z żoną i synem oraz jakby małym Agarem. Cała ta trójka zbierała szkła w towarzystwie nowego Agara. Żaloba po poprzednim Agarze została przepracowana. Podnoszące na duchu.

Co jeszcze podnosi Cię na duchu?

To, że „Wybór stand-upów” pisałam na dobre ustawionych lekach. Że to jest możliwe, że one nie otepiają, nie zabijają potencjału. Nie jest tak, że je odstawiałam na pisanie i poszłam w psychiczne tango i eksplozywną twórczość. Dzięki temu uznałam, że moja choroba jest jak każda inna. Tu dużą inspiracją był dla mnie Michał Cichy i jego leczenie choroby afektywnej dwubiegunowej. Ja mam zapisaną zaledwie jedną trzecią dawki leku, który zażywa on. A widzę, jak Michał jest aktywny, twórczy, piszący. Energiczny człowiek. Cichy jest dla mnie wzorem. W „Wyborze stand-upów” zamieściłam wiersz pisany z myślą o nim, zatytułowany „Brothers in arms”.

Pisanie pomaga?

Na pewno nie autoterapeutyzuje, to nie jego zadanie. A dobry wiersz musi być prymitywny – poruszać w człowieku struny pierwotne, organiczne, najbardziej głębokie i intymne.

Czyli miałybyś satysfakcję, gdyby w laudacji jakiejś ważnej literackiej nagrody padło zdanie, że Bargielska w swojej poezji jest prymitywna do bólu?

Mój stosunek do nagród uległ zmianie. Przestały mieć znaczenie w perspektywie chorób doświadczanych przeze mnie i przez bliskiego mi człowieka. Nawet nie wiem, kto w tym roku dostał Nobla... A nagrody są o tyle ważne, że dają

pieniądze, zwycięzca przez jakiś czas ma święty spokój, może skupić się na twórczości. I jednocześnie tak prestiżowe nagrody jak Gdynia, Silesius, Nike – od lat się nie rewaloryzują, jakby organizatorzy, inwestorzy i jury nie zauważali pędzącej inflacji. Co też świadczy o tym, że te nagrody pozostają w niezłym oderwaniu od rzeczywistości.

Poza tym nigdy nie byłam w środowisku, zawsze na antypodach, może nawet poza nawiasem.

Żadnych pisarskich przyjaźni?

Jedynie z Agą Jelonek. Ona jest zawsze, kiedy jej potrzebuję. Tyle że ona tak bardzo mnie nie potrzebuje. Pewnie dlatego, że ma szersze kręgi wsparcia społecznego. Ale na pewno naszą relację mogę nazwać przyjaźnią.

Dajesz jej do czytania niepublikowane wiersze?

Nie robię tego od dawna. Kiedy coś swojego pokazywałam zaufanym osobom, to dostawałam recenzje zwrotne pełne zachwytów. Pojęłam, że na krytyczne czytanie przełożyła się ogólna chęć do mnie. A przy „Wyborze stand-upów” pracowałam ze świetną redaktorką Asią Mueller, którą też cenię jako poetkę. Ona dodała brakujące przecinki i zmieniła kilka słów, ale to czysta kosmetyka. Jedyną niekosmetyczną sprawą była sugestia usunięcia zwrotki z wiersza „To dopiero jest rocket science!”. Komentarz Asi brzmiał, że jest ona przegadana. Ale ja się nie zgodziłam, gdyż w tej wersji już wcześniej wiersz został opublikowany. A ja nic nie zmieniam.

Z tego samego względu odsyłam wydawców zwracających się do mnie z prośbą o wznowienie „Obsoletek” pisanych 13 lat temu. Powodem jest słowo „Murzyn”, które pada w tej książce w jednym zdaniu. Nie mam ochoty się tłumaczyć, że to nie jest rasizm. I w tym kontekście pasuje wyłącznie „Murzyn”.

Poprawność polityczna ogranicza poetycką wyobraźnię?

Jedyna rzecz, która mnie ogranicza w poezji, to wyrażnie sformułowana prośba „proszę, nie pisz o mnie” kogoś, kto nie chce, żebym o nim pisała. Wiadomo, że zawsze można powiedzieć „ale to nie o tobie”, „ale to przecież poezja”, a nawet zarzucić proszącemu narcyzm

i pychę. Ale ja wielokrotnie prosiłam „proszę, nie pisz o mnie”, a potem znajdowałam w czyichś wierszach dosłowny zapis mojej przygody, dodatkowo podany moimi słowami. Na pewnym etapie zażyłości uważam taką strategię twórczą za naruszenie zaufania.

No a ta poprawność polityczna?

Mnie nie hamuje. I jestem gotowa ponosić konsekwencje faktu, że mój wiersz kogoś politycznie obrazi. Nie wiem natomiast, czy ten ktoś jest gotowy na poniesienie konsekwencji mojej gotowości poniesienia konsekwencji, gdyż oburzenie niepoprawnością polityczną jest niekonstruktywnym rodzajem moralnej masturbacji. I jestem pewna, że język sam zadba, by wyeliminować poprawność polityczną. Podzieli los choćby retoryki socjalistycznej. Każda nowomowa prędzej czy później przegra z autentyzmem języka.

Powiesz więcej o zmianach w życiu?

Może to, że na razie nie czuję już potrzeby umawiania się z ludźmi na gruncie erotyczno-romantyczno-męsko-damskim z tego powodu, że we mnie natychmiast zbiera się potrzeba powiedzenia o sobie wszystkiego fundamentalnego: że cierpię na chorobę dwubiegunową itp, itd. Wiesz, te wszystkie rzeczy, które z czasem wychodzą w praniu. Nie mam ochoty stresować się czekając na odpowiedni ku temu moment. A osoby, z którymi się kontaktuję, mają głęboko wdrukowany mechanizm kokieterii i zalotów. Wszystko, co w nich najgorsze, ukrywają w najciemniejszym zakamarku.

Ludzki odruch.

Pod koniec zeszłego roku moja mama powiedziała, że chciałaby jeszcze przed śmiercią zobaczyć mnie w związku. Więc ja wdałam się w związek. Dla mamy i pod kątem mamy. Udało się: mamie podobał się mój partner. Nawet przyszedł z nim na ślub mojej siostry, czym mama była zachwycona. Potem zabrałam go na wigilię, więc mama była wniebowzięta. I po tej wigilii nastąpiło u mnie pęknięcie, nie dałam rady ani chwili dłużej. Myślałam: przecież ja to robię wszystko dla mamy. Udało mi się sprowokować polubowne rozstanie.

Czy to oznacza, że Twój dawny świat kompletnie się rozleciał?

Diagnoza

Przyglądam się pani bardzo uważnie,
odkąd pani weszła, i powiem, co widzę.
Widzę ten obraz, gdzie ludzie się modlą
na anioł pański nad wózkiem kartofli,
aż ktoś raz powiedział, że to nie kartofle,
tylko martwe dziecko, i nie anioł pański,
tylko wieczny odpoczynek, i bardzo się upierał,
więc prześwietlono obraz
i rzeczywiście pod spodem była malutka trumienka.

Co słyhać

Jest sobota. W tym tygodniu wypowiedziałam trzynaście słów.
Dzień dobry, dziękuję, do widzenia – do dostawcy z Biedronki.
Nie mogę na ciebie patrzeć – do lustra.
Dlaczego nie możesz mnie kochać – do ciebie.
Tylko dostawca odpowiedział. Dzień dobry i do widzenia.

Jak to wspañiale mieć większe problemy!

Kocham cię najbardziej na świecie.
Kiedyś tak mówiłam do syna,
a on odpowiadał: ja ciebie bardziej.
Teraz tak mówię do psa, mieczyków, lampy, dostawcy z Biedronki.
Ale chyba tylko w myśli, bo nikt nigdy nie odpowiada.
Podejrzewam, że większość rzeczy robię w myśli.
Któregoś dnia zacznę w myśli oddychać.
Kocham cię najbardziej na świecie, ów dniu wytęskniony.
Ja ciebie bardziej, córeczko.

Wiersze pochodzą z tomu „Wybór stand-upów”

Wolałabym powiedzieć, że on wypracował się w swojej formule. A zaczął się świat nowy. Na razie przyglądam mu się z bliska. I wcale nie jestem przekonana, że teraz jest gorzej, niż było kiedyś. Poza wszystkim w tym roku skończyłam 46 lat.

To ma znaczenie?

Pewne możliwości definitywnie się kończą. Choćby biologiczne: wkrótce nie będę mogła rodić. A trzecie dziecko jest moim marzeniem. Tym razem to doświadczenie chciałabym przejść inaczej niż z córką i synem: mieć w ciąży bezwzględne wsparcie partnera. Partnera, który wróciwszy po pracy do domu, pyta, jak się czuję i przytula się do mojego brzucha. Poza tym jestem w tym wieku, że za chwilę, jak to się ładnie mówi: zaczną brać z mojej półki. Kilku już moich rówieśników odeszło. To metafizyczny skandal! I gdybym ja teraz umarła, też byłby metafizyczny skandal.

W Dwutygodniku portretowałaś siebie jako ósmiolatkę z roku 1986.

Ciekawi mnie, kogo widzisz, kiedy myślisz o 46-latce z roku 2023?

Dziewczynkę. Czasem wesołą, czasem ponurą. Czasem nie wiadomo, o co jej chodzi. Ciągłe popełnianą fakapy. Dziwnym cudem mającą całe życie przed sobą.

Jednocześnie ta dziewczynka boi się, że skończyła 46 lat.

Ja mówię teraz o odczuciach, o stanie wewnętrznym, nie o świadomości płynącej z wiedzy, z tego, że się urodziłam w roku 1977. Gdybym miała dziś narysować siebie, to byłaby właśnie ósmiolatka w śmiesznej sukience z odrapanymi nogami i kolanami w strupkach. Na obrazku byłby jeszcze jakiś ptaszek, aniołek, słoneczko, chmurka i deszczyk. A w trawie wijący się wąż.

Czytając „Wybór stand-upów” widzę, że ta dziewczynka bywa bardzo udręczona.

Dwa dni temu bardzo płakałam po stracie Dzikusa, psa mojej mamy. Zo-

stał uśpiony, nie było dla niego ratunku. Czułam, że muszę coś zrobić, bo oszaleję z bólu. Napisałam do trójki znajomych, czy mogliby do mnie zadzwonić, bo nie chcę płakać do obcego taksówkarza. Natychmiast oddzwonili. Wszystkich telefonów nie mogłam odebrać, porozmawiałam tylko z Alicją. Opowiadałam, że odebraliśmy po uśpieniu z lecznicy ciało Dzikusa zawinięte w kocik. I że chciałam Dzikusa ostatni raz pogłaskać, lecz poczułam pod palcami folię, w którą został zapakowany. Łkałam, że to jest koszmar. A gdy skończyłam rozmowę i dojechałam do domu, byłam już w innym stanie. Powiedziałam sobie: no tak, Dzikus nie żyje, stała się rzecz potwornie smutna, ale takich rzeczy jeszcze wiele wydarzy się w moim życiu. I lepiej poczułam się po tym płaczu, trochę jak świat po gwałtownej ulewie.

W perspektywie jest nowa książka?

Eseistyczna. W związku z tym jakiś czas temu, jeszcze za poprzedniej władzy, złożyłam wniosek w Ministerstwie Kultury. Wymóg był taki, że projekt, nad którym autor będzie pracować, ma opiewać piękną polszczyznę. A mój pomysł na książkę to opowieść o chorobie i chorowaniu. Będzie rozdział poświęcony chorowaniu roślin. W tym o galasach – patologicznych zmianach na liściach krzewów. Są objawem destrukcji, ale też elementem konstrukcji: dawniej wyrabiano z nich atrament.

W sierpniu tego roku byłam przekonana, że odkryłam nową chorobę roślin. W lesie zauważyłam zielony liść częściowo pokryty ostrą, rażącą, nienaturalną czerwienią. Zrobiłam mu zdjęcie, wysyłałam do znajomych botaników z prośbą, by postawili diagnozę. Lecz wędrując w głąb lasu, zorientowałam się, że jest więcej liści czerwonych, a nawet niebieskich. Dopiero po dłuższym czasie zauważyłam, że tymi dwoma kolorami wysprejowane są na drzewach znaki Polski Walczącej. A na chodnikach napisy: „pandemia pedałów”. W ten sposób moja dzielnica walczy z „pandemią pedałów”. Tyle że te dwa słowa nie mieszczą się im na drzewach, więc piszą je na chodniku. I któryś z walczących przez przypadek psiknął na liść czerwoną farbą. A ja w tym szukałam choroby.

Może to też jest choroba.

→ Będzie rozdział o chorowaniu paru znanych mi psów. Między innymi o autoagresji, o tym, że potrafią sobie wygryzać łapy i trzeba im podawać leki psychotropowe.

Będzie rozdział o mojej babci, prostej kobiecie, chłopce, która długo i w katastrofalny sposób przechodziła menopauzę: nieustannie krwawiła. Co rusz ładowała w szpitalu i nic z tego nie wynikało. A ona miała pole do obrobienia i trójkę dzieci do ogarnięcia. Dziadek, by babci pomóc, dać wyraz empatii i zrobić przyjemność, kupił jej elastyczne pończochy. Babcia na niego strasznie nakrzyżała, ponieważ jej się wydawało, że to są skarpetki. Bo małe, wąziutkie. Dziadek z godnością wziął w obie ręce pończochy i je maksymalnie rozciągnął. I te pończochy babci pomogły. Krwawienia ustały. Teraz uwaga: we wniosku napisałam, że właśnie w tym rozdziale będę wychwalać urodę polszczyzny, ponieważ rzecz się dzieje na wsi, a wieś polska urodziwa... Mówię o tym absurdzie, bo jestem pewna, że sprawa tego stypendium jest przegrana.

W książce będzie rozdział o Twoim chorowaniu?

Ono już nie jest dla mnie ciekawe. Nowej diagnozy trzymam się zębami i pazurami.

Świadomość, że mam ChAD, daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Co jeszcze daje Ci poczucie bezpieczeństwa?

Zmiany zachodzące we mnie. Zrozumiałam, że nie mogę być z kimś wyłącznie dlatego, by sprawić komuś przyjemność. Wiem, że już nie będę wchodzić w relacje, by spełnić oczekiwania drugiej osoby, a unieważniać siebie, oddalać własne pragnienia i potrzeby. Nauczyłam się też przemilczania pewnych rzeczy. Unikania konfliktu, który nikomu i niczemu nie będzie służył. Uśmieciam się i mówię: może nie warto o tym rozmawiać. Zrobiłam się wyrozumiała, umiem wybaczać. Właściwie każdemu i właściwie wszystko. Rzecz jasna, potrzebuję na to czasu, ale mam na to przestrzeń. Jestem wdzięczna życiu za to, że nieustannie wytwarza we mnie nowe umiejętności.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Odpoczynek jako opór

MONIKA OCHĘDOWSKA

Tłumaczymy i czytamy coraz więcej japońskiej literatury. Czego szukamy w najnowszych, popularnych opowieściach z Tokio?

POCHMURNY PONIEDZIAŁEK. „ZWYKLE nie lubię wychodzić z domu podczas deszczu, ale dziś postanowiłam sprawdzić, jak mi się będzie pracowało w nowej kawiarni” – czytamy na ekranie. Przestronne wnętrze znajduje się wysoko nad tokijskim skrzyżowaniem Shibuya, które tego dnia nie wygląda na najbardziej zatłoczone miejsce na świecie. Kolorowe plamy parasoli niespiesznie przecinają szeroką ulicę. Po chwili na stoliku pojawia się kubek kawy i spory kawałek baskijskiego sernika, konsystencją przypominający dojrziałą camembert. Zaopatrzona w widelczyk drobna dłoń sięga po kremowe wnętrze ciastka.

Cisza życia

Kim jest twórczyni filmu? Nie wiemy, jak ma na imię, nie zobaczymy jej twarzy, nie usłyszymy głosu. Wszystko, co chce nam o sobie powiedzieć, czytamy w napisach pojawiających się co jakiś czas na dole ekranu: „tak wygląda mój poranek”, „to warzywniak, w którym zwykle robię zakupy”, „w ten sposób przygotowuję szybki omlet na lunch”, „lubię spacerować bez celu”. Spojrzenie przez okno sypialni na dachy okolicznych budynków, szum żółtych wagoników metra, podglądanie kota, relaksująca muzyka w tle – z tego składają się kolejne ujęcia jej nagrań.

Rutyna, zwyczajny, samotny – to właściwsze słowa opisujące treść tzw. cichych vlogów (ang. *silent vlogs*), do których należy oglądany przeze mnie kilkunastominutowy film na YouTube. Ten szczególnie popularny w Japonii i Korei Południowej styl nagrań kładzie mniejszy nacisk na osobę twórcy, a większy na estetykę filmowego obrazu rejestrującego codzienny przepływ czasu. „O co tyle szumu?” – pisał przewrotnie o „cichych vlogach”, odkrywszy ich niezwy-

klą popularność, pracujący w japońskim oddziale YouTube’a specjalista od trendów Makoto Maeoka. Nagrania, których oglądalność bardzo wzrosła w czasie pandemii, skupiają się bowiem na błahych czynnościach, takich jak gotowanie i spożywanie posiłków, sprzątanie i zmywanie naczyń, podróże do pracy, bezcelowe spacerowanie po mieście czy oglądanie seriali. Wszystko to odbywa się bez słowa komentarza, przy kojącej muzyce, a niezwykle – w zupełnej ciszy, przerywanej jedynie odgłosami wykonywanych czynności.

„Taki styl najwyraźniej pomaga naszym widzom się relaksować, pozwalając na ucieczkę od stresującego życia” – domyśla się Maeoka. A może jest motywacją do wypełniania tych samych, zmundnych obowiązków we własnym domu? „Cisi vlogerzy” wydają się pogodzeni z monotonią codzienności, potrafią czerpać przyjemność z powszednich spraw. Może towarzyszenie im sprawia, że sami czujemy się na co dzień trochę mniej zmęczeni i samotni? Jakakolwiek byłaby przyczyna popularności azjatyckich silent vlogów, podobnie pocieszycielską rolę odgrywa coraz częściej czytana w Polsce japońska literatura.

Odległy punkt

Już szybki przegląd raportów Biblioteki Narodowej pozwala stwierdzić, że literaturę japońską tłumaczymy w ostatnich latach chętniej niż czeską, włoską czy szwedzką. Duży wpływ na taki stan rzeczy mają popularne wśród młodych czytelników mangi – prawie połowę wszystkich tłumaczonych na język polski komiksów dla młodzieży stanowią właśnie one. Ale jeśli spojrzymy na dane dotyczące przekładów beletrystyki, okaże się, że literatura z Tokio i tutaj radzi sobie bardzo dobrze. Najwięcej przekładamy na język polski prozy amery-



Scenariusze przedstawień Nō, jednego z klasycznych gatunków japońskiego teatru.

Z prawej: księgarnia Yaguchi, jedna z dziesiątek w dzielnicy antykwariatów Kanda-Jimbōchō. Tokio, styczeń 2023 r.

kańskiej (17 proc.) i angielskiej (16 proc.), znaczące miejsce na półkach naszych księgarni zajmują również powieści i opowiadania francuskie (13 proc.) oraz rosyjskie (6 proc.), ale zaraz potem pojawiają się właśnie pozycje japońskie (4 proc.). Tłumaczkę, z którymi rozmawiam, odczuwają tę zmianę na rynku książki także w liczbie telefonów odbieranych z różnych redakcji.

– Jeszcze pięć lat temu moje koleżanki, świetne tłumaczki, wysyłały do wydawnictw propozycje przekładów literatury japońskiej i nie dostawały żadnej odpowiedzi. Dziś mają problem, by wyrobić się ze zlecaną im pracą – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Beata Kubiak Ho-Chi. Autorka książek o estetyce i sztuce Japonii, tłumaczka Yukio Mishimy i Hiromi Kawakami przyznaje, że do niedawna była na bieżąco ze wszystkimi tytułami przekładanymi z języka japońskiego na polski, ale dziś wydaje się ich tak dużo, że nawet specjaliści nie nadążają ze śledzeniem nowości. Wciąż powiększa się także kształcone na czterech krajowych japonistykach grono tłumaczy i tłumaczy, którzy niedługo po skończeniu studiów mają okazję sprawdzić się w zawodzie.

Ale nie tylko nowe tytuły cieszą się powodzeniem wśród polskich czytelniczek i czytelników. Wydany dekadę temu



przez krakowski Karakter zbiór próz Hiromi Kawakami „Nadepnęłam na węża” doczekał się właśnie trzeciego wznowienia. Podobnymi sukcesami mogą się pochwalić wydawcy twórczości Yoko Tawady. Wciąż inspiruje nas autor „Złotej pagody” i „Wyznania maski” Yukio Mishima, noblista Yasunari Kawabata (wyd. Czytelnik wydaje w tym tygodniu jego opowiadania), czy Haruki Murakami (najnowszy zbiór felietonów autora „Przygody z owcą” ukazał się wiosną tego roku). Piąte urodziny obchodzi stołeczne wydawnictwo Tajfuny zajmujące się przekładem i promocją wyłącznie literatury pochodzącej z Azji Wschodniej.

– Oczywiście, w Polsce klasyka japońskiej literatury jest obecna od dekad, można ją było poznawać między innymi dzięki słynnej czarnej serii PIW-u – przyznaje prezeska wydającej wiele japoń-

skich tytułów Grupy Wydawniczej Relacja, Anna Zdrojewska-Żywiecka. – Dobrze znamy japoński teatr, interesujemy się estetyką i kaligrafią, a wielu z nas po prostu marzy o podróży do Japonii. Lubimy ten wyspiarski kraj jako najbardziej odległy punkt na mapie.

Wszystko płynie

Skoro o podróżach – przenieśmy się znów do jednej z tokijskich kawiarni. Nazywa się Funiculi Funicula (nazwa w tajemniczy sposób nawiązuje do pieśni neapolitańskiej, napisanej pod koniec XIX w. z okazji inauguracji kolejki – po włosku *funicolare* – prowadzącej na Wezuwiusza) i nie serwuje co prawda baskijskich serników, ale coś znacznie bardziej wyszukanego: podróże w czasie. W kawiarni można jednak posiedzieć tylko tyle, ile mija do wystygnięcia zamówionego

→ napoju – tyle właśnie mamy czasu na załatwienie swoich spraw w przeszłości albo przyszłości. Tak z grubsza wygląda fabuła opowieści jednego z popularniejszych dziś w Polsce japońskich pisarzy, Toshikazu Kawaguchiego. Wchodząc do Empiku nie sposób nie zauważyć kolejnych tomów jego serii „Zanim wystygnie kawa” – kupiliśmy już ponad 200 tys. egzemplarzy (poza Stanami Zjednoczonymi autor nigdzie nie odniósł takiego sukcesu).

O przyczyny popularności Kawaguchiego w Polsce pytam jego wydawczynię. Anna Zdrojewska-Żywiecka odpowiada: – Okres pandemiczny, wybuch wojny w Ukrainie, a potem szereg innych problemów, z którymi się mierzymy w naszym kraju, sprawiły, że książki stawiające opór, takie, które pozostawiają czytelników z poczuciem braku wpływu na rzeczywistość, wybieramy znacznie rzadziej. Zamiast tego chętniej sięgamy po lektury, które można określić jako *comfort books* – książki, które nadal dotyczą fundamentalnych dla naszego życia tematów, ale robią to w sposób pozwalający odnaleźć sens w codzienności. Szukamy w światach przedstawionych bezpiecznych przestrzeni.

Spróbujmy spojrzeć na ten problem jeszcze szerzej. Niedoceniane wciąż należy doświadczenie globalnej pandemii, a także bliskość wojny, objawiająca się zarówno setkami tysięcy dramatycznych obrazów, jak i napływem do naszego kraju miliona dotkniętych lękiem o własne życie migrantów, unaocznili nam niezwykle mocno przemijalność życia. Za popularnym południowokoreańskim filozofem Byung-Chul Hanem można by powiedzieć więcej: „nasze życie nigdy nie

Warto przeczytać



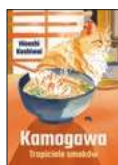
■ **PRAWDZIWA POWIEŚĆ**
Minae Mizumura,
przeł. Anna Zielińska-Elliott,
Tajfuny, Warszawa 2023

Choć pierwowzorem były „Wichrowe wzgórza”, polskim czytelnikom ta historia będzie przypominać „Lalkę”: człowiek znikąd zostaje milionerem, a potem przepada bez śladu w Dolinie Krzemowej. Jak zmieniały się losy japońskiej społeczności w Stanach? Powieść szkatułkowa.



■ **NADEPNĘŁAM NA WĘŻA**
Hiromi Kawakami,
przeł. Barbara Słomka,
Karakter, Kraków 2023

Autorki nie interesuje to, co wydarzyło się naprawdę – dużo ciekawsze jest wymyślanie zdarzeń, szczególnie takich, w których ludzie (albo duchy) potrafią przybierać postać zwierząt. Teksty tego zbioru należą do porządku baśni. Takich dla dorosłych.



■ **KAMOGAWA. TROPICIELE SMAKÓW**
Hisashi Kashiwai,
przeł. Anna Zalewska,
Grupa Wydawnicza Relacja,
Warszawa 2023

Wszyscy mamy w pamięci smaki, które kojarzą nam się z dzieciństwem albo bliskimi. W Kioto istnieje jadłodajnia spełniająca tęsknoty podniebień – szef kuchni potrafi odtworzyć danie, o którym marzą klienci. Na podstawie tej nostalgicznej, ciepłej książki powstał serial telewizyjny.

było tak przemijalne jak dziś”. Jeśli nie jesteśmy pewni swojej wiary, nie czerpiemy oparcia w żadnej z religijnych wspólnot, nic nie daje nam niezbędnej do przeżycia obietnicy trwania i stałości. To mogłoby tłumaczyć głód opowieści, które w prosty i przystępny sposób objaśniają nam ten stan rzeczy i niosą pokrzepienie.

– Zdania w prozie Kawaguchiego rzeczywiście są proste i krótkie, nic się pod nimi nie kryje, wszystko jest tu na powierzchni. Z drugiej strony – pocieszają, pokazując, że człowiek nie jest na świecie zupełnie sam – przyznaje tłumaczka Mishimy.

Kawaguchi – choć daleko mu do innych japońskich autorów tłumaczonych na język polski – daje wprost do zrozumienia, że choć przeszłości nie możemy już zmienić, wciąż mamy wpływ na to, jak żyjemy w konkretnej chwili (podobne wnioski możemy wyciągnąć z równie „przytulnych” historii Satoshi Yasigawy, rozgrywających się nie w kawiarni, a popularnej dzielnicy tokijskich antykwariatów). Nawet jeśli jest to lek na moment uśmierzający ból, czy nie brzmi jak obietnica, którą każdy z nas chciałby dostać? I czy nie jest to lektura przypominająca swoim przesłaniem tak chętnie nagrywane w Tokio vlogi?

Opór i pustka

„W literaturze japońskiej jest zimno” – pisał przed laty, podczas pobytu w Kioto, szwajcarski pisarz i podróżnik Nicolas Bouvier. Oceniając styl tamtejszej prozy notował, że „postaci i ich perypetie są jakby skulone we wrogiej przestrzeni”. Czasem – co prawda – miała pojawiać się w japońskiej prozie „nuta współczu-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Autorki „Tygodnika” nominowane do Nagrody im. Beaty Pawlak za najlepsze publikacje na temat innych kultur, religii i cywilizacji

Anna Goc została nominowana za książkę „Głusza” (wyd. Dowody), a **Małgorzata Nocun** za książkę „Miłość to cała moja wino. O kobietach z byłego Związku Radzieckiego” (wyd. Czarne).

Nagroda przyznawana jest z funduszu utworzonego w 2003 r. z darowizny zapisanej w testamencie przez Beatę Pawlak – dziennikarkę i pisarkę, która zginęła w zamachu terrorystycznym na indonezyjskiej wyspie Bali 12 października 2002 r.

NASZYM AUTORKOM SERDECZNIE GRATULUJEMY I TRZYMAMY KCIUKI. LAUREATA POZNAMY 16 LISTOPADA.



FUNDACJA
BATOREGO

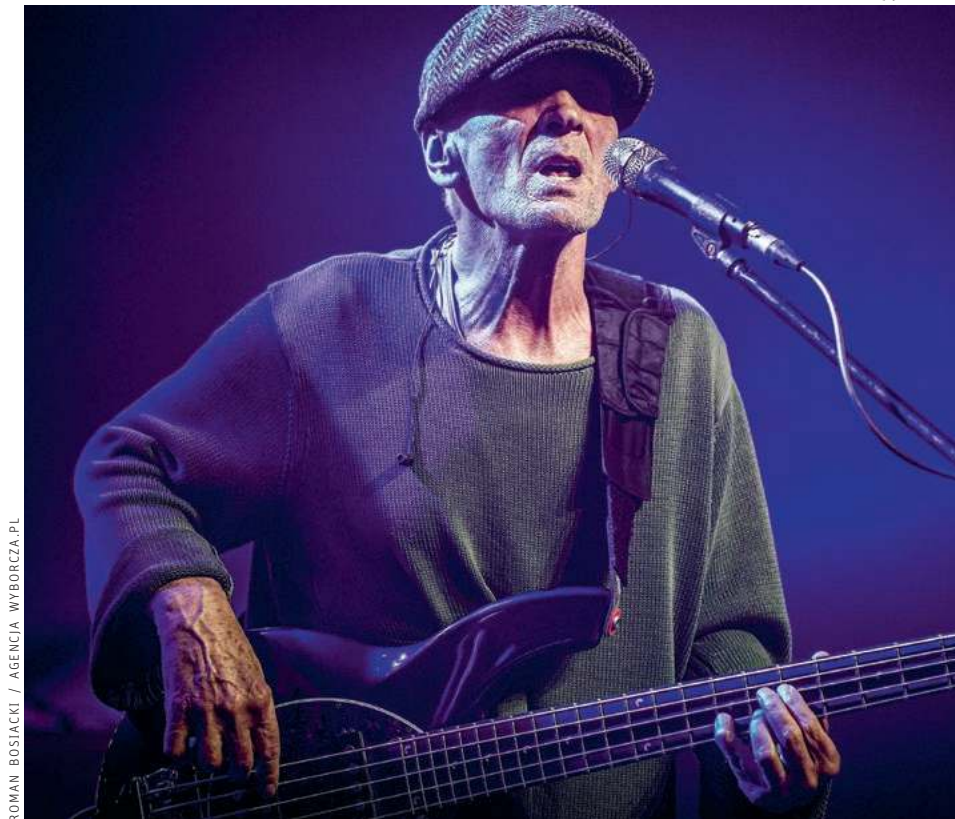
cia, odrobina smętnej rubasznosci”, ale nigdy prawdziwa radość. Zdaniem Bouviera sedno japońskiej literatury tkwiło „w chandrze, splinie, dotkliwie odczuwanej ułomności bytu”. Powodem takiego stanu rzeczy miał być „strach przed pustką, który próbuje się ukryć pod gorączkową aktywnością” albo „głuszy wszelkiego rodzaju narkotykami”. Czytając dziennik Bouviera ponad 50 lat po jego napisaniu daje się odczuć, jak mocno zmieniła się nie tylko japońska, ale i europejska kultura. Dziś to my jesteśmy tymi, którzy „dotkliwie odczuwając ułomność bytu”, zanurzeni w nieustannym działaniu, zmęczenie przykrywają gorączkową aktywnością.

Ale jeśli wierzyć temu, co proponuje w swoich esejach Han, to nawet dobrze – głębokie zmęczenie rozbraja, poluznia nawias tożsamości. Sprawia, że zaczynamy szukać kontaktów z innymi. Według amerykańskiej teolożki i działaczki społecznej Tricii Hersey, autorki książki „Rest is Resistance” (Odpoczynek jako opór), w stanie takiego głębokiego zmęczenia, gdy wreszcie naprawdę pozwalamy sobie na powstrzymanie od działania, nawiązujemy duchowy kontakt z przodkami, ale też w ogóle z historią – zaczynamy sprawdzać, ile wiemy o sobie i swoim pochodzeniu.

Podążając za teorią Hersey można zaryzykować śmiałą tezę, wedle której powrót do ludowych korzeni, otwarcie na historię wyzysku i traumy związanej z chłopskim pochodzeniem, odbywa się właśnie w takich momentach, kiedy „społeczeństwo zmęczenia” zaczyna „stawić opór” i troszczyć o swój dobrostan. To właśnie obserwujemy przecież w Polsce – obok Kawaguchiego wśród bestsellerów Empiku królują dziś m.in. „Chłopki” Joanny Kuciel-Frydryszak, choć ludowy zwrot w humanistyce trwa już dobrych kilka lat.

Być może, czytając Japończyków, próbujemy właśnie zaczerpnąć z tego, co odkryli rodacy Mishimy, przekraczając swój strach przed pustką. A gdyby jeszcze to doświadczenie spróbować przełożyć na konkretny smak, jak dzieje się to w prozie Hisashi Kashiwai (zob. ramkę), byłaby to bardzo polska w gruncie rzeczy goryczka liści chryzantemy.

© MONIKA OCHEŃDOWSKA



ROMAN BOSIACKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

Koncert Lecha Janerki. Bydgoszcz, 3 października 2020 r.

Aniołek odleciał, Janerka przyleciał

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Osiemnaście lat czekali fani na kolejną autorską płytę Rolling Stonesów. Gdy się ukazała, przyjęli ją owacyjnie. Ale nawet ta osiemnastka nie dłużyła się tak, jak wypatrywanie nowej płyty Lecha Janerki. Zostały nam już tylko chwile.

NALĘŻĘ DO ELEKTORATU ANIELSKICH dinozaurów, ale o dekadę młodszy Janerka ma we mnie prawdziwego szalikowca. Razem z innymi członkami sekty, czekając na „Gipsowy odlew falsyfikatu”, czuliśmy się niczym Ziemiańskie wyglądający lądowania przybyszów z kosmosu. Wierzyliśmy głęboko w szykowane nam kolejne objawienie. Pytanie jest wciąż takie samo: dlaczego towarzyszy temu napięcie, którego nie odczuwaliliśmy przy Stonesach, choć też ich kochamy?

Nieprzypadkowo wracam do kosmicznej metafory, którą posłużyłem się na tych łamach ponad cztery lata temu, gdy pierwszy raz badałem fenomen Lecha Janerki. Zaiste bowiem nie tylko nadal jest niepodobny zupełnie do nikogo, ale też nawiedza nas premiami swoich płyt z częstotliwością wędrownego ciała niebieskiego. Choć zawodową karierę zaczął czterdzieści lat temu, do tej pory uraczył nas zaledwie ośmioma albumami. Nie szczodry to bóg, oj nie.

→

Płyty się robią same

→ W tym samym czasie Rolling Stonesi wydali jeszcze mniej – tylko sześć płyt z autorskim materiałem. Tyle że w 1983 r., gdy Janerka startował, dysponowali już olbrzymim repertuarem, który po dziś dzień eksploatują obficie na koncertach. Po 1978 r. mogliby już niczego nowego nie nagrywać. Dalej byłiby na szczycie

Lech Janerka po „Plagiatach” (2005) no sił się z myślą, by więcej płyt nie nagrywać: – Ale się okazało, że coś tam sobie brzdąkam, nowe piosenki powstają na la-la-la, i kiedy gromadzi się ich dziesięć czy dwanaście, naturalną konsekwencją jest myśl, żeby nagrać płytę. Z drugiej strony wsłuchiwałem się w rynek i stwierdzałem, że trochę nie ma to już sensu, bo moje objawienia muzyczne są średniej próby, więc po co się pchać. A z trzeciej strony szkoda było wyrzucać te nowe rzeczy do kosza.

Sam zastrzega, że na nową płytę nie czekał: – Płyty się robią same. Kiedyś działało się to bardzo szybko, w czasach Klausa czułem w sobie impet, materiał powstawał na próbach, jedna próba – jedna piosenka, repertuar na płytę powstał w dwa, trzy tygodnie. Podobnie z „Historią podwodną” [wyjaśniam niezorientowanym: Klaus to Klaus Mitffoch – zespół założony przez Janerkę w 1979 r., „Historia podwodna” to jego pierwszy solowy album z 1986 r. – FLJ].

Ale przecież i na nowy album materiał muzyczny powstał szybko: – Wysłałem producentowi Bartoszowi Straburzyńskiemu pomysły, z harmonią, z wokalem bez tekstu, ewentualnie basem i wiolonczelą, a po dwóch dniach dostawałem gotowe kawałki.

Jednak minęło osiemnaście lat. Jak u Stonesów. Tyle że ci już w rockowym plejstocenie sformułowali swoje credo muzyczne, spełnili oczekiwania i nowych nie generują. Czekanie na ich nowy album to jak apetyt na świadectwa chwalebnej przeszłości, na powtórkę z rozrywki.

Janerka wręcz przeciwnie, tu nie ma powtórek. Przede wszystkim w materii słów. Sęk w tym, że słowa nie przychodziły, choć inspirujący skrzek rzeczywistości nie milkł. Jednak nie mogły to być słowa już kiedyś użyte. Raz wystrzelony pocisk nie podlega recyklingowi: – Siadłem do tekstów, ale nagle nie bardzo było o czym pisać: gdy o czymś pomyślałem, to nagle okazywało się, że już o tym pisałem.

A ponieważ wiele z tamtych tekstów się nie zdezaktualizowało, to po co drugi raz...

– Pilnuję tego – zaznacza.

U Janerki nie tylko nie ma powtórek, nie ma też rozrywk. A jeśli jest, to persyjna. Każdą piosenką, każdą płytą, każdym występem inicjuje kolejny bój o spokój ducha, by „odlecieć stąd na chwilę, odlecieć stąd najbliższym lotem”. Świat mu tego spokoju nie zapewnia, więc Lech – niczym utrudzony bohater gier komputerowych lub opowieści o weteranach, którzy znów muszą sięgnąć po przykurzony pancerz – choć bardzo chciałby, odpocząć nie może, bo imperatyw wydestylowany z materii kosmicznej nie pozwala mu zamknąć na kłódkę zbrojowni z tą jego basówką i piórem. Nie ma złudzeń – już wstępne rozpoznanie dowodzi, że „To wrogie terytorium”, na którym „sedno spinu tkwi w przekręcie”.

Złe wieści, które leczą

Z Janerką zawsze było tak, że tykając pierwsze hausty nowego albumu, doznawaliśmy jednoczesnej rozkoszy i gorczy. Nie miał dla nas dobrych wieści, a i tak te nie najlepsze okazywały się dobroczynnym lekiem. Dzielił się swymi kasandryzmami, zdziwami, lękami i uwierającymi jak kamyk w bucie pytaniami, dzięki którym wciąż czuliśmy, że żyjemy. Był jak ten dentysta, który podczas gmerania w zębie pytał: „Boli?”, a gdy spocony i zalany łzami pacjent kiwa słabo głową, kwituje: „To dobrze, znaczy, że żywy”.

Kiedyśmy zaś zapominali o tym, co boli i dlaczego, wtedy „tubował znów to swoje kazanie / i zdanie za zdaniem mocne a cwane / wysyłał w lud”. Ale nigdy dotąd nie kazał nam na tę terapię wstrząsową czekać tak długo.

W tym czasie zmarł Jan Paweł II, rozpowszechnił się serwis YouTube, kłeska projektu PO-PiS rozpalila trwającą do dziś nową wersję sporu Horeszków z Soplicami, w Smoleńsku roztrzaskał się Tu-154, zaczęła działać fundacja Ordo Iuris, Olga Tokarczuk zgarnęła Nobla, podпалиł się Piotr Szczesny, wybuchł Strajk Kobiet, z Wuhan rozpełzło się drobnoustrojowe fatum, Putin zaatakował Ukrainę... Przez te osiemnaście lat zdążyło dorosnąć nowe pokolenie, a nasze życie społeczne trafiło do największej od kilku dekad centryfugi. Tyle się działo i dzieje, że moglibyśmy spokojnie zapomnieć o Lechu z planety Janerka.

Nie zapomnieliśmy. Nie tylko dlatego, że Małgorzata Tekiel i Piotr Pawłowski złożyli mu cztery lata temu hołd w postaci zjawiskowego albumu „Janerka na basy i głosy” z takim zestawem głosów, że klękajcie narody. Także dlatego, że Janerka zdołał nas, swoich kiboli, uzależnić niewesołymi wrzutkami, aforyzmami i metaforami, bolącą miłością, pulsacją basową i hipnotyzującymi melodiami. Wyglądaliśmy go więc nadal, bo – powtórzę za klasykiem – był jakimś rozwiązaniem. Choćby cierpkim. „Wieczory tu są takie ciche / a kończą się w cieniu lamp” – moglibyśmy powtórzyć za nim samym, gdybyśmy znali już te słowa.

Nie zapomnieliśmy nie pomimo, ale właśnie dlatego, że w czasie, jaki minął od wydania „Plagiatów”, XXI wiek i jego kryptofisie tyle nawywijali. Wobec tak zmasowanego ataku historycznych drwin, trwóg i wrzaw pragnęliśmy powrotu kojącej nienormalności, jaką serwował nam zawsze Lech J., dybuk Klausa M. Bo wciąż budziliśmy się, a tu: „polska sprawa / poprzeczka chyba wzwyż”.

Jeszcze tylko słowa

Gdy dziesięć lat temu puszczał Pawłowi Sołtysowi nagrane już podkłady muzyczne, zapewniał: „No, to jeszcze tylko słowa”. Właśnie.

– Bardzo rzadko piszę teksty razem z muzyką, jak się zdarzyło z „Konstytucjami”, które w całości powstały chyba w dziesięć minut – wspomina.

Teraz wiedział, że nie mogą być lada jakie, jak trafione w dyskoncie suplementy duchowej diety. To musiały być rzetelne, bezpardonowe, świdrujące impulsy. Budzące i bolące. Choć sam Lech zaznacza, że zawsze chciał pisać teksty uniwersalne, niezakotwiczone aluzjami w bieżąccze. Jednak od niej nie sposób uciec, a i członkom jego sekty potrzebne są choćby mocno zmetaforizowane, ale jednak komentarze do tego, co tak bezlitośnie otacza.

Jak notuje Janerka w opisie płyty, po nagraniu muzyki w 2012 r. „przez jedenaście lat pisałem słowa w tempie sylaba na tydzień”, komentując to: „Smutne...”. Ostatnie dwa, „Pora na zło” i „I moll”, powstały na tydzień przed oddaniem całości materiału wytwórni.

A nam tylko czasem jakieś lichy szepotało na ucho obawy, że skoro przedtem najdłuższy hiatus, między „Dobranoc” a „Fiu, fiu...”, trwał pięć lat, to może

obecne milczenie oznacza, że to nie most, lecz molo, bo coś się skończyło. Bo może go to wszystko znużyło. „Pora spać / pora, by zasnąć // Śpij, śpij, śpij, inteligencje”?

Owszem, przylatywały jaskółki, jak ta od Sołtysa, że coś się wydarzy. Na albumie-hołdzie ku czci Tadeusza Gajcego Janerka przysolił groteskową goryczą „Świętego kucharza od Hipciego”. Później – dużo później – zaskoczyła nas nie spodziewana epifania na albumie Tekiel i Pawłowskiego, czyli autorska miniatura „Pili” – minireportaż ze spotkania w Krakowie z Marcinem Świetlickim. Plus dwa ujawnienia z 2019 r., „Zabawawa” i „Wanna na Wawelu”. I wtedy prasa już zapewniała, że płyta ukaże się „w tym roku” albo „wiosną przyszłego”.

I nic.

Zarazem te pojedyncze strzały utwierdzały nas w wierze, że muzyka spełni nasze oczekiwania. To był czysty Janerka, jednocześnie typowy i na wskroś oryginalny. Mocne kompozycje, dobrze zaaranżowane, niepodobne do niczego i nad wyraz znajome. Janerka pewnie jest fizycznie niezdolny do tworzenia pastiszów. Choćby usiłował grać free jazz, techno, doo-wop, death metal albo muzykę renesansową, zawsze byłby widoczny na wierzchu, niepodrabialny, nieusuwalny. Osobowość o właściwościach supermocy.

W rozmowie dodaje, że innym powodem opóźnienia płyty była jego decyzja, że sam tę płytę zmiksuje: – I wpadłem w pułapkę technologii, bo co parę miesięcy pojawiały się nowe możliwości. Próbowałem doskonalić rzecz, która była przyzwoita.

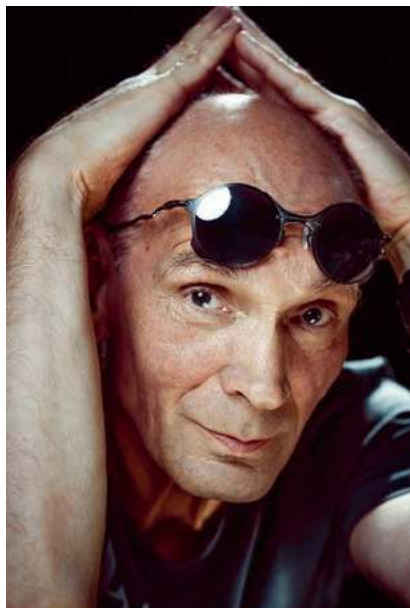
A nam pozostawało czekać. I czekać. I czekać. I tracić nadzieję.

I wciąż ją mieć.

Śpij, inteligencje

I się doczekać, że się spełniło. „Początek to już dziś... chyba”. Start. Poza znaną już wcześniej „Wanną na Wawelu” niewiele tu krotchwil, zatem ci, którzy przyjęli janerkizm dopiero przy „Plagiatach”, mogą się srodze zawieść.

– Jestem fanem Beatlesów i staram się podążać ich tropem, po rzeczach poważnych daję trochę zabawy i potem wracam do powagi – tłumaczy. – Po poważnej „Historii podwodnej” nagrałem odpoczynkowe „Piosenki”, a teraz po wygłupach z „Plagiatami” znów przyszedł czas na coś serio.



LUKASZ GIZA

Lech Janerka, wrzesień 2019 r.

LECH JANERKA:

... przez jedenaście lat pisałem
słowa w tempie sylaba
na tydzień...



Na to czekaliśmy. Na niespełna czterdzieści minut barwnej, przestrzennej goryczy. Bez oczywistych aluzji, bez machania cepem, nadal w mocno napiętym, pełnym metafor rejestrze poetyckim. Z doskonałym wprowadzeniem w postać „OMM”, które brzmi jak omen, choć w słowach słychać tęsknotę za spokojem: – Tak, wprost mówię, że dosyć konkwisty, że człowiekowi nie chce się agitować za cokolwiek. Na szczęście mam gdzie uciekać.

Stąd marzenie, by „uwierzyć w coś i wziąć to w ręce (...) a może zmieni się w coś więcej / w Bożenę od milczenia”. – Jesteśmy z Bożeną już ho-ho, a że dotąd nigdy o niej nie napomknąłem w żadnej

piosence, to ją tu wreszcie zainstalowałem, bo jej się należy za te wszystkie lata.

Lech eskapistą? Może by i chciał, ale jeszcze nie teraz: – Mierzi mnie bierność ludzi. Rzutem na taśmę napisałem więc „Dupe jak sofa”, gdzie powtarza się fraza „Śpij, śpij, śpij, inteligencje”, ale na szczęście powoli się to chyba kończy, coraz więcej jest ludzi, którzy pyskują i chcą powyjaśniać ciemne sprawy.

Gdzieś dalekim echem odzywa się wstrząsająca historia Igora Stachowiaka, w innym utworze zawołowaną czkawką odbija się reakcja ministra kultury na Nobla dla Tokarczuk. Janerkowi talmudyści doszukają się pewnie niejednego jeszcze podtekstu. On sam nie ma z tym problemu: – Interpretujcie, jak chcecie.

No i przybyły nam do słownika nowe zwroty i wyrażenia, które komputerowa korekta podkreśla na czerwono: „polubek brak”, „słaba kwapa”, „wołam ratuła” i „ustawa bidibą”. Dowody, że AI jeszcze długo nie wyprze poetów.

Dużo tu nawiązań do spania, niespania i snów. Nie tylko w zacytowanym wyżej szyderczym alercie do inteligentów. Lech wyjaśnia to nawracającymi problemami z zaśnięciem: – Na przykład „Nie śpię, śpię i nie śpię” mówi o naszym z Bożeną stanie codziennym. Często nie wiemy, czy śpimy, czy nie. Żyjemy trochę w półśnie.

Nowy materiał może imponująco zabrzmieć na żywo. Po świętach Janerka zamierza sprawdzić go na próbach: – Zobaczymy, czy się męczymy, czy daje nam to frajdę, osiągamy jakość i przekaz. Na pewno nie czuję obowiązku grania w niekończoność.

I dodaje: – Ostatnio czasem pytam publiczność, jak sądzi, kiedy moje teksty się zdezaktualizują i powinieniem przestać śpiewać. Ja sam mam nadzieję, że w ciągu roku. Optymizmem napawa mnie teraz masowy udział ludzi w głosowaniu.

Co oczywiście niesie groźbę, że jeśli w Polsce ucichną burze, ucichnie też Lech Janerka, a wokół rozlegnie się łagodny akord „i-moll”, który da „niebożętom przez słodką chwilę spać”. Nie bądźmy jednak naiwni – tu zawsze przychodzi przebudzenie, gdy „fortepiany z hukiem znów lecą na bruk”. © FILIP ŁOBODZIŃSKI

PS. Wszystkie cytaty zaczerpnięte z albumu „Gipsowy odlew falsyfikatu”. A płyta Rolling Stonesów jest dobra. Natomiast niczego w naszym życiu nie zmieni.

Krzyż kontra mezuza

ANITA PIOTROWSKA

Film Bellocchia jawi się chwilami niczym kino wręcz rodzinne, tyle że w jego fałdach poukrywane są bardzo krytyczne ostrza. Dramat pewnej rodziny jest tu kostiumem dla opowieści o tym, jak ołtarz zamienił się w autorytarny tron.



CHRZTU NIE MOŻNA ANULOWAĆ” – SŁYSZY Żydowski ojciec, któremu Święta Inkwizycja uprowadziła dziecko, wcześniej potajemnie ochrzczone. A rzecz nie dzieje się w jakichś mrokach średniowiecza, bo ledwie półtora wieku temu. I nie jest współczesną antyklerykalną fantazją stworzoną w odwecie za chrześcijańską legendę o dzieciach przerabianych na macę. Wydarzyła się naprawdę i została szczegółowo opisana w reportażu historycznym „Porwanie Edgarda Mortara. Skandal, który pogryzł Państwo Kościelne”, wydanej u nas przez Czarne.

Jej autor David I. Kertzer, laureat Pulitzera za książkę „Papież i Mussolini”, z początku nie mógł wyjść ze zdumienia, że boloński przypadek, który miał pośredni wpływ na zjednoczenie Włoch i ówczesną politykę europejską, był do niedawna tak słabo zbadany. Dostrzegął w nim wstydliwą kartę nie tylko dla Kościoła, ale też dla samych Żydów. Jak to możliwe? Odpowiedź przynosi również „Porwany”, nowy film Marca Bellocchia, powstały w oparciu także o wcześniejsze publikacje (głównie „Il caso Mortara” Daniele’a Scalise’a). Jednakże twórca, znany

z ostrego temperamentu politycznego, unika ścisłej rekonstrukcji historycznej i w dużej mierze stawia na emocje. Owa melodramatyzacja stanowi słabość, jak i siłę tego filmu. Odwołuje się do miazdzących faktów, lecz zarazem do ludzkich, a tym samym powszechnie odczuwalnych aspektów głośnej niegdyś sprawy.

Już samo otwarcie jest rozdzierające. Oto pewnego czerwcowego wieczoru 1858 roku do domu kupieckiej rodziny Mortarów wparowują papiescy urzędnicy i żandarmi, by w świetle prawa kanonicznego (Bologna była wówczas częścią Państwa Kościelnego) odebrać żydowskim rodzicom sześciolatniego Edgarda. Kropla wody i znak krzyża uczyniony sześć lat wcześniej przez katolicką służącą, która chciała uchronić chorujące niemowlę przed „otchłanią” i zapewnić mu zbawienie, był dla Kościoła podstawą do uznania dziecka za swoje. Tak rozpoczyna się mordercza walka – rodziny, lokalnej gminy, a w końcu też całej niemal społeczności żydowskiej na świecie, z udziałem koronowanych głów – o odzyskanie wywiezionego do Rzymu chłopca. Bo w rzeczywistości kryło się za tymi zabiegami coś więcej niż walka z dyskryminacją religijnej mniejszości i procedurą dziecięcych przechrzceń. Chodziło o polityczną hegemonię Stolicy Apostolskiej nad dużą częścią Półwyspu Apenińskiego. Dlatego *il caso Mortara* stał się aż tak ważny dla twardogłowego papieża Piusa IX, zwłaszcza w obliczu nasilających się ruchów rewolucyjnych i wize-

runkowego kryzysu. Na dodatek Rothschildowie, wpływowi żydowscy bankierzy, byli wtedy wierzycielami Państwa Kościelnego.

Bellocchio nakreśla dość czytankowo ów historyczny kontekst, bardziej bowiem interesują go procesy wewnętrzne, jakie zachodzą w naznaczonej tragedią rodzinie. I przede wszystkim w samym Edgardzie, kiedy trafia do rzymskiego Domu Katechumenów, gdzie przemienia się stopniowo w gorliwego „żołnierza Chrystusa”. Dziecko nie pojmuje zrazu, kim jest ten przybity do krzyża pan, którego zabili Żydzi, i co znaczą te dziwne łacińskie słowa, chociaż brzmią podobnie do włoskich. Jeszcze przez pewien czas modli się pod kołdrą po hebrajsku, spotyka też innych zabranych z getta małych przechrzców. Widzimy, jak w białych rękawiczkach odrywa się chłopca od jego korzeni: religijnych, kulturowych, rodzinnych. Jak z wolna zapomina o domostwie naznaczonym mezuzą i odnajduje swoje miejsce w nowym watykańskim domu, pośród miłych zakonnic i księzkowskich autorytetów. Wszak na pierwszy rzut oka nie dokonuje się tu na nim żaden wielki gwałt. Za to włoski reżyser pozostaje bezlitosny w obnażaniu aksamitnych mechanizmów indoktrynacji. Ich perfidia uwidacznia się najmocniej w łamiących serce scenach, kiedy chłopiec spotyka się z dawno niewidzianymi rodzicami.

Mamy więc opowieść toczącą się na kilku torach, albowiem batalia o powrót chłopca do domu jest po drugiej stronie

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE BEST FILM

PORWANY

(Rapito)

– reż. Marco Bellocchio.

Prod. Włochy/Francja/

/Niemcy 2023.

Dystryb. Best Film.

W kinach.

Marco Bellocchio specjalizuje się w kinie politycznym, często antyklerykalnym. Zadebiutował w 1965 r. filmem „Pięści w kieszeni”, nakręconym dzięki wsparciu swej zamożnej rodziny i krytykowanym we Włoszech za lewicowy radykalizm. Największe uznanie przyniosły mu tytuły: „Chiny są blisko” (1967), „Dobranoc, nocy” o porwaniu Aldo Moro (2003) czy „Zdrajca” (2019).

Powyżej: Enea Sala jako Edgardo Mortara i Paolo Pierobon jako Pius IX w filmie „Porwany”.

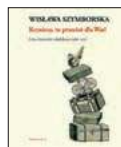
batalią o jego duszę, a potencjalnie o rząd kolejnych nawróconych przez niego dusz. W szerszym wymiarze odmalowuje wielkie polityczne przemiany, na poziomie głębszych intencji zaś – sprzeciwia się podszytej religijnymi dogmatami manipulacji. Pod pręgierzem stawia reżyser całą kościelną instytucję w osobie inkwizytora Piera Gaetano Felettiego, bezpośrednio odpowiedzialnego za porwanie Mortary. Z całą bezwzględnością wymierza też sprawiedliwość papieżowi, którego – ze szczyptą złośliwego humoru – karze koszmarnymi wizjami obrzezania. W pełni zresztą zasłużonymi, biorąc pod uwagę upokorzenia, jakim „król chrześcijan” poddaje tu zarówno innowierców, jak i własną trzódkę. A Bellocchio nie byłby sobą, gdyby pozostając wiernym faktom nie poszedł czasem w poetyckie licencje, cudowne zbiegi okoliczności, pikantne dwuznaczności, malownicze nadekspresje. Trzeba jednak przyznać, że twórca „Czasu religii” swój kolejny oskarżycielski obraz nakręcił środkami bardzo klasycznymi. To film „XIX-wieczny” nie tylko dlatego, że starannie odtwarza substancję tamtej epoki, z jej naturalnym oświetleniem i romantycznie podniosłą muzyką, ale także ze swym dostojnym rytmem, stopniowaniem emocji, realistycznym aktorstwem. Pod tym względem rozmiłowany w dosłownościach „Porwany” przypomina epikę z czasów Risorgimenta.

83-letni dziś buntownik nie obrósł bynajmniej mchem, wydaje się raczej, że postanowił zrobić swój film „po bożemu”, ażeby nadać mu większy zasięg. By przemówić do tych, których nie interesuje kino *stricte* historyczne czy zaciskanie pięści. Lecz jeśli kogoś zniechęciłaby ta nieco hollywoodzka konwencja, może sobie łatwo wyobrazić, co z historią Mortary zrobiłby Steven Spielberg – kilka lat temu przymierzał się do ekranizacji wspomnianej wyżej książki Kertzera, pod auspicjami niejakiego Harveya Weinsteina. Bo film Bellocchia jawi się chwilami niczym kino wręcz familijne, tyle że w jego fałdach pokrywane są bardzo krytyczne ostrza. Dramat pewnej rodziny jest tu kostiumem dla opowieści o tym, jak ołtarz zamienił się w autorytarny tron. I jak sto pięćdziesiąt lat temu, pod wpływem społecznego fermentu i włoskich ruchów zjednoczeniowych, ów tron zachwiał się w posadach. Oraz jak obsesyjnie próbowano utrzymać stary porządek, aczkolwiek czyjeś pojedyncze życie zostało wywrócone już na zawsze. ©

Lektor:

Historia

pewnej przyjaźni



■ Wisława Szymborska

KRYNICCY, TO PRZECIEŻ DLA WAS!**LISTY, KARTECZKI I DEDYKACJE 1966-2011**

Wydawnictwo a5,

Kraków 2023, ss. 168

ZACZYNA SIĘ OD ODMOWY. JEST ROK 1966, NA PAPIERZE FIRMOWYM krakowskiego tygodnika „Życie Literackie” pracująca wtedy w jego redakcji Wisława Szymborska tłumaczy zwięźle, dlaczego nie wydrukuje czterech wierszy 23-letniego poety z Poznania. Radzi, by „mniej estetyzować”, ale i zachęca: „Proszę po kilku miesiącach, o ile ocywiście Pan zechce, przysłać coś nowego”.

W lutym 1969 r. Ryszard Krynicki zaprasza Szymborską, by przyjechała na spotkanie autorskie do Krynicy (gdzie się urodziła), do Biblioteki Kórnickiej. Spotkanie odbyło się dopiero w czerwcu (bo ciepłej), pozostała po nim dedykacja na tomie „Sto pociech”. I wreszcie rok 1972, pracujący wtedy w redakcji „Studenta” Krynicki prosi Szymborską o wiersz. Otrzymuje „Wielką liczbę”, a więc tytułowy utwór zbioru z 1976 r.

Czy jednak chodzi o ten sam wiersz? Tak i nie – dochodzimy tu do najbardziej frapującego fragmentu tej pięknej wizualnie (ech, te wyklejanki...) książki. Krynicki zestawia tekst z łamów „Studenta” z wersją ostateczną – i okazuje się, że bardzo się różnią, choć ich sens jest ten sam. 22 wersy pierwszej części to całkiem inny utwór, a nowa puenta jest mocniejsza: ostatnie słowa to teraz „nie wiem”... Dlaczego to ważne? Odzyskujemy piękny fragment: „Moja dusza jest stara – jakby to była ta sama, / co przed wiekami, w małej osadzie wśród borów, / gdzie cokolwiek się działo, to po imieniu i z bliska. / Dusza przywykła wtedy pracować w detalu, / cierpliwie, frasośliwie, gorliwie, powoli. / Wieści z daleka dochodziły rzadko, / niektóre dorzeźbione aż do fletu z kości, / bo długo wędrowały”. No i mamy okazję zajrzeć za kuliszy warsztatu poetki, która zwykle niszczyła rękopisy, więc nie ma, by tak rzec, materiału porównawczego.

A znajomość przerodziła się w przyjaźń. Po śmierci Kornela Filipowicza, który był wielką miłością poetki, Krynicy w założonym w Poznaniu Wydawnictwie a5 opublikowali tom jego wierszy, potem zaś – w roku 1993 – „Koniec i początek” samej Szymborskiej, i była to jedyna jej książka na polskim rynku w chwili, gdy sztokholmskie jury ogłosiło swój werdykt. A noblistka dotrzymała danego wcześniej słowa i przekrojowy wybór wierszy powierzyła także oficynie a5. Która przeniosła się do Krakowa – ale to już inna historia. ©TP

OLGA

Drenda:

Wstrzymać zegar bezlitosny



W TYM ROKU Z OKAZJI ZMIANY CZASU Z LETNIEGO na zimowy pociąg TLK Karkonosze (Szklarska Poręba–Warszawa Wschodnia) i TLK Karpaty (Zakopane–Gdynia Główna) jadące w obu kierunkach odbywały planowy jednoczesny postój na tej samej stacji – odpowiednio Gliwice i Częstochowa. Pasażerów TLK Uznam w kierunku Świnoujścia czekała pewnie chwila irytacji, bo przymusowy postój wynikający ze zmiany czasu zastał ich niedaleko celu – w Kostrzynie. Kolejowe perypetie jesienią i wiosną co roku przybierają odrobinę inny kształt, ale za każdym razem pojawia się potencjał na udany scenariusz filmowy. Co, jeśli bohater wyjdzie podczas postoju na dyskretnego papierosa, a wsiedzie do pociągu w drugą stronę? Albo jeśli w gorączce wydarzeń zapomni o zmianie czasu i czeka go desperacka próba wydostania się ze szczerego pola? Możliwości są nieskończone i co roku nieco inne!

Tak będzie jeszcze przez kilka lat, ponieważ ujednolicenie całorocznego czasu dla krajów UE przesunięto orientacyjnie na rok 2026. Nie pożegnamy się na razie z rytualnymi zapowiedziami prezenterów radiowych – być może z racji zmian klimatu śnieg nie zaskoczy już drogowców, ale nadal będziemy słyszeć, że śpimy o godzinę dłużej lub krócej. Osobiście nie dotyka mnie szczególnie kwestia „zyskania” czy „straty” jednej godziny, bo niezależnie od pory roku konieczność nastawiania budzika na dobre eliminuje z pola widzenia takie elementy, jak bycie kiedykolwiek wypoczętą, korzystny biomet, wigor oraz smak życia; moim mottem niech pozostanie „tak źle i tak niedobrze”. Bardziej interesują mnie reakcje ludzkie, jakie wyzwała temat zmiany czasu; a te bywają ożywione.



OLGA DRENDA

Tak będzie
tak czy siak.

W 1997 r. amerykańska prasa donosiła, że w Athens, rodzinnym mieście zespołu R.E.M., skrócenie pracy barów o godzinę z powodu zmiany czasu wywołało wściekłość studentów. Wszczęli awanturę, która zakończyła się dość brutalną interwencją policji. Polska opinia publiczna nie wydaje się aż tak krewka, bardzo chętnie natomiast wyraża swój głos w dyskusjach. Zwolennicy zmiany czasu chyba należą do mniejszości – pamiętanie o tej niby drobnej korekcie (lub perspektywa utknięcia w Kostrzynie) nie generuje entuzjazmu. Skoro jednak musimy już z tą niewygodą żyć, następuje okazja do sroższego podziału zdań. Wielu ludzi woli czas letni; sporo zwolenników ma także zimowy (w tym Europejskie Towarzystwo Badań nad Snem). Co jednak istotne, kością niezgody bywa zazwyczaj nie to, czy życie znośniejszym czynią jasne poranki, czy odrobinę dłuższe popołudnie, a raczej to, który z czasów jest bardziej naturalny. A naturalny – znaczy widocznie lepszy.

Z tą naturalnością też trzeba ostrożnie. Owszem, czasami mój wewnętrzny anarchista świadomie pielęgnuje w sobie skłonność do, nazwijmy to umownie, spisku – kiedy podejrzewam, że można wytłumaczyć sobie jakieś decyzje chęcią uprzykrzenia życia bliźnim albo zmiany ich życia w perypetie Charliego Chaplina z „Dzisiejszych czasów”. Chęć układania życia zgodnie z zegarkiem to wszak bezlitosny wynalazek epoki przemysłowej, mający na celu maksymalną eksploatację każdego ludzkiego zasobu („chodź jak w zegarku” – oto powód do okrutnej dumy sadystycznego zwierzchnika). Jak wieść niesie, na pomysł oszczędzania jeszcze nie prądu, ale świec, poprzez przestawianie zegarów miał wpadć dla żartu znany z oglądania sto razy każdego centa Benjamin Franklin. Los jednak sprawił, że satyra stała się rzeczywistością.

Naturalne podejście do postrzegania czasu starają się wdrożyć od niedawna władze miejscowości Bad Kissingen w Bawarii. Jako „ChronoCity”, zamiast posiłkować się „zegarem bezlitosnym” (jak w piosence Edyty Bartosiewicz), wdrażają stosowanie zasad zaczerpniętych z chronobiologii, czyli nauki badającej funkcjonowanie ludzkiego organizmu w czasie. Przekłada się to na bardziej elastyczne pory działania szkół, urzędów i firm. Twórcy planu dla miasta mają nadzieję, że zmniejszy on cierpienia i sów, i skowronków, a młodzież wybawi od „szkolnego jetlagu”, czyli przemęczenia spowodowanego zbyt wczesnymi lekcjami. Brzmi to wspaniale, lecz zaczynam doszukiwać się w podobnych zamiarach nowych, lepszych, zoptymalizowanych przygód Charliego. Chodzi wszak o to, byśmy byli „zdrowi i efektywni”, czyli o to samo, na czym zależy firmom wdrażającym programy *wellness* dla pracowników.

Może w bawarskim uzdrowisku i tak łatwiej sobie poradzić, krzepiąc się np. smacznym miejscowym serem Bonifaz. Tymczasem u nas, niezależnie od ostatecznie wybranego czasu, jakim będziemy się posługiwać, trzeba będzie co roku przeżyć bezlitosne doświadczenie polskiego stycznia z jego wybitnie bujną paletą kolorystyczną. Wtedy pomoże nam tylko schowanie się w internecie, gdzie szczęśliwi czasu nie liczą.

©

PAWEŁ

Bravo: Czwartkowy szum



JEDEN Z TRZYDZIESTU OŚMIU MILIONÓW. TAK, to o mnie, o każdej i każdym z was: skoro bowiem czytacie tę rubryczkę, znacie na pewno język polski, to nas łączy jako warunek konieczny, choć z pewnością nie wystarczający. O tym, co jeszcze bardziej specyficznego nas łączy, podyskutujemy kiedyś indziej, może w naturze, jestem wam winien piknik na jakiejś pięknej polanie, gdzie stanę przy kuchni polowej i będę wydawać strawę w podzięciu za trud regularnej lektury. Może na przykład risotto z burakiem, by oddać hołd najważniejszej dla mnie formie włoskiego jedzenia, a jednocześnie uczcić warzywo wyróżniające w sferze kuchennej tę wspólnotę, która się jakoś w polszczyźnie odnajduje.

Utożsamiam ją liczbowo z podawaną przez GUS populacją Polski, co jest grubym przybliżeniem, ale dziś interesuje mnie inne trzydzieści osiem milionów. Jest to bowiem także liczba (mniej więcej) butelek *beaujolais nouveau*, którą skrawek malowniczej ziemi na północ od Lyonu obdarowuje świat w tym właśnie okresie. Na mocy tradycji niewartej tu roztrząsania, trzeci czwartek listopada to specjalny dzień, kiedy należy z wielkim szumem zabrać się za spożycie.

I ja spełnię rytuał, przystępując do tej równej liczebnie narodowi polskiemu rzeszy wesołych bożolersów z całą świadomością, że to wino jest prawie zawsze nijakie, niech mi wątrobą wybacz. Nie tyle z powodu swojej młodości, ile masowego charakteru. Stosowana przy jego produkcji metoda, zwana maceracją węglową, pozwala rzetelnym winiarzom otrzymać w kilka tygodni wina gotowe do picia i całkiem ciekawe, choć oczywiście pozbawione mocnej struktury i garbnika, i nie bardzo zdolne do ewolucji w czasie. Ale to nie ten przypadek – tu ilość, poza niszowymi wyjątkami, zabija jakość. Nie warto nawet próbować zmysłowych roztrząsań w skupieniu, chodzi o cały ten czwartkowy szum i ekspresyjną witalność, o kontekst. Biesiadny, zbiorowy, hałaśliwy i niepoważny. Może nawet czasami trochę wysilony, bo tak nam wypada, bo myślimy, że świat czeka na selfie z bezmyślnym uśmiechem paru ludzi upychających się w kadrze.

Serio czeka? Ejże. Ale co, mamy dyskutować na serio o problemach Beaujolais? Ten bowiem region najbardziej spośród innych doświadcza stosunkowo nowej (choć znanej ogrodnikom) żółtaczki fitoplazmatycznej. Na przekór poetycko-marzycielskiej nazwie po francusku – „poślaczana poświata” – choroba ta nieodwołalnie wykańcza krzewy. Nie ma innej rady – „poślaczoną” winnicę trzeba zapobiegawczo wykarczować w całości. Za krótko człowiek walczy z żółtaczką, by ocenić, czy to tylko punktowe nieszczęście, czy zapowiedź całociowej zagłady podob-

nej do tej, jaka dotknęła praktycznie całe europejskie winiarstwo w ostatniej ćwierci XIX wieku.

Tamta klęska (zwana od owada, który ją wywołał, filoksera) miała skądinąd dobry skutek uboczny (dobry dla potomności, nie dla zrujnowanych winogrodników) w postaci skoku jakości tego, co zaczęto produkować, gdy już udało się wskrzesić uprawy. Nikt tego głośno nie mówi, gdy się narzeka na spadki zbiorów wywołane chorobami i zaburzeniami klimatycznymi, ale i teraz jakieś tąpnięcie pozwoliłoby oczyścić rynek z gigantycznego nadmiaru wina, którego nie ma jak sprzedać. Postęp w udoskonalaniu odmian, w ochronie roślin i technikach produkcji dał najpierw wielkie dobrodziejstwo – znaczną ilość dostępnego powszechnie, a więc względnie taniego, przyzwoitego jakościowo produktu. Ale się na tym nie zatrzymał i obecnie jesteśmy na etapie uczniów czarnoksiężnika, którzy nie wiedzą, jak to wszystko zatrzymać, zwłaszcza że nowe pokolenia, coraz mniej liczne, nie mają już ochoty na wino. Państwo trochę pomaga: płaci za destylację niesprzedawalnego wina, żeby zrobić zeń spirytus do dezynfekcji (pandemie na coś się przydadają), i daje subwencje za każdą wykarczowaną nierentowną winnicę.

Ale taka pomoc trafia głównie do tych, którzy umieją sobie ją wydeptać, czyli największych graczy. Mniejsi winiarze z Beaujolais, i w ogóle francuscy, mają w tym roku o czym zapominać. I ja chętnie, jako jeden z 38 milionów, im w tym pomogę. ©

*A może pomożemy podwójnie i zaczniemy częściej wlewać poważne ilości wina do garnka? Niestety, nouveau raczej nie dźwignie wołowiny po burgundzku. Ale można takie lekkie winko wykorzystać do risotta. Oczywiście tzw. tradycja opowiada głównie o risotto z barolo, czyli z winem aż nazbyt szlachetnym jak na nasze możliwości. Ale inne regiony północy robią podobnie ze swoimi winami, niekoniecznie wybitnymi. Jeśli mamy porządną bulion wołowy, dobre masło i ryż, to nawet beaujolais urozmaici wam przyjemne **jesienne risotto**. Podsmażamy najpierw na wolnym ogniu na **3 łyżkach masła** drobnutko posiekanego **porka**. Dodajemy **300 g ryżu**, prażymy na średnim ogniu, aż się ładnie zeszkli. Zalewamy ok. **250 ml wina** (ja ostatnio użyłem węgierskiej kadarki, ale popróbujcie z tym, co macie, byle miało dobrą kwasowość), czekamy minutę, aż część odparuje, zalewamy porcją wrzącego **bulionu**, dodajemy **listek laurowy** i gotujemy dalej, stopniowo uzupełniając „wypijany” bulion. Na koniec **łyżka masła** i intensywne mieszanie, by uzyskać kremową konsystencję, oraz garść **parmezanu**.*



Tygodnik Smaków – co piątek
w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



NIEZNISZCZALNA ZIELEŃ

Zniszczone wojną miasta porównuje się często do bezludnych pustyń, gruzowych Gór Martwych. A przecież wszystkie mają żywych lokatorów – rośliny.

BEATA CHOMĄTOWSKA

OBCOKRAJOWCY WLEPIAJĄ WZROK W OBRAZ. GŁOWIĄ SIĘ nad pytaniem, co przedstawia wielgachna, nieforemna bryła na tle współczesnych wieżowców Warszawy: eksplozję? A może zastygnięty strumień lawy po gigantycznym wybuchu? Dopiero po wyjaśnieniu, że to wymaginowany drapacz chmur usypany z 18 milionów metrów sześciennych gruzu, w jaki zmieniło się miasto podczas drugiej wojny światowej, słychać głośnie: „Aaaa!”.

Widok oddziałuje mocniej niż liczby. Dlatego oprowadzanie po stolicy architektonicznym szlakiem zaczynam zwykle od pokazania kolażu Tymka Borowskiego z 2015 roku, powstałego na potrzeby ówczesnej wystawy „Spór o odbudowę”. Jedno się tylko nie zgadza: gruzowa masa wyobrażonego wieżowca składa się wyłącznie z różnych odcieni szarości. Naprawdę zaś byłaby szaro-czerwono-zielona. Co więcej, drapacz chmur usypany z rumowisk polskiej stolicy miejscami wyglądałby nawet jak wertykalny las, na podobieństwo tych, jakie stawia się w Szanghaju czy innych azjatyckich metropoliach. Tyle że ten warszawski powstał samorzutnie, bez planowania i kontroli, wyłącznie siłą przyrody.

Roślinna ekspansja

Pochód rozpoczynają mchy. Już w 1939 roku na pierwszych rumowiskach po bombardowaniach Warszawy rosną: *Ceratodon purpureus* (zęboróg czerwonawy), *Bryum argenteum* (prątnik srebrzysty), a nawet *Hypnum schreberi* Willd (rokićnik pospolity), co świadczy o tym, że gruzы pokrywają się darnią.

A potem jeszcze: oset polny, powój polny, popłoch, rdest ptasi, kostrzewa łąkowa i czerwona, krwawnik pospolity, perz, wyczyniec łąkowy, rumian polny, mietlica zbożowa, piaskownica macierzankowa, bylica pospolita i polna, jęczmień polny, bławatek, kąkol, rezedra żółta, dziewanna.

Z drzew zaś między innymi: białodrzew, topola nadwiślańska, osika, brzoza brodawkowata, wierzba biała, robinia. No i te owocowe, doskonale znane: jabłonie, grusze, czereśnie, śliwy ałyczne, zwykłe mylone z mirabelkami.

„Ubogie siedlisko gruzowisk ulega stopniowej poprawie, gromadzi się próchnica, następuje rozkład i wietrzenie gruzu w coraz większych warstwach. Roślinność ruderalna, złożona z gatunków rocznych, ustępuje miejsca roślinności bardziej trwałej, wieloletniej” – notuje Roman Kobendza. Gdyby taki stan rzeczy utrzymał się jeszcze przez kilka dekad, miejsce zniszczonej stolicy zająłby las – zauważa.

Strategie przetrwania

Roman Kobendza (1886-1955) to botanik i dendrolog. Urodzony w Niechcicach, związał się z Warszawą, a zwłaszcza z miejskim Ogrodem Botanicznym, gdzie pracował jako inspektor. Wojnę spędza w okupowanej stolicy, zatrudniony w dotychczasowym miejscu pracy jako zwykły ogrodnik, próbując jednocześnie pisać pracę naukową i podręcznik dendrologii. Dzięki temu może nadal uważnie obserwować przyrodę – zajęcie, a nawet pasja, której oddawał się dotąd przy każdej możliwej okazji.

Dzieli ją z nim żona Jadwiga, geografka i geomorfolożka. Dokumentując wspólnie stan miejskich parków z myślą o ich późniejszej odbudowie, dostrzegli pierwsze mchy, trawy i kwiaty kiełkujące pośród gruzów. Zafrapowały ich te niepozorne gatunki, w większości określane lekceważącym mianem chwastów. Dla Romana i Jadwigi to przede wszystkim żywe organizmy. Obserwują uważnie, jak dzielnie torują sobie drogę do ekspansji na zniszczonym przez ludzi terenie, współpracując między sobą, by jak najlepiej wykorzystać pozostawiony przezeń materiał. To, co zniszczył jeden gatunek, staje się domem dla innych.



© HENRY N. COBB / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI EMMY COBB

Henry N. Cobb, student architektury na Harvardzie, przyjechał do Europy w 1947 r. w ramach wyjazdu edukacyjnego World Studytour, mającego na celu zapoznanie się z planami powojennej odbudowy miast. Tu: róg Szpitalnej i Boduena, Warszawa, 1947 r.

O roślinach ruderalnych mówi się, że są synantropijne, bo rosną blisko człowieka. Zamieszkują śmietniska, podwórza, nasypy, pobocza dróg, szpary w chodnikach. Gatunki pospolite, raczej podmiejskie lub wiejskie. Teraz jednak pojawia się też sporo obcych przybyszy, dotąd rzadko spotykanych nie tylko w Warszawie, ale w ogóle w Polsce: pieprzyc wirgińska (przy Alejach Niepodległości i Nowym Świecie), rezeda bezwonna (na gruzowiskach Żelaznej Bramy), komosa mierzliwa (na ruinach Zamku Królewskiego). Wytrzymały naukowiec tropi je podczas codziennych wędrówek po mieście, pochylając się nad każdą kępą zieleni.

Ale gruzowisko to inne, o wiele trudniejsze miejsce do życia, nawet dla najbardziej odpornych. Kobendza zauważa, że warunki mikroklimatyczne zbliżone są tam do pustynnych. Sprawiają to wahania temperatur w ciągu doby. Za dnia – gorąco, po zmroku – gwałtowne ochłodzenie. Roślinni mieszkańcy szukają więc sposobów, by przetrwać. Niektóre gatunki przebarwiają ochronnie liście i pędy na czerwono, inne dopasowują wysokość i rozłożystość.

Zwłaszcza drzewa wykazują się niebywałą pomysłowością. Ich korzenie, „fantastycznie powyginane, spłaszczone taśmowo” szukają dla siebie miejsca na kruchym podłożu, wykorzystując wszystkie dostępne szczeliny. Jak ich ludzcy krewni, którzy już niedługo zaczną powracać do swojego miasta i niezrażeni stanem zniszczeń zaczną zajmować ocalałe resztki zbombardowanych domów albo klećci prowizoryczne siedliska z cegieł pozyskiwanych na gruzach, zwłaszcza tych po getcie.

Teren eksperymentalny

„Jakaś kępa zielonych drzew. Dalekie szeregi wypalonych kamienic. (...) Zwaliska ciągną się regularnymi łańcuchami jak wydmy i tylko to pozwala dostrzec miejsca byłych domów.

Ulewy czerwcowe i kwietniowe ożywiły zagubione tu nasiona. Pęk żyta wyrasta spod cegły. Ktoś uрониł przed dwoma laty ziarenko. Tyle po nim zostało. Jakiś podmuch podrzucił puszystą bażkę osiny i trzy zielone pręty na szczycie zwaliska kołyszą się w słońcu. Na garstkach ziemi pracowicie rozpiera się trawa. Kwitną żółte mlecze” – notuje w czerwcu 1945 r. Jerzy Putrament, przejeżdżając przez warszawski Muranów – miejsce-po-getcie. Jest jak w wierszu Jerzego Ficowskiego z 1948 r: „Ogrody przyjmą ciche śmierć miasta jak komunię i zielen jak modlitwę powtarzać będzie szum”.

„Ta ożywiona i ruchliwa niegdyś część miasta została zamieniona w pustynię, pokrytą kilkumetrową warstwą rumowiska, które natura szybko brała w posiadanie” – to z kolei Jerzy Wierzbicki, cztery lata później, w artykule krytykującym powstające już wówczas na Muranowie eksperymentalne osiedle-pomnik getta projektu Bohdana Lacherta.

Roman Kobendza odkrywa na gettowych gruzach maki, słoneczniki i pomidory – pozostałości po bieda-ogródkach, jakie urządzali niektórzy żydowscy mieszkańcy zamknięci w getcie, odseparowanym od przyrody. Pomidorowe krzewy owocują jeszcze przez kilka powojennych lat. Zaś w kolejnych dekadach lokatorzy nowych muranowskich domów będą robić kompoty z owoców mirabelek, tych samych, które żywiły ich poprzedników. Mimo woli przetrwania, wiele drzew podzieliło jednak ludzki los.

„Roślinność drzewiasta miast częściowo uległa zupełnej zagładzie, częściowo została głęboko okaleczona” – to znów cytat z Kobendzy, który będzie obserwować roślinnych mieszkańców gruzowisk Warszawy do 1949 r. Opublikuje wówczas zapis tych doświadczeń w pracy „Roślinność ruderalna na gruzach miast polskich”. I dołączy do licznej zespołu Bohdana Lacherta, który w ramach pracowni „Muranów” będzie projektować przyszłą dzielnicę na gruzach

→ i z gruzów, przeznaczoną (zależnie od zmieniających się w czasie szacunków) dla 40-60 tys. osób.

Toczące się od końca wojny w środowisku architektów, urbanistów, konserwatorów i historyków sztuki dyskusje o kształcie przyszłej odbudowy stolicy kończą się zdroworozsądkowym kompromisem. Rekonstrukcja ma objąć tylko rejonów bądź pojedyncze budynki o symbolicznej dla mieszkańców wartości, jak Starówka czy Zamek Królewski, zaś resztę miasta należy odbudować nowocześnie, w duchu Karty Ateńskiej – rozrzedzona zabudowa mieszkaniowa z powszechnym dostępem do światła, powietrza i zieleni, aby z tych dobrodziejstw mogli korzystać nie tylko najzamożniejsi, ale i masy robotników zjeżdżających teraz do Warszawy za pracę.

Dekret Bieruta, przekazujący państwu grunty na własność, od razu zapewnił swobodę działania. Zgodnie z planami zieleni miała stanowić 40 proc. nowo projektowanych osiedli. Dotyczyło to również Muranowa, gdzie Lachert planował ją w miejscach wypoczynku, przy szkołach, przedszkolach, żłobkach i boiskach, ale również jako obszerne kliny, izolujące zabudowę od okalających dzielnicę samochodowych arterii.

„Na dawnych gruzach wyrośnie nowe życie” – pisze Lachert. Choć już, jakby nie patrzeć, wyrosło. Na początku zawsze jest transport nasion i genów. W kontekście roli, jaką przypisano zieleni, wiedza Kobendzy okazuje się bezcenna. Pomaga wybrać ponad 100 gatunków drzew i krzewów, które będą mogły szybko rozwinąć się na podłożu gruzowym. W większości przypadków to nowe nasadzenia, zajmujące miejsca gruzowych ocalańców. Ale rosnąć szybko i bujnie, zakrywają też trudną prawdę o przeszłości Muranowa.

Trudno uwierzyć, że właśnie tutaj, wśród zadrzewionych gęsto podwórek, gdzie młode matki kołyszą swoje pociechy, znajdowało się getto. Wskutek tego hiszpańska powieściopisarka Carmen Laforet, która odwiedzi tę część polskiej stolicy podczas poodwilżowej podróży, zapisze w jej trakcie zdanie, w kontekście pamięci miejsca brzmiące zgoła kuriozalnie: „To najweselsze miejsce w Warszawie”.

Nietypowe archiwum

Fitosocjologia to systematyczna wiedza o zbiorowiskach roślinnych. Można by rzec: odmiana kulturoznawstwa, tylko badająca relacje społeczne wśród innych organizmów żywych. Zrobiło się o niej głośno w latach 70. XX wieku za sprawą naukowców, którzy badali dzikie ogrody powstające w strefie pomiędzy Berlinem Wschodnim a Zachodnim.

Ale pionierów było dwóch – Kobendza (który tuż po wojnie prowadził porównawcze badania również poza Warszawą, m.in. na tzw. Ziemiach Odzyskanych) oraz brytyjski botanik Edward James Salisbury. W maju 1945 r., podczas gdy ten pierwszy pracował w Warszawie nad tekstem swojej rozprawy o roślinności ruderalnej, drugi wygłosił w Londynie wykład na temat różnorodności botanicznej zbombardowanych rejonów miasta. Główną bohaterką wywodu Salisbury’ego jest wierzbówka kiprzyca, w Wielkiej Brytanii i Irlandii znana pod nazwą wierzbówka różana, określana też jako laur św. Antoniego. Opowiada o niej w kaplicy Savoy, wcze-

śniej kilkakrotnie bombardowanej, sąsiadującej ze szpitalem o tej samej nazwie, który nie przetrwał nalotów.

„Na gruzach przeszłości wyrosło nowe życie” – informuje zgromadzonych naukowców. W ten sposób typowo naukowe wystąpienie, naszpikowane nazwami rozlicznych gatunków oraz liczbami – zyskuje wymiar alegoryczny. Wierzbówka, symbol odradzającego się życia na gruzach, daje zgromadzonym nadzieję na przyszłość.

To też inne podejście do gruzu, materii niechcianej, traktowanej jak odpad przeznaczony do wywózki, w przeciwieństwie do ruin, o które się dba i odbudowuje, przypisując im konkretne wartości (zwraca na to uwagę w swoich pracach naukowiec Jerzy Elżanowski, badający związki między architekturą, przemocą i upamiętnieniami). Ponad jedna trzecia powojennego gruzu nie nadawała się do ponownego wykorzystania przy budowie ze względu na zanieczyszczenie ziemią, pyłem – a także inną materią. W tym roślinną.

Salisbury pokazał, jak bombardowanie Londynu odmłodziło tamtejszą glebę – ogień i popiół zapewniły jej węgiel i azot, zaś sproszkowana zaprawa wapienna, obecna w murach, dodała do jej powierzchniowych warstw wapń. Z tego samego powodu rośliny opisywane przez Kobendzę rosły najbujniej w miejscach po zmiecionych przez bomby kuchniach, piecach i podwórzach. Zawartość kraterów po bombach i rumowisk nie tylko odzwierciedla toczące się w nich biologiczne procesy, ale można traktować je jak swoiste archiwum miejskie.

Ziemia mówi, ludzie mówią

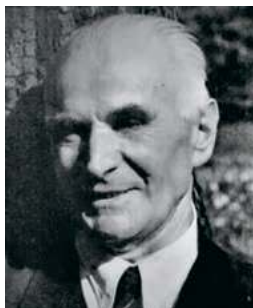
Wiele lat później, w 2008 r., ukaże się pierwsze wydanie książki „Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście”. Autorzy, Barbara Engelking i Jacek Leociak, zakończą ją tak: „Getto istnieje już tylko pod asfaltem ulic muranowskich, pod chodnikami, pod skwerami podwórek, szkolnymi boiskami, dziedzińcami przedszkoli, pod obrośniętymi trawą skarpami usypanymi z gruzów, pod wyjątkowo w tej dzielnicy wybujałymi topolami, lipami, klonami. Tam są sklepienia piwnic przykryte gruzem i ziemią – mocne gettowe korzenie pamięci”.

Dekadę później na Muranowie, w miejscu dawnego szpitala ewangelickiego przy Karmelickiej 2b, otwiera się ziemia, ukazując kwadratowy wykop. To Aslı Çavuşoğlu oraz Małgorzata Kuciewicz i Simone De Iacobi z grupy projektowej Centrala w ramach rezydencji artystycznej Muzeum POLIN dokonują archeologicznego cięcia w tkance miasta.

– Lachert napisał, że muranowskie gruzы to archiwum dla przyszłych pokoleń. Stąd pomysł, że otworzymy je, sprawdziemy, co tam jest, i odłożymy na miejsce – mówi Małgorzata Kuciewicz. – Archeolodzy czuwający nad prawidłowym przebiegiem prac zdecydowali jednak, że siedem spośród znalezionych obiektów trafiło do muzeum.

Przez tydzień twórców projektu odwiedzi na miejscu blisko dwieście osób. Przyniosą własne znaleziska sprzed lat, podzielią się zdjęciami innych muranowskich odkrywek. W trakcie prac okazuje się też, że oprócz archeologa muszą zaprosić dendrologa.

– Po zdjęciu pierwszej warstewki ziemi okazało się, że muranowskie drzewa mają nietypowe systemy korzeniowe:



*Kobierzec Muranowski,
stworzony z roślin,
które Roman
Kobendza (powyżej)
zainwentaryzował na
Muranowie
w 1945 r.
Warszawa, lipiec 2023 r.*



ANDRZEJ STAWIŃSKI / ZIH / MATERIAŁY PRASOWE // CC 3.0

wykształcają koronkę bardzo delikatnych korzonków i nie chcieliśmy ryzykować ich uszkodzenia. Potem zwróciliśmy uwagę na liczne na Muranowie puste donice z szarej cegły podtrzymujące grunt – możliwe, że sadzono w nich drzewa, których korzenie rozrastały się bardziej niż zwykle, ale powierzchniowo – mówi Kuciewicz.

W ten sposób współtwórców Centrali – grupy działającej na styku artystycznych poszukiwań i architektury, które służą poszerzeniu pola debaty o tej ostatniej – zaintrygowała powojenna odbudowa warszawskiej zieleni.

– Zaczęliśmy się zastanawiać, kto stworzył otaczającą nas miejską zielen. W dokumentach powtarzało się głównie jedno nazwisko: Alina Scholtz – dodaje De Iacobis. I tak odkryją osobę nie mniej ważną dla tego czasu od Kobendzy. Rozszyfrowanie jej projektów da im dodatkowo sygnał, jak dziś, zajmując się architekturą krajobrazu w dobie kryzysu klimatycznego, myśleć o przyszłości.

To właśnie lublinianiec z pochodzenia Alinie Scholtz, długo zapomnianej ekspertce z tej dziedziny, Warszawa zawdzięcza status jednej z najbardziej zielonych europejskich stolic – cecha, która rzuca się w oczy obcokrajowcom odkrywającym z zaskoczeniem, że owa zielen wyrosła na gruzach.

– Ważne dzięki niej dla Warszawy pojęcie to terenoplastyka, czyli myślenie o modelowaniu krajobrazu powojennym rumoszem, czyli właśnie gruzami – mówi Kuciewicz. – Scholtz celowo kształtowała tak istniejące już stoki albo usypywała kopce, żeby zbierały wodę deszczową i rozprowadzały ją równomiernie. Wykorzystywała roślinność wodną. Dzięki niej założyliśmy własną rabatę z roślinami wodnymi i pokazujemy, jak są sprawne w czyszczeniu wody, jak szybko tworzy się tam mały przyrodniczy mikrokosmos i jaką ulgę przynosi przebywanie w pobliżu w upalne dni. Dbła też o zachowanie ocalałych, nawet starych drzew, traktowała je jak pomniki, wykorzystanie zieleni było dla niej również ważne w warstwie symbolicznej. Tamta generacja

rozumiała przyrodę jako rzecz w mieście nadrzędną, dlatego dbano o jej ciągłość – nawet podczas odbudowy pilnowano, by ochronić możliwie największe terenów zielonych.

Sąsiedzi w mieście z gruzów

Z Małgorzatą Kuciewicz i Simone De Iacobis z Centrali rozmawiałam latem tego roku. W tym czasie rośnie już inny ich projekt – kobierzec muranowski. To forma między stworzonej z roślin, które Kobendza zainwentaryzował na Muranowie w 1945 r. Łącznie 45 różnych przyrodniczych gatunków, z którymi twórcy poznawali się stopniowo z pomocą Natalii Budnik, architektki krajobrazu zaproszonej do udziału w przedsięwzięciu. Mówią o nich podobnie jak patron tej łąki, porównując rośliny do sąsiadów, z którymi do tej pory się mijali, a teraz zaczęli bardzo świadomie się im przyglądać.

Kobierzec, zrealizowany na zlecenie Żydowskiego Instytutu Historycznego, od 22 lipca do końca września ozdabia placyk przed kinem Muranów, towarzysząc wystawie „Korzenie powstania”. Zainteresowanie tą nietypową instalacją okaże się jednak na tyle spore, że ma niebawem powrócić – w nieco innej formie. Bo prace Kobendzy, Salisburyskiego czy Scholtz okazują się niezmiernie aktualne. Nie tylko ze względu na rolę zieleni w miastach zagrożonych zmianami klimatu. Patrząc na tę odtworzoną pieczołowicie łąkę, trudno nie zastanawiać się, jakie gatunki można dziś spotkać na rumowiskach Buczy czy Mariupola. Najpewniej podobne jak w Warszawie, Londynie czy Wrocławiu po drugiej wojnie światowej, gdzie w zapiskach botaników powtarzały się te same roślinne nazwy.

Życia na gruzach nie da się powstrzymać. Architekci zajmujący się miejskim projektowaniem będą musieli natomiast decydować, czy je wspierać, czy raczej mu przeciwdziałać, tworząc budynki odporne na zjawiska przyrody. Oby wybrali pierwsze rozwiązanie.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:

Słaba pociecha



KOŃCZĄ SIĘ ZŁOTE CZASY ZABAWY SKRZYDŁATYM SŁOWEM I SZYBUJĄCĄ MYŚLĄ. Niestety. A czasy – panie dziejku – były piękne. Zaczęły się, gdy niezrównana w osobiwej pomysłowości polska prawica przejęła sławną stadninę koni – za

przepraszaniem – arabskich. Było to zaledwie preludium władztwa b. Gospodarza oraz jego koleżanek i kolegów.

Przypomnijmy: z niezrozumiałych powodów dla ówczesnie standardowo myślącego człowieka renomowaną i świetnie działającą instytucję pozbawiono z dnia na dzień fachowego kierownictwa i oddano ją w ręce ludzi pozbawionych jakichkolwiek kompetencji. Nie będziemy tu streszczać późniejszych losów tej firmy, ludzi z nią związanych, zwierząt i wszelakiego dobytku, są to bowiem historie w miarę dobrze opisane, a więc ciekawskim dziwów świata PiS-u znane. To przykład, bo to początek. Po latach dojmującej nudy trafiliśmy na czas niespotykany i wymarzony. Pod względem komizmu, wszelkiej przesady, groteski, kiczowatej egzaltacji, agresywnego nadęcia, nadpobudliwości i krzykliwości oraz najbardziej idiotycznej interpretacji wszystkiego. Czas ten nie wytrzymuje porównania z żadnym udokumentowanym okresem w historii naszego kraju. Świat wreszcie zobaczył, że Polak potrafi produkować masowo tematy prac piśmieniowych. Nie sądziliśmy, że będzie tego tak dużo, że tematy będą się psuć, ich przerób bowiem na pełnowartościowe skecze czy felietony nie będzie w takich ilościach możliwy. Z niepokojem patrzyliśmy, jak stan ten demoralizuje rzesze Felietonistów Polskich, którzy z nadmiaru i przesytu popadli w szaloną nadwagę i szokujące bogactwo, którym nie omieszkali kłuć w oczy innych autorów, specjalizujących się – dajmy na

to – w apokaliptycznych wizjach przyszłości. Najsłabiej – z pływających się w luksusach felietonista, ledwie składający literki, ubogacony przez polską edukację w zasób słów sześciu na krzyż, pozwalał sobie – popatrzmy – przez owe lata hossy na kilkanaście schabowych dziennie, dodatkowo zaś jadł duży kebab w bułce i pierogi z pieczarkami. O półliterku rano i wieczór nie wspominamy, także o browarku. Słowem rozpusta, a gdzie jest rozpusta, tam jest i grzeszność, i pycha, i rozleniwienie.

Ostrzegaliśmy kolegów piszących. Wołaliśmy jako puszczkę na puszczy, że stan ten trwać wiecznie nie może. Że choć w Polsce nie uświadczysz wulkanu, to suweren jest jak lawa. Z wierzchu wiadomo, a wewnątrz gorejący, że gdy się ocknie, zamknie nam butik z półproduktami dla felietonistyki krajowej. Śmiano się z nas. Uważano powszechnie, że rządy w typie pisowskim są absolutnie pancerne, że pękły na zawsze tamy wyrażania opinii dowolnie idiotycznej. „Im głupiej, tym lepiej” miało być wieczne wszędzie. W każdej dziedzinie – od hodowli koni po arytmetykę, od świata mikrobów po wszechświat, od prasy drukowanej po media wirtualne, od rzeźby po malarstwo, od wyobrażenia Boga po wyobrażenia Szatana, od polityki lokalnej po globalną. Nad krajem naszym zawisł opar wszelkiego głupstwa, który wielu wciągnęło z narkotyczną rozkoszą, dla wielu innych był to zapach nader naturalny. Wyrażenie opinii nieidiotycznej stawało się w pewnych kręgach grubym nietaktem.

Wynik wyborów – cokolwiek się dalej zdarzy – był sygnałem, że jest granica wciskania kitu. Dla wielu ludzi żyjących w ukryciu przed idiotyzmem tutejszości to radosne święto, jednak najszersze kręgi Felietonistów Polskich ten rezultat przyjęły z obawą. Czy produkcja tematów spadnie? Czy kapitalny potencjał śmieszności władz państwowych i lokalnych to przeszłość? Twórcy – jak kraj długi i szeroki – zadają sobie trudne pytania, też egzystencjalne. Jak żyć? W co się bawić? Kim? Z kim? Nie ma dziś odpowiedzi na żadne z nich. Nic nie jest pewne, prócz może dwu rzeczy, póki Mateuszowi Morawieckiemu wydaje się, że jest premierem, i póki utwierdza go w tym prezydent A. Duda z b. Gospodarzem, jest po staremu. Jest to jakoś pocieszające, choć na krótką metę. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



PANI JESIEŃ NIEPOGODZONA Z NADCHODZĄCĄ ZMIANĄ PORĘ ROKU

NATALIA KUKULSKA

CZUŁE STRUNY

FRYDERYK CHOPIN

HERDZIN · KOŁODZIEJCZYK · SMOCZYŃSKI · SZTABA · TOMASZEWSKI
ORKIESTRA AKADEMII BEETHOVENOWSKIEJ

KONCERTY

29.04.2024

TEATR WIELKI - OPERA NARODOWA
W WARSZAWIE

30.04.2024

NOSPR W KATOWICACH

BILETY: BILETSERWIS.PL

WYJĄTKOWY PROJEKT
NA POLSKIEJ
SCENIE MUZYCZNEJ

CHOPIN
EAU DE PARFUM
chopinperfumes.com



REKLAMA

Prestige
MJM

bs BILET
SERWIS

MIRACULUM
1924

hebe
zdrowie i piękno

REGENT
WARSAW HOTEL

RP RZECZPOSPOLITA

VIVA!

TYGODNIK
PONSZCZERNY

onet

proart

VIXON
REKLAMA

Gra z 16–25.11
Kantorem 2023

Jugando
con Kantor

Cricoteka
Instytut Cervantesa w Krakowie

Hiszpania
funie, fantomy, infantki

REKLAMA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy **S-NET Data Center**

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszą generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**